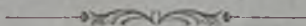


**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, PRZEMYSŁOWI I SPRAWOM SPOŁECZNYM.



ROK PIĘCDZIESIĄTY.

SERYA V.

PAŹDZIERNIK.

1890.

TOM 4.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-SWIAT Nr. 41.

1890.

T R E Ś Ć.

strona

I. Sztuka wojenna w Polsce za Zygmunta. Przez Konstantego Górskiego.	1
II. Reforma gimnazjalna w Szwecyi. Przez Prof. Antoniego Okolskiego.	19
III. Zniesienie propinacyi w Galicyi. Przez Stanisława Starzyńskiego.	37
IV. Brzydka dziewczyna. Powieść. Przez Zygmunta Grabowskiego.	52
V. Robotnicy w Europie. (Les classes ouvrières en Europe. Etudes sur leurs situation materielle et morale par René-Lavollée, Paris 1888). .	84
VIII. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Poetyczna wędrówka Felibrów prowansalskich po Gaskonii.—„En Voyage“, poświęcona publikacja Wiktora Hugo.—Grobowce pomniki Wiktora Hugo i Mirabeau w Panteonie.—Zakłady naukowe w Stanach Zjednoczonych, przez Piotra Conbertin.—Spór Harlemu z Mogunecją o wynalazek druku.—Zmarła pani Ackerman.—Kongres naukowy w Limoges.—Lamenais jako polityk i miłośnik sztuki.—Powszechny alians naukowy.—Przewodnik po Paryżu i wybrzeże Normandzkie p. Chmielińskiego.—„Astra“, powieść królowej rumuńskiej.— Medal ofiarowany doktorowi Gałęzowskiemu.	101
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Marya. — Z dziejów boleści. Nowelle. Warszawa, 1890 roku. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	126
W roku 2000 (Looking Backward, 2000 — 1887). Powieść Edwarda Bellamy.—Tłumaczył z oryginału I. K. Potocki. Warsz. 1890, str. 332. Bellamy Edward. W wieku XXI. Spolszczył K. C. R. Kraków 1890. Przez G.	133
VIII. Kronika miesięczna.—Status-quo w stosunkach międzynarodowych. Zjazdy monarchów.—Antyrządowe demonstracye w Portugalii, wywołane upokarzającą ugodą z Anglią w sprawie afrykańskiej.—Rewolucya w Bellinzonie, w kantonie tessyńskim w Szwajcaryi.—Mermeix'a „Za kulissami bulanzysmu“ (Figaro). — Kompromitujący monarchistów list hr. Paryża do Senatora Bochera.—Trudność porozumienia stronictwa Staroczeskiego z Młodo-Czechami.—Ks. Sanguszko marszałkiem w Galicyi.—Prof. M. Bobrzyński wiceprezesem galicyjskiej Rady szkolnej.—Zakończenie roku szkolnego w Imperatorskim Uniwersytecie w Warszawie dn. 11-o września r. b.—O portret ks. Marka, Karmelity.—Statystyka kościołów katolickich i duchowieństwa katolickiego w cesarstwie i królestwie Polskiem.—	



De II. 1.

SZTUKA WOJENNA W POLSCE ZA ZYGMUNTÓW.

PRZEZ

Konstantego Górskiego.

I. Literatura wojskowa.—II. Zamki i miasta obroune.—III. Stan artylleryi, broni ręcznej i innego uzbrojenia.—IV. Obrona od Tatarów.—V. Urządzenia administracyjno-wojskowe. VI. Organizacya i szyk wojska.

W ciągu całego panowania obu Zygmuntów, od bitwy pod Orszą aż do czasów Batorego, korona Polska zażywała błęgiego pokoju. Wczasy te doznały krótkiej tylko przerwy wskutek dwóch niedługich i nieciężkich wojen: jednej, z Mistrzem pruskim, Albrechtem, w latach 1520—1521 i drugiej z wojewodą Mołdawskim, Piotrem, w r. 1531. Wprawdzie z Tatarami wrzała ciągła walka; ale rozpoczęła się ona jeszcze za poprzedników Zygmunta I-go, ciągnęła się po śmierci Zygmunta Augusta i była jakby plagą chroniczną Polski. Wymagała też więcej zręczności i siły pojedynczych ludzi, aniżeli mądrych strategicznych lub taktycznych kombinacji. Nie mogła więc przyczynić się do postępu w sztuce wojennej. O bojach tych z Tatarami poweźmie czytelnik wyobrażenie z ustępu o obronie granic.

Wojna Pruska skupiała się głównie około obrony i zdobywania Zamków. Stoczono wprawdzie kilka utarczek w polu, ale ani jednej walnej bitwy. Poczęta z błahego powodu, prowadzona niedoleżnie i ukończona bez żadnej dla Rptej korzyści, wojna ta może być pouczającą chyba w znaczeniu ujemnem. Nie możemy też dać szczegółowego jej opisu z przyczyny braku źródeł. Z polskich historyków pisali o niej Wapowski i Bielski, ale w sposób pobieżny, nie podając tych szczegółów, z których możnaby wyciągnąć wnioski o stanie sztuki wojennej współczesnej. Sporo ciekawych szczegółów o tej wojnie zawiera się w Tomicyanach, ale w oderwaniu od całości obrazu, nie możemy też z nich skorzystać. Brakuje nam także źródeł i opracowań ze strony niemieckiej, bez których opis nasz byłby jednostronny i niepełny. Zmuszeni tedy jesteśmy pracę tę odłożyć do pomyślniejszych czasów lub też pozostawić ją przyszłemu pokoleniu. Wojnie Mołdawskiej poświęcimy osobną rozprawę; atoli i tu świetna bitwa

pod Obertynem, która ją zakończyła, stoczona przy pomocy taboru, ma charakter wyjątkowy. I przedtém i później Polacy walczyli zwykle w otwartym polu. Pomimo więc zręczności, z jaką bitwa pod Obertynem prowadzoną była, nie posłużyła ona za wzór do naśladowania dla przyszłych pokoleń i nie wywarła żadnego wpływu na sposób wojowania Polaków.

I. Literatura wojskowa.

Rzecz naturalna, że sztuka wojenna w Polsce za Zygmunatów nie mogła rozwinać się i doskonalić praktycznie za pomocą czynów wojennych, gdy wojen prawie nie prowadzono; ale za to w dziedzinie teoretycznej doszła do wysokiego stopnia rozwoju; mamy bowiem z téj epoki dzieła nieocenionej wartości, traktujące o sztuce wojennej. Zaslugują tu na uwagę przedewszystkiem następujące: „*O gotowości wojennej Stanisława Łaskiego*“ (1543 r.), „*Consilium rationis bellicae Tarnowskiego*“ (1558 r.), „*Artykuły Floryana Zebrzydowskiego*“ (1561) i „*Sprawa Rycerska*“ Marcina Bielskiego (1569).

Dzieło o „*Gotowości wojennej*“ jest świetną na swój czas pracą. Nie posiada ono formy traktatu, ale jest zbiorem urywkowych rad i przestroż prawdziwie po żołniersku, zwięzłe, jasno i dobitnie skreślonych, w których autor dotyka wszystkich główniejszych szczegółów owoczesnej taktyki i przytem tonem pewnym pisarza, który to, co nabył przez czytanie i rozmyślanie, sprawdził i uzupełnił przez obserwacyą i doświadczenie, na wojnach i bitwach zdobyte. W osobnym rozdziale zatytułowanym: „*Szersze i osobliwsze opisanie spraw rycerskich i rzeczy bojowych, tak do staczania bitew walnych i potocznych, uwodzenia ludzi, jako i bronienia zamków i miast, wprzód hetmanom, rotmistrzom, porucznikom, potem wszelkiego stanu ludziom, chlebem rycerskim parającym się, bardzo potrzebne*“, mówi autor obszernie i szczegółowo o obronie miast i zamków, a potem podaje rady: jak się zachować i postąpić na hetman w rozmaitych przygodach i położeniach, jakie na wojnie zdarzać się mogą. Rady te podaje autor z tego, co, jak sam powiada, „*wiadał, słycał i czytał*“, podczas swéj prawdziwie rycerskiej kariery, spędzonej we Włoszech, Hiszpanii, Francji, Anglii, Portugalii, w Niemczech i na Węgrzech. Rady Łaskiego są jakby wiązką aforyzmów, z notatnika spisanych luźnie, bez porządku, tak jak się przy słyszeniu, czytaniu i rozmyślaniu nawinąć mogły. Ale wszystkie płyną z gruntownej znajomości życia, stosunków i zawodu żołnierskiego. Wartość jednak téj drugiejszej części jest znacznie niższa od poprzedniejszej.

„*Consilium*“ Tarnowskiego traktuje o wojnie i jej potrzebach, o staczaniu bitw, o szyku, o znaczeniu miejsca, czyli pozycjach, o użyciu broni i innych kwestjach z dziedziny taktyki; ale ze stanowiska

więcej ogólnego i więcej naukowego, aniżeli praca Łaskiego. A że Tarnowski jako hetman prowadził sam wojny i staczał bitwy, a pisząc dzieło po ukończeniu kariery wojennej, złożył w niem nietylko wyniki studyów i rozmyślań, ale i owoce własnego doświadczenia, przeto znakomitym jest w każdej potrzebie nauczycielem i przewodnikiem. I to jeszcze należy dodać na pochwałę Tarnowskiego, że gdy w epoce odrodzenia na wszystkich polach naukowych i we wszystkich gałęziach wiedzy, nie wyłączając i wojskowej, czerpano pełną garścią u Greków i Rzymian i naukowe ich zdobycze za wzór stawiano, to śladów tej erudycyi u Tarnowskiego wcale nie dostrzegamy. Nie wiadomo z kąd powziął swą naukę Tarnowski, ale to wszystko, co nam w swém wiekopomnym dziele zostawił, nosi charakter samodzielny, jakby wyrosły na właściwym sobie gruncie i zastosowany do miejscowych warunków i położenia.

„Artykuły, które są opowiadane przez Wielmożnego pana Floryana Zebrzydowskiego, Kasztelana Lubelskiego, burgrabie Krakowskiego, Sądeckiego, Tyszowieckiego Starostę, wojska polskiego najwyższego hetmana“ w r. 1561 pod Zelborkiem (w Kurlandyi), podczas wojny z Moskwą, są nietylko kodeksem karnym, ale obejmują w sobie przepisy: jak żołnierze mieli się zachowywać w szyku, w boju, w obozie, na pochodzie i na straży. Są to przepisy, zawierające się w dzisiejszych regulaminach o służbie w polu (Felddienstreglement). Spotykanym tu niezmiernie ciekawe szczegóły, których w powyżej przytoczonych pismach nie znajdujemy; są też z tego względu artykuły Zebrzydowskiego bardzo pożądanym uzupełnieniem wiadomości do zrozumienia sprawy rycerskiej owych czasów.

Nie posiada już tej wartości „Sprawa Rycerska“ Bielskiego, który stawi w niej za wzór greckich i rzymskich „waleczników“, chociaż falanga i kohorta dalekie były od ideału, a dodać należy, że za czasów Bielskiego sprawy wojenne Greków i Rzymian nie były jeszcze krytycznie zbadane, wprowadzenie zaś w użycie dział i broni ręcznej z gruntu zmieniło taktyczne formy. Jako żołnierz musiał znać Bielski współczesną sztukę wojenną, miesza tedy w swém piśmie stare, przeżyłe z nowym. Dla szyku proponuje najdziwniejsze formy, nie wiedząc o tém, że szyk nie jest czémś dowolnym, ale zależy od broni, której wojsko w boju używa. Podaje jednak ciekawe i wierne wiadomości o sprawie wojennej Tatarskiej, Wołoskiej Moskiewskiej i Polskiej, najmniej o Tureckiej. Zasługują też na uwagę rady, odnoszące się do zdobywania i bronięcia zamków tu dzieł do sztuki puszkarskiej.

Nie możemy się tu zapuszczać w szczegółowy rozbiór wspomnianych powyżej pięknych dzieł naszej literatury wojskowej, raz dla tego, że każde z nich wymagałoby osobnej rozprawy, a potem, że przy słabym rozpowszechnieniu w naszym społeczeństwie wiedzy fachowo-wojskowej, pracy mojej nie możnaby ani zrozumieć, ani zająć i zainteresować nią szerszego koła czytelników. Pozostawiam tedy trud ten przyszłym pracownikom na polu historii

wojennęj polskiej; nadmienię tylko, że tak wysoce cennych utworów, jak dzieła Łaskiego, a szczególnie Tarnowskiego, ani nasza literatura wojskowa z późniejszych czasów, ani europejska—spółczesna nie posiadała. W literaturze europejskiej spotykamy pisma Machiavellego (1469—1527) „Dell'arte della Guerra“, dzieło wprawdzie pomnikowe, zawierające mnóstwo świetnych pomysłów do reformy sztuki wojennęj współczesnej; ale był to owoc rozmyślań, wysnutych jedynie z wzorów przeszłości, nie uwzględniający współczesnej praktyki.

Wacława Włezka: „Nauceni ku kroli Władisławowi, kterek semagi ssikowati gizdni, pessi i wozi“ wydane około 1490, traktuje głównie o szyku i podaje kilka rad, które mogły być zastosowane w pewnych tylko razach i w szczególném położeniu. Inne, jak: Roberta Walthera (Vulturius) 1483 r., Albrechta Dürera (1471—1538), Battista della Valle (1524), De la Treille (1557), Turtaglia (1537—1546) oraz „Kriegsbuch“ niewiadomego autora i inne współczesne pouczają o machinach wojennych, o artylleryi i fortyfikacyi. Takich atoli dzieł, któreby jak „Consilium“ obejmowało całokształt strategii i taktyki, ułożonych samodzielnie, we współczesnej literaturze europejskiej nie znajdujemy wcale.

Czy wywarły i jaki mianowicie wpływ pisma Łaskiego, Tarnowskiego i Zebrzydowskiego na wykształcenie naszych żołnierzy i hetmanów, o tém bliższych wiadomości nie mamy. To pewna, że Zamojskiemu znane było „Consilium rationis bellicae“ gdyż jego: „Rada sprawy wojennęj“ jest niejako powtórzeniem Consilium Tarnowskiego. Musiał je czytać także i Żółkiewski, zostający w bliskich stosunkach z Zamojskim; zdaje się jednak, że pisma te zaszczyliły w wojsku polskiem owe zdrowe zasady sztuki wojennęj, któremi się rycerstwo nasze rządziło w ciągu całego swego istnienia.

II. Zamki i miasta obronne.

Zygmunt stary uważał zamki za ważny filar obrony państwa, budował też nowe twierdze, oprawiał stare i pilnie się troszczył o utrzymanie ich w należytm porządku. Czytamy o nim w roczniku Świętokrzyskim ¹⁾. „Nullus tantos thesauros in militem et ad exornandos regios arces profudit“. Nie mniej dbałym był o porządkny stan zamków i Zygmunt August, jak tego dowodzą rewizye z jego rozkazu czynione. Mówiąc tedy o sztuce wojennęj za panowania obu Zygmuntów, którzy więcj o odparciu pretensyi i napadów obcych, aniżeli o wojnach zaczepnych myśleli, niepodobna pominąć obrony krajowęj polegającęj na obwarowanych dobrze zamkach.

Wiadomo, że na całej przestrzeni dawnęj Polski, równie jak w Prusach książących spotykamy dotąd szczątki lub ślady dawnych bardzo twierdz obronnych w kształcie redut, czyli okopów zamkniętych, czworobocznych, wielobocznych, a najczęścięj okrągłych, składających się z wałów ze śladami foss przed niomi, zwanych pospolicie

¹⁾ Monumenta Poloniae histor. Bielowskiego. III 93.

szańcami szwedzkimi. Że szwedzi tych szzańców nie budowali, to nie ulega żadnej wątpliwości. Wprawdzie Gustaw Adolf był bardzo zamiłowany w okopnictwie, ale jego działalność skupiała się głównie pomiędzy Pilawą, Elblągiem, Tczewem a Gdańskiem. Raz tylko wybiegły usiłowania jego za tę zaczarowaną granicę i rozpostarły się aż do Grudziądza i Brodnicy, to też tylko na tej przestrzeni mogłyby się znajdować resztki szzańców Gustawa Adolfa. Karol X miał umocnioną pozycją na miejscu dzisiejszego Modlina i na niektórych punktach w Prusach Zachodnich, a więcęj nigdzie. Karol XII prowadził wojnę sposobem zaczepnym i w okopach ani się kochał, ani też nie czuł ich potrzeby. Zresztą szzańce szwedzkie miały zupełnie inny charakter, inną formę i łatwo odróżnić je można, a tymczasem na mapie Prus niemieckiego sztabu głównego spotyka się prawie na każdym kroku t. zw. „Schwedenschanze“.

Twierdze ziemne, o których mowa, znane także pod nazwą grodów, rozrzucone na przestrzeni dawniej Rptej muszą być spuścizną bardzo odległej przeszłości, gdyż znajduwane w nich przedmioty należą do epoki przedhistorycznej ¹⁾. Wyjątek stanowią chyba okopy pruskie, budowane nie tylko przez dzikich Prusów, ale i przez Krzyżaków, w których się to jedni, to drudzy na przemian bronili.

Lubo i w naszych czasach wał i rów przed nim służą za przeszkodę szturmowi, to dzisiejsze szzańce, nawet i połowe posiadają prócz tego silną obronę krzyżową z dział i broni ręcznej, gdy starożytne okopy, prócz obrony piersią mogły być bronione tylko z czoła za pomocą łuków. Nadto przecięcie ich w stosunku do twierdz stałych, opatrzonych w głębokie i szerokie rowy z kamiennymi szkarpami i przeciwszkarpami, było za słabe; ostrokół zaś (czyli palisada) umieszczony, czy to nad szkarpą, czy też na szczycie wału ²⁾, łatwo mógł być zrąbany, lub spalony, za mało też wzmacniał obronność. I to właśnie musiało być przyczyną, dla której, nie dowierając przeszkodzie, jaką stawały nieprzyjacielowi wał, przepok i palisada, szukano ochrony w położeniu miejsca i wybierano dla twierdz punkta, o ile można jak najmniej dostępne wśród bagien, jezior, w zagięciach rzek, na stromych ich brzegach, lub też na skałach urwistych. Co jednak jest największą zagadką w tych grodach starożytnych, to ich najczęściej bardzo szczupłą objętość, obszerniejsze bowiem przestrzenie, w okopach zawarte, spotykają się bardzo rzadko i mogą należeć do późniejszych czasów. Wypada ztąd wnosić, że i załogi broniące tych okopów musiały być niezauczne; a to wszystko wzięte razem w połączeniu z wielką mnogością grodzisk, zdaje się wskazywać na to, że okopy te odnoszą się do czasów patryarchalnego bytu Polaków, lub też w ogólności słowian, gdy przy braku

¹⁾ Zakrzewski „o grodach Wielkopolskich“⁴. W zapiskach archeologiczn. Poznańskich r. 1887 p. 6. ²⁾ Ibid. 16.

władzy wyższej wzajemne spory pomiędzy rodami rozstrzygały się z bronią w rękę, przyczem słabszy musiał się uciekać do sztucznej obrony za pomocą wałów i przekopów. W każdym razie twierdze ziemne wypadają uważać za pierwotną formę sztucznej obrony, czyli fortyfikacji Polaków.

Formą późniejszą były grody, z drzewa już budowane. Spotykamy je na ziemiach słowiańskich już w r. 1127, (na wyspie Rugii¹⁾), w r. 1255 w Nakle²⁾. W Santoku znajdował się także zamek z drzewa, wzniesiony przez Bolesława pobożnego, który według umowy z Markgrabią musiał sam następnie spalić³⁾. Nawet zamek w Krakowie w r. 1306 był jeszcze drewniany⁴⁾. Ze szczegółowego opisu rewizji zamków ziemi wołyńskiej, uczynionej w r. 1545, z rozkazu Zygmunta Augusta, podówczas W. Ks. Litewskiego⁵⁾, można sobie utworzyć pojęcie zarówno o kształcie, jako też i o sposobie sporządzania zamków drewnianych. Budowano je zwykle we dwie ściany, w kształcie izby (Stubella) z okrągłych lub ociosanych bali sosnowych lub dębowych od 3-ch do 6 sążni długich, połączonych w zrąb („w zamok“) z poprzecznymi balami. Konstrukcja taka była powszechniejszą i trwalszą, ale jej nie zawsze używano. Rewizya skarży się, że zamki Łucki i Winnicki, budowane słabiej a chociaż nie opisuje sposobu tej budowli, domyślać się można, iż polegała ona na tém, że dyle lub okrągłaki zapuszczano w pazy między słupy, które ściągano poprzecznymi belkami. Nakrycie izbic; składające się z desek, przybitych za pomocą gwoździ do belek poprzecznych, służyło za blanki, na których stawiali obrońcy, a wewnątrz ich za schronisko dostatków szlachty i ludu okolicznego, podczas najazdów nieprzyjacielskich. Z przodu na izbicach urządził się parapet, albo przedpiersie z desek, dla osłony obrońców, zwany także blankami⁶⁾. Z zewnątrz budowa obmazywała się grubą warstwą gliny dla uchronienia od podpalenia. U wjazdów, a także co kilka lub kilkanaście izbic, szczelnie z sobą połączonych i nazywających się przesłami albo horodniami, znajdowały się wieże, służące za strażnice, lub do umieszczenia artyllie-

¹⁾ Mon. Pol. II 124. ²⁾ Cromer IX p. 155. ³⁾ Mon. Pol. II 393.
⁴⁾ Crom. X 184. ⁵⁾ Źródła dziejowe VI 28. ⁶⁾ Wyras blanki odpowiada niemieckiemu „Zinnen“, co znaczyło parapet albo przedpiersie, stanowiące wierzchołek murów, w zamkach zwykle zębony. U nas tenże wyraz używał się zarówno w znaczeniu przedpiersia, jak też ławy czy to murowanej, czy to drownianej, na której stawiali obrońcy dla odpierania szturmów. Za dowód pierwszego znaczenia może służyć: „a kotory dwie storonie sut' bez oblankow... jest welmi trudno bezpieczeństwo strelhy czasu przyhody“; albo: „kotoryi powodajut blanki derowom na mury powinny robity“. W drugim zaś znaczeniu: za niebezpiecznym chożeniem po blankam“. (Zob. „Źródła dziejowe“. T. VI p. 92, 96, 33.

ryi ¹⁾. Z blanków prowadzono obronę przeważnie z hakownic i rusznic. Tu także leżały zawczasu przygotowane: kłody, kamienie, koły i trójzęby dla odpierania nieprzyjaciela, w czasie szturm. Dla wprowadzenia dział na wieżę tudzież dla wejścia na blanki, urządziły się pochyłe pomosty z desek, a dla komunikacji wewnętrznej wschody w wieży. Wieże, miały wyjście na blanki, za pomocą drzwi bocznych tak że cały obwód ścian zamku można było obejść dokoła. Niektóre twierdze, jak np. Łucka i Włodzimierska składały się z dwóch zamków: wyższego i okolnego. Nie były to jednak zamki wewnętrzny i zewnętrzny; ze słów bowiem rewizyi: ²⁾ „ktoryi porzekopy i wały sut' około oboich zamkow, wysznoho i okolnoho“, wypada wnosić, że to były warownie z sobą połączone. Mogło to być w ten sposób, iż zamek „wyszni“, przylegając zewnętrzną stroną do miejsc niedostępnych, miał z tej strony naturalną obronę, ściany zaś jego wewnętrzne zawierały się między ścianami zamku okolnego. Służył on w ten sposób za schronienie ostateczne (reduit) dla załogi, po upadku zamku okolnego.

Miasta do zamku przylegające opasywano parkanem, zapewne z jednej ściany, z dylów między słupy zakładanych i otaczano wysokim wałem, niekiedy jak np. we Włodzimierzu podwójnym, z przepiekopem lub przekopami, czasami jak we Włodzimierzu i Łucku wodą napełnionemi. Zdarzało się jednak, że parkan zastępowano zwyczajnym płotem wysokim, gliną tylko oblepionym: ³⁾ „możet bez derewnych horodeń, pletniom mocno meży słupia opletszy i hlinoju tołsto obmuzawszy i werchi oblankowawszy, togdy dosyt' twerdo bude“. Słowa te rewizyi stosują się do zamku Braclawskiego i zapewne przeciwko Tatarom, nie bawiącym się zdobywaniem zamków mogła taka obrona być dostateczną. Zamki, którym zagrażała Moskwa, jak np. zamek Połocki, budowano w 5 ścian, a wieże we 3 ściany ⁴⁾ i prócz tego zewnętrzne przedziały izbic ziemią napełniano. Horodnie takie zwały się „nametnymi“. Podobnie i zamek Kijowski posiadał ściany ziemią fasowane ⁵⁾.

W Koronie, już od Kazimierza W., zaczęto zastępować drzewo murem t. j. stosować trzecią jakby wyższą formę obrony. Kazimierz, który podczas podróży do Malborge w r. 1368, oglądał z podziwem zamki krzyżackie ⁶⁾ i kochał się w budownictwie, wystawił podług świadectwa Jana z Czarnkowa ⁷⁾, mnóstwo zamków, jak: w Sandomierzu, Olkuszu, Będzinie, Lełowie, Czorsztynie, Niepołomicach, Oczecczu, Krzepicach, Sieciechowie, Korczynie, Nakle, Wieluniu, Międzyrzeczu, Ostrzeszowie, Bolesławicach, Piotrkowie,

¹⁾ Wieże bywały niekiedy, jak np. w zamku kijowskim dwupiętrowe i zawierały obronę działową dolną, średnią i górną. ²⁾ Zr. Dz. VI. 16. ³⁾ Ibid. 120. ⁴⁾ Scriptores rerum Polonicarum IV. 165. ⁵⁾ Kronika Marcina Bielskiego. Warszawa 1764 r. p. 36. ⁶⁾ Ibid. str. 200. ⁷⁾ Mon. Pol. 11. 625.

Brzeźnicy, Inowłodziu, Lelowie, Przemyślu, Krośnie, Sanoku, Lubaczowie, Trębowli, Haliczu, Tastrze. Wszystkie te zamki miały się odznaczać trwałością i silną budową, opatrzone były w wieże i otoczone głębokimi przekopami. Tenże Król opasał drugim murem zamek Płocki, pobudował zamek w Łucku i rozpoczął obwarowanie Włodzimierza, którego z powodu śmierci dokonać nie mógł. Nie wszystkie jednak pomienione zamki były murowane, z pewnością bowiem wiadomo, że zamek w Przemyślu był drewniany. Trudno odgadnąć, jakimi widokami pod względem strategicznym rządził się król Kazimierz w stawianiu zamków. Budował on je nie tylko na pograniczach, ale i wewnątrz swego państwa, jak w Korczynie, Niepołomicach, Sieciechowie, Brzeźnicy, Piotrkowie, nie wiadomo przeciwko jakiemu nieprzyjacielowi, chyba przeciwko Krzyżakom, których się wciąż obawiał.

Sukcesorowie jego, Kazimierz Jagiellończyk i Aleksander, pobudowali kilka zamków, jak we Włodzimierzu, Braclawiu, Kamieńcu, Międzybożu i Bakocie ¹⁾, widocznie przeciwko Tatarom.

Szeroką i energiczną czynność około opatrzenia swego państwa w twierdze rozwinął Zygmunt I-szy. Umocnił on wieżami zamek w Piotrkowie, opasał go też wałem i przekopem wodą napełnionym, otoczył trwałym murem, wałem i fosą miasto Proszowice, oparł zamki w Sandomierzu i Przemyślu i przygotowywał materiał dla zbudowania w tém ostatniem miejscu zamku murowanego. ²⁾ Wystawił też nowy drewniany zamek w Żytomierzu. ³⁾ W Kamieńcu ciągniono dalej robotę około budowy twierdzy, na co obracano dochody S-go Piotra i spadki po zmarłych bezpotomnie księżach, oraz legaty i zapisy. Ale i Kamieńczanie przykładali się do téj pracy. Król Zygmunt upomina ich po kilkakrotnie, aby się starali o obwarowanie swego miasta, ⁴⁾ a Staroście Kamienieckiemu, Lanckorońskiemu, każe tego dopilnować. Za panowania też Zygmunta umocniono murem Zawichost i Pilzno. ⁵⁾ Smotrycz nie miał zamku i w skutek tego rozbiegali się mieszczanie za każdym napadem Tatarów, odstąpiono im tedy dwuletni szos na pobudowanie murów. Chmielnik, Gródek, Stryj, Bóbrka otrzymały na 8—10 lat uwolnienie od podatków na rzecz umocnienia tych miast. Andrzejowi Tęczyńskiemu i Ottonowi z Chadczu oddano w dożywotnie posiadanie Trębowlę i Halicz z obowiązkiem wystawienia tam warowni. Na rzecz wznowienia zamków w Bełżu, Busku, Krasnostawie, Turobinie, Chelmie, Drohobyczu darowano podatki i wydano przywileje na woskobojnice, składy soli, postrzygalnie i samokupstwo wódki. ⁶⁾ Nieodbieranie podatków ze Lwowa stało się zwyczajnem, pozostawały one przy urzędzie

¹⁾ Macieja Strykowskiego kronika. Warszawa 1846 r. II. 229 ²⁾ Acta Tomiciana II ust. 101. ³⁾ Zr. Dz. VI. 128. ⁴⁾ Tomic. I. ust. 262. ⁵⁾ Trzy rozdziały z historii skarbowości w Polsce. Przez L. Kraków 1868 r. Motyka Koronna ks. 33). ⁶⁾ Ib. ks. 35—39. ⁷⁾ Trzy rozdz. 61.

na naprawę murów. Szlachta, kmiecie i mieszczenie, przy pomocy Starosty Krzysztofa Szydłowieckiego wzmacniają Łuków; Urzędów zaś na dokończenie murów i Opatów na naprawienie parkanów otrzymują zapomogę. Podobnież zapomogę dostaje Piotr Tomicki, biskup brzesko-kujawski i Jan Tarnowski, na wystawienie twierdz w Radymnie i Przeworsku, a Podgórskie miasta Sanok i Biecz na dalsze prowadzenie murów ¹⁾. Widzimy ztąd, na jak rozległą skalę prowadzone były za Zygmunta roboty fortyfikacyjne, około obwarowania miast, a to głównie w celu zabezpieczenia ich od groźnych napadów tatarskich.

Zygmunt August wystawił zamek w Tykocinie i pobudował kilka zamków na Litwie w celu obrony od Moskwy. Za panowania tego króla znajdowały się w Księstwie twierdze w następujących miejscach: W Wilnie, Połocku, Witebsku, Orszy, Mohylowie, Borysowie, Mińsku, Propojsku, Czeczersku, Mścisławiu, Radomli, Lubiczu, Homlu, Rzeczycy, Krzyczowie, Mozyrzu, Ostrzu, Radoszkowicach, Braclawiu Litewskim, Dryssie, Lepłu, Kopcu albo Uściu, Drui, Surażu, Osierzyszczu, Kaspli, Miadziole, Nowogródku, Świsłoczy, Trokach, Upicie, Tykocinie, Czarnobylu, Owruczu, Kaniowie, Czerkasach, Białej Cerkwi, Chorbicy, Włodzimierzu, Braclawiu Podolskim, Międzybożu, Łucku, Krzemieńcu i Kijowie. ²⁾ Wszystkie wyliczone zamki, z wyjątkiem wileńskiego, krzemienieckiego i w części łuckiego, były drewniane.

Trudno jednak z pewnością wskazać, który z wielkiego mnóstwa zamków, rozsianych na przestrzeni Rptój, przez którego mianowicie panującego był zbudowany; pod tym bowiem względem panuje u historyków wielka gmatwanina, a to z tego powodu, że na tém samym miejscu powstawały czasami pokilkakroć twierdze, czy to, że po spaleniu drewnianej stawiano nową drewnianą, czyli też że na miejscu drewnianej budowano murowaną. W Przemysłu np. był już zamek z wieżami z drzewa za panowania Bolesława Śmiałego, tymczasem podług świadectwa Jana z Czarnkowa król Kazimierz wystawił tam znowu zamek. Zygmunt go oprawia i gromadzi materyał do budowy murowanego.

Panowała też wielka różnaitość w budowie zamków szczególniej murowanych, co do kształtu, rozmiarów i położenia, których nie można podciągnąć pod żadne typy lub normy. Przekorna łacina nie pozostawiła nam słów polskich używane przez nią wyrazy *arx*, *castellum*, *castrum*, *munitio*, *munimentum*, *fortalicium*, *propugnaculum*. Pozostały nam tylko nazwy: zamek, gród, twierdza, (ćwierdza, czwyerdza), których używamy jako synonimów i wieża (wiesz), a wyrazy: „wysokoszcz“ i „twarde miasta“ poszły w zapomnienie. Inny kształt mają

¹⁾ 16. 16. Prace naukowe i dyplomatyczne Stanisława Laskiego. Wilno. 1864. ²⁾ Kodeks Małopolski p. 64.

zamki królewskie i pańskie, a inny warownie przy miastach lub same umocnione miasta. Inne znowu zamki stawiane na urwistych skałach, a inne na równinach.

Zamki pańskie, budowane na górach i skałach niedostępnych, miały zwykle kształty murów zewnętrznych, zastosowane do formy wierzchołka, na którym spoczywały. Wewnątrz tego muru, przeplatane rozmaitych kształtów wieżami, mieściły się budowle pana zamku i jego rodziny, oraz sług najbliższych, pomieszkania dla druzyny wojowników, przeznaczonych do obrony zamku, a oprócz tego: stajnie i składy broni i sprzętów wojennych. Bywało też, że osobne kościołki albo kaplice umieszczano w mieszkaniu pana. Jedną z wież najwyższą, służyła za strażnicę i ostatnią ucieczkę w razie napadu. Ale były zamki, składające się z budowli i wież, obejmujących jedno tylko podwórze wewnętrzne i mnóstwo innych form, których, jak powiedziałem, pod żaden typ ogólny podprowadzić nie można.

Co do miast obronnych murowanych, to bliższą wiadomość posiadamy o zamku Płockim, którego mur w r. 1353 miał fundamenta w ziemi 4 łokci (ulnus), wysokości 17 łokci, grubości 3½ łokci i co każde 60 łokci wieżę, która na 4 łokcie z muru występowała. ¹⁾ Mury zamku Kamienieckiego trzymały wysokości 19—22 łokci, grubość zaś ich w wieżach dosięgała 14 łokci, głębokość i szerokość przekopów była różna. Był to jednak zamek oddzielony od miasta. ²⁾

Miasta warowne murowane, jak Kraków, Lwów, Sandomierz, Poznań — przedstawiają wiele podobieństwa. Z rycin, opisów i pewnych szczegółów, które nas doszły o uzbrojeniu, lubo w ulamkach, możemy utworzyć sobie dość jasne pojęcie o stanie obronnym miast wspomnianych. Kraków np. opasany był podwójnym murem. Z tych mur przedni był niższy i opatrzony w strzelnice, ale wież nie posiadał i mógł być broniony tylko z broni ręcznej. Mur wewnętrzny, wysoki może do 4 sążni, przeplatany był wieżami okrągłymi i czworobocznymi o kilku piętrach, w których skupiała się obrona działowa. Działka te rozmieszczały się częstokroć na wszystkich piętrach, ale liczba ich, a szczególnie słaby wagomiar, (były to bowiem przeważnie falkonety 1 do 2 funtowe), każą wnosić, że skuteczność ich działania była bardzo niewielka. Mogły one składać się jakkolwiek na obronę krzyżową w pewnej odległości, ale dostępu do murów, a szczególnie zbliśka broniły bardzo słabo i obrony bokowej wcale nie popierały. Podobnie i mury, łączące z sobą wieże, dawały obronę tylko czołową, z wyrzniętych w nich dość rzadkich strzelnic. Używane były do tego przeważnie hakownice, ale manipulacje z nimi, przy wązkich blankach, na których obrońce stali, musiała być bardzo utrudnioną. Za blanki zaś służyły tarasy, powstałe przez zwężenie na pewnej wysokości, mianowicie pod strzelnicami

¹⁾ Kodeks Młp. p. 64. ²⁾ Przegląd Bibliograficzno-Archeologiczny. T. III*

grubego muru dolnego, na którym spoczywał mur wyższy. Znacznie jednak przykładał się do wzmocnienia obronności miasta wysoki wał ziemny, z fossą przed nim, który osłaniał mury miejskie przed wystrzałami nieprzyjaciela. Zapewnie mógł on razie wierzechnie części murów i wieże, mógł przebijać dachy z moździerzy i zapalać domy; ale nie mógł osiągnąć dolnej części ścian; wystrzał bowiem przeskokowy, za pomocą którego kulami przelatającymi po nad wałem, trafiają w fundament muru, nie był podówczas znany. Za wałem stawała najemna piechota, także ustawiała się artylerya ciężka, którą przechowywano w cekauzie miejskim i w ten sposób zewnętrzne strony miasta posiadały jeżeli nietrzy, to w każdym razie dwupiętrową obronę.

Do stawiania zamków powoływano ludzi fachowych. Tak np. zamek Kamieniecki buduje naprzód Aron Dąbrowski ¹⁾, a potem Jop Prusak ²⁾. Dozór nad przysposobieniem materyałów do budowy zamku w Przemyślu, każe Zygmunt polecić kanonikowi Przemyślskiemu mistrzowi Mateuszowi ³⁾. Dla oprawy zamku Włodzimierskiego posyła dworzanina Fedora Sułtanowicza ⁴⁾, a zamek Żytomierski buduje Somen Babiński ⁵⁾.

Budowa i oprawa zamków spoczywała pierwotnie na okolicznym ziemiaństwie t. j. panach, szlachcie i ich poddanych. Było to rzeczą zupełnie naturalną, że twierdze stawiali i utrzymywali w porządku ci, którym za schronienie służyć miały. W przywileju z roku 1252, powiedziano: „ita ut episcopus cum suo capitulo izbicam unam ponat, ut alii nobiles terrae nostrae consveverunt“ ⁶⁾. Przy włączeniu Mazowsza do korony uwolniono szlachtę od obowiązku stawiania zamków ⁷⁾.

Nawet włości do duchowieństwa należące z małemi tylko wyjątkami, opartemi na szczególnych przywilejach, nie były wolne od obowiązku budowania i oprawiania zamków. Tak biskup Poznański ze swą kapitułą był obowiązany do sporządzenia jednój izbicy. Poddani biskupa Krakowskiego winni byli przykładać się do stawiania zamków w Krakowie i Sandomierzu i pobudowania w nich dwóch izbic ⁸⁾. Podobnie wsie, należące do klasztorów Łysogórskiego ⁹⁾ i Koprzywnickiego ¹⁰⁾, mogły być powoływane do budowy i oprawy tegoż zamku, poddani zaś klasztoru Sulejowskiego ¹¹⁾ i Lubiąskiego zupełnie byli zwolnieni od uczestniczenia w stawianiu twierdz; ale kodeks Mazowiecki obowiązywał ich do umocnienia i osieczenia wspomnianych klasztorów. Naprawę parkanów w zamku Sanockim. odbywają kmiecie i tyle winni naprawić, ile łąnów w ich wsiach, się znajduje, resztę reperuje królowa t. j. jej włości ¹²⁾.

¹⁾ Trzy rozd. p. 61. ²⁾ Ateneum T. III, 1880 Podole Jabłonowski-go.

³⁾ Tom. III. str. 291. ⁴⁾ Zr. Dz. VI. 10. ⁵⁾ 16. 128. ⁶⁾ Kodeks Wielkopolski I no 302 p. 369. ⁷⁾ Trzy rozd. p. 96. ⁸⁾ Kodeks. Kat. Krakow. no 43 p. 59. ⁹⁾ Kodeks dypl. Mp. II. p. 476. ¹⁰⁾ Kod. Mp. III. p. 497.

¹¹⁾ Kod. Wp. I. p. 304. ¹²⁾ Akta Grodz. i Ziem. XI. p. 2681.

Wpředce jednak duchowieństwo i szlachta potrafili uchylić się, jak z pod innych, ciężących na nich powinności państwowych, tak również z pod obowiązku stawiania i oprawy zamków. Już pod rokiem 1257 czytamy, że biskup Krakowski i kler jego tylko na Naszę pokorną prośbę zgodzili się na udział swych wolnych i poddanych ludzi w robocie zamku Krakowskiego i Sandomierskiego, ale Bolesław Wstydlivy, Książę Krakowski i Sand., zastrzega w przywileju, że to nie ma przeszkadzać wolnościom kościoła w innych razach ¹⁾. W przywileju Koszyckim powiedziano: w razie potrzeby opravowania starego zamku, ma go oprawiać burgrabia albo dzierżyciel onego. W przypadku wojny mają się przykładać do reperacyi zamku ludzie tego powiatu, w którym zamek leży. Jeśli panowie, radząc z królem pospołu, uznają potrzebę zbudowania na jakimś miejscu nowego zamku, to obowiązani będą przyjąć udział w budowie, jeśli zaś sam król bez porady z temiż panami zechce postawić nowy zamek, to ponosi koszta z własnego skarbu. Ks. Mazowiecki w r. 1342 uwalnia w zamian czynszów, od wszelkich robót w starych zamkach, wyjąwszy jednak budowę nowych, do czego iść muszą ²⁾. W r. 1476 ks. Konrad Mazowiecki oswabadza dobra od wszelkich powinności przy stawianiu nowych zamków ³⁾, a pod rokiem 1459 w „*Conclusiones convocationis Piotrkoviensis*“, czytamy: „*Item castra et stipendiarii per dominum regem debent provideri*“ ⁴⁾.

Za Zygmunta starego naprawa uszkodzeń w zamkach ciąży na starostach, z których winy to się stać mogło; atoli król szcudroblig dopomaga im z własnej kieszeni ⁵⁾.

Na Litwie podobnie jak w koronie budowanie i oprawa zamków ciążyły na książętach, panach, szlachcie i ich poddanych. Przy wprowadzeniu wiary chrześcijańskiej w r. 1389 Jagiello uwolnił swój naród od niektórych robocizn, zastrzegając zachowanie i nadal powinności względem stawiania zamków i posługi wojennej ⁶⁾. Jeszcze za panowania króla Zygmunta oprawa twierdz ciążyła na ziemiaństwie okoliczném. „Zdawnych czasów panowie i wszystka szlachta powiatu wołodymirskoho blanki robiat i poprawlajut i hlinoju mażut każdyi swoi czasti ⁷⁾“. X. ma dwie horodni: „odna z otczynnych imenii, a druhuju z kuplenych,“ „także z imenii wysłuchi i kupli“ ⁸⁾.

¹⁾ Kod. Kt. Kr. p. 58 p. 73. ²⁾ Kd. Maz. p. 180. ³⁾ Ib. p. 270.

⁴⁾ Jus Polonic. 294. ⁵⁾ Tom, II. str. 232. ⁶⁾ Trzy rozd. p. 2. ⁷⁾ Zr. Dz. VI p. 6. ⁸⁾ Ibid. 132. 133. Zdarzyły się jednakże wypadki, że do oprawy zamków, zapewne dla przyspieszenia robót, powoływano z bardzo nawet odległych stron. Tak w Metr. Litow. pod r. 7015 (1507) Maja 2. (Trzy rozd. p. 6) czytamy: „posłany do Łucka zamłku oprawlati z Bielska 150 czołowik z topory, z Kamieńca (litewskiego) 100 czoł., z Mielnika 50, z Słonima a z Dłowa 200, z Wołkowyska 100, z Dorohiczyna 150, a majut byt' w tydzień po S-ym Janie. A do Kijowa ludzi posłany horoda oprawlati z połdnoprskich wołostej: z Bobrujska z oboich połowic 80 czołowik z topory, z Brahima 40 czoł., z Mozyra, z Porycza 80, z Roczycy 60, z Homela 40.

Wyznać jednakże wypada, że sposób ten utrzymywania zamków wpływał bardzo szkodliwie na ich stan zrujnowany. Z rewizyi, o której wspomniano, okazało się, że niektóre z tych zamków litewskich znajdowały się w położeniu nader opłakaném. W jednych horodniach pogniły podwaliny, winnych średnie lub górne części izbic potrzebowały naprawy, inne horodnie nie miały pokrycia, w wieżach podziurawiły się lub poopadały dachy, tu brakowało blanków, tam wjazdów i wchodów na wieże i blanki. U bram niedostawało uzwadów, albo łańcuchów wzwodowych i zamków i t. d.

Przyczyna tych braków wpływała naturalnie z samego porządku rzeczy, czyli z zastosowanego systemu konserwacyi zamków. Były horodnie, których oprawa ciążyła na kilku szlacheicach. Były znowu inne, nad któremi mieli pracować wspólnie szlachta z mieszczanami. Były też wieże, które powinni byli utrzymywać w porządku wspólnie wszyscy kniaziowie, panowie i szlachta całego powiatu. Rzecz oczywista, że pomiędzy współpracownikami musiały wynikać nieporozumienia i kłótnie, ze szkodą dla przedmiotu sporu. Trudno też było w podobnych razach doszukać się winowajcy. Do tego możniejsi panowie, od czasu jak zostali posiadaczami własnych zamków, zaczęli się uchylać od powinności ogólnej, a za ich przykładem szli inni. Nadto wiele dóbr królewskich, czy to za zasługi, czy też *jure caduco* dostało się w ręce prywatne, a i własność prywatna przechodziła z rąk do rąk, nowi zaś właściciele wkładali na swych poddanych nowe ciężary, nie dopuszczając ich do pełnienia zobowiązań poprzednich. Wszystko to razem wzięte wytwarzało zamęt i zamieszanie ze szkodą dla sprawy publicznej. Nareszcie przełożeni zamków—starostowie, częstokroć w zamkach nie mieszkali, podobnie jak podwładni ich horodniczowie i klucznicy, a przez to nadzór i obsługa zamków były w zupełném zaniedbaniu. Kradziono łańcuchy zwodowe, zamki od bram i wszelkie żelazto, także deski z blanków i inne rzeczy, bo tego nikt nie pilnował ¹⁾.

Nie lepiej się działo i w koronie. Z rewizyi zamków pruskich, uczynionej z rozkazu Zygmunta I-go w r. 1514, przez biskupa Chełmińskiego, wspólnie z Mikołajem Szpotem, starostą Gdańskim, okazało się, że stan tych zamków wiele pozostawiał do życzenia. Z tego powodu pisze król do starostów: „*Castra male dirigitis, provisionem tam alimentorum, quam etiam arma ad defensionem in eis non habendo, quinimis castra ipsa ruentia non instauratis in maximum detrimentum et periculum regni*“ ²⁾.

¹⁾ Zr. Dz. T. VI. Na włościanach ciążyły najrozmaitsze powinności względem zamków. Prócz budowania horodni, niektórzy obowiązani byli utrzymywać straż na zamkach, inni wozić kamienie na kule kamienne, inni sporządzać koła i osie do armat, inni dawać okucie do kół i łóz. Wzwoody i zamki do wrót sprawiali najczęściej mieszczanie. ²⁾ Tomie III. str. 140.

Jak na Litwie, równie i w Królestwie rozluźnienie dyscypliny u starostów i brak władzy oraz środków eksekucyjnych w ręku króla, a wreszcie pobłażliwość jego, posunięta do słabości, były przyczyną zapuszczenia zamków. Kmicie np., staroście Przemyskiemu, wyrzucą Zygmunt po kilkakrotnie bezczynność, niedbalstwo i niespełnienie rozkazów swoich względem oprawy i zwożenia materiałów do budowy zamku Przemyskiego ¹⁾, a starosta Płocki, Gołczewski, ośmiela się nawet opór stawić przeciw restauracji zamku płockiego, na koszt królewski ²⁾. Zygmunt grozi ciągle srogimi karami, ale nikogo nie karze, przez co jeszcze więcej podkopuje swą władzę.

Daje się także uczuwać brak pośrednich organów administracyjnych. Król np. rozkazuje staroście Przemyskiemu, Piotrowi Kmicie, przyjąć od Dobiesława z Chmielnika koniuszego (Magister Agasonum) 200 wołów, dla oszczędzenia kosztów, przy zwózce materiałów do budowy zamku w Przemysłu ³⁾. O to, co dzisiaj byłoby przedmiotem czynności jakiegoś naczelnika sekcji Wydziału inżynierów w ministerstwie wojny, albo mogłoby być pozostawione rozmysłowi komendanta twierdzy, o to, powiadam, musi się troszczyć sam król. Dodać do tego należy, że Starostowie, z rzadkimi chyba wyjątkami, nie posiadali wcale wiadomości fachowych, a poświęcając swój czas i pracę ciągnięcia jak największych zysków z gospodarstwa, o ile można unikali, obcych ich interesom wydatków; ludzi zaś odpowiednio wykształconych, którym możnaby było polecić pieczę nad porządnym stanem twierdz i ich zarząd, nie utrzymywano. Nie dziw tedy, że przy takich warunkach, nie tylko zamki wewnątrz państwa położone, jak Piotrków, Radom albo Płock, ale i zamki pograniczne zostawały w ciągłym zaniedbaniu nie tylko co do opatrzenia, ale i samego stanu murów i innych szczegółów fortyfikacyjnych, a z biegiem czasu przychodziły do zupełnego upadku. Przyczyną przedwczesnej ruiny naszych zamków była także licha i nieumiejętna ich budowa. Dla czego np. stoi po dziś dzień i przetrwa jeszcze wieki zamek Chocimski, wystawiony przez Genuńczyków, gdy tymczasem z naszych zamków pozostały tylko kupy gruzów?

Podobnie jak budowa i oprawa, tak też i obrona zamków spoczywała na téjże okolicznej szlachcie i ludzie wiejskim i miejskim, który podczas napadu nieprzyjaciela zbiegał się zewsząd do nich z rodzinami i dostatkami. I byli to najgorliwsi obrońcy, broniąc bowiem twierdzy, bronili swych żon, dzieci i mienia. Sama zaś obrona nie wymagała podówczas wielkiego kunsztu.

Stałe załogi utrzymywano w kilku tylko miejscach, jak w Malborgu, Kamieńcu i Smoleńsku, a po utracie tego ostatniego miasta,

¹⁾ Ib. str. 101, 112. ²⁾ Ib. 306. ³⁾ Ib. 112.

w Orszy, która się stała strażnicą granic z téj strony. W Połocku podczas rewizyi w r. 1552 znajdowało się tylko 30 drabów ¹⁾; ale już podczas zdobycia tego miasta przez Iwana Groźnego było tam kilka rot Polaków. Ogólnie rzecz biorąc w ciągu wojen z Moskwą, za Zygmunta Augusta załogi we wszystkich pogranicznych miastach litewskich wzmocnione zostały.

Po innych twierdzach, w czasie pokoju utrzymywano tylko stróżów przy bramach tudzież stróżów nocnych (klikunów), dla ostrożności od pożarów. Obowiązek stróży ciążył w dawniejszych czasach na pewnych wsiach, a także na mieszczanach, obecnie jednak, podczas rewizyi zamków, starostowie utrzymywali po 2—3 stróżów, z dochodów na to przeznaczonych. Tylko w Połocku utrzymywali straż mieszczanie, których wychodziło 18 ²⁾, a w Żytomierzu powinność stróży odbywali właścianie sióła Radomyślskiego, których się przeznaczało po 6 na każdy tydzień ³⁾.

Obrońca zamków nie wymagała, jak powiedzieliśmy, w owych czasach szczególniejszego kunsztu. Szturmujących odpierano rzucaniem kłód, kamieni, laniem wrzątku, waru smołowego, a nareszcie strzałami z broni ręcznej — z rusznic, hakownic tudzież z wielkiej strzelby. Użycie rusznic było w połowie XVI wieku między ludem dosyć rozpowszechnione i wielu mieszczan i chłopów posiadało własne rusznice ⁴⁾; do kierowania zaś działami utzymywano po zamkach puszkarzy. Znajdowali się pomiędzy nimi: Niemcy, Polacy i Rusini; uznawano jednak po Niemcach wyższość Czechów i Polaków, jak powiada rewizor Tyszkowicz: „dla lepszej sprawy i strelby zamkoweje“. Było jednakże, po większej części, puszkarzy za mało po zamkach, biorąc na uwagę, że właściwie każde działo potrzebowało jednego puszkarza, a do większych przeznaczano za granicą, po kilku, prócz pomocników (schnellerów, handlangerów). Tak w Żytomierzu utrzymywano jednego tylko puszkarza, we Włodzimierzu i Łucku ani jednego, w Krzemieńcu 3-ch, w Winnicy 2-ch, w Braclawiu 3-ch. Lepiej nieco był uposażony zamek Połocki, w którym miano 7 puszkarzy. Pobierali oni od 6 do 15 i 20 kop. groszy litewskich na rok i jedno albo dwa sukna luńskie ⁵⁾. Z kontraktu, zawartego przez króla Zygmunta z puszkarzem Ambrozjuszem widać, że płaca tych ludzi dochodziła do 40 złot. rocznie ⁶⁾. Ze swojej strony puszkarze obowiązani byli prócz posługi przy działach podczas oblężenia i wojny, oddawać w czasie pokoju do cekauzów pewną ilość saletry lub prochu, albo też hakownic i rusznic, a niektórzy dostawali kule kamienne. Król Zygmunt, jak widać z jego listów do starostów zamkowych pisanych, upomina ciągle tych urzędników, ażeby nie pozwalali puszkarzom próżnować i na-

¹⁾ Ser. Rer. T. V. ²⁾ Ib. ³⁾ Zr. Dz. VI 33. ⁴⁾ Ib. 140. ⁵⁾ Ser. rer. V i Zr. Dz. VI. ⁶⁾ Tomie III. str. 447.

pedzali ich do roboty w sposobieniu saletry, prochu i inněj amunicy dla strzelby niezbędněj ¹⁾.

Nasuwa się pytanie: — zkąd Polacy brali swoich puszkarzy? Nie ulega wątpliwości, że pierwsi puszkarze przybyli do nas z Niemiec. Już za króla Jagielly, w początkach XV wieku, spotykamy w Krakowie puszkarzy niemieckich z tytułem—büchsenmeister i pixidiarius. Szkołą ich były miasta: Spira, Moguncya, Augsburg, Norymberga, Monachium, Amberg ²⁾ i inne, gdzie już w wieku XIV, sztuka puszkarska posiadała wielu nawet naukowo wykształconych przedstawicieli. Ztamąd rozchodzili się oni i szerzyli swój kunszt po całej Europie. Oni też byli początkowo duszą artyleryi. Umieli wyrabiać i oczyszczać saletrę i siarkę, odważać składowe części prochu, wedle potrzeby dla rusznic, hakownic, wielkiej strzelby i ogni sztucznych i kierowali robotą w laboratoryach. Podług ich projektu odlewano działa, oni też sprawdzali ich proporcye i wyprobowywali przez strzelanie, oni nareszcie przy oblężeniach, przy obronie fortec i na polu bitwy kierowali ustawieniem, nabijaniem, rychtowaniem dział, a niekiedy sami lont do nich przykładali. Obowiązki tak rozległe i połączone z użyciem prawie na każdym kroku miary i wagi wymagały pewnego wykształcenia, a co najmniej umiejętności czytania i zapisywania. Wskutek współzawodnictwa jakie istniało między puszkarzami, zrodziło się mnóstwo pomysłów do udoskonalenia w sztuce puszkarskiej, a tym samym w artyleryi, które lubo z powodu niedoskonałości odnośnych kunsztów i stanu fabryk urzeczywistnić się nie dały, znalazły jednak zastosowanie w późniejszych czasach ³⁾.

Chociaż puszkarze nie tworzyli cechu, puszkarstwo było rzemiosłem i adepci tej sztuki kształcili się, podobnie jak w innych rzemiosłach, przez terminowanie u majstrów. Tak też było i u nas. Od Niemców uczyli się, albo też jedni u drugich Polacy, Litwini i Rusini, których spotykaliśmy po zamkach litewskich. Być też może, że na służbę puszkarską zaciągali się mieszczanie z Krakowa i Lwowa, gdzie jak świadczą księgi grodzkie, ćwiczone się w strzelaniu z dział do tarczy ⁴⁾.

Puszkarze składali następującą przysięgę: „Ego NN juro Smo D. Sigismundo R. P. M. D. L. quod Sue M-ti fideliter serviam circa tormenta mihi commissa, omnia damna et defectus circa jaculationem eorundem tormentorum, globos, lapides, pulveres et alia quaeque ad eandam rem pertinent et pertinebuntur omni mea diligentia et possibilitate curare, providere et custodire volo, itaque omnes jaculationes cum certa mensuratione contra Sue M-tis et ejusdem exercitus inimicos, civitates, muros omni modo ipsis inimicis in damnum

¹⁾ Ib. str. 160. ²⁾ Mejnert-Geschichte des Kriegswesens und der Heerverfassungen in Europa. Wien 1868. T. I p. 363. ³⁾ Ib. 365. ⁴⁾ Dawno zabytki miasta Krakowa zebrał i ogłosił Ambroży Grabowski Krak. 1850 p. 120.

et detrimentum fideliter pro viribus, industria et scientia artis meae fiant, sicuti probo et fideli servo et magistro tormentorum Sue M-tis decet et competit et volo Sue M-ti fideliter servire, quamdiu in servitio Sue M-tis futurus ero. Ita me Deus et omnes Sancti adjuvant ¹⁾.

Artyllerya na zamkach, z wyjątkiem zamku Krzemienieckiego znajdowała się w stanie polutowania godnym. We Włodzimierzu było tylko dwie serpentyny żelazne krótkie, które strzelały kulami żelaznymi 5 uncyi wagi, albo ołowianemi, ważącemi 7 uncyi i jedno działo rozerwane. W Łucku 4 działa polowe stały na wieżach, innych zaś 5 na ziemi, wszystkie potrzebowały naprawy łoż i kół. Winnica nie miała ani jednego działa. W Braclawiu było ich dwa wielkie i 4 polowe na łożach także potrzebujących reparacyi. W Żytomierzu jedno niewielkie działo lane stało na wieży i dwie serpentyny żelazne opravione na ziemi ²⁾.

Na zamku Połockim było dział spiżowych niewielkich na kołach 10, jedna armata 7½ piędzi (około 5 stóp) długa z kulą objętości jednej piędzi (2½ cala średnicy wylotu), jedno działo spiżowe 3-ch piędzi (około 2 stóp) długości, działo spiżowe 2 piędzi (około 1 stopy) długie, bez kół, do drzewa przymocowane. Działo żelazne 3-ch piędzi, także bez kół i jeszcze jedno także żelazne 2 piędzi, do drzewa także przymocowane i nareszcie serpentyn żelaznych, na kołach 2 i bez kół 3. Z moździerzy znajdowały się 3 stare Witoldowe i jeden, z którego strzelać nie było można ³⁾.

Tylko w Krzemieńcu, będącym w posiadaniu rządnej Bony, jak we wszystkiem, co do stanu zamku, zarówno też i pod względem opatrzenia w działa, panował wzorowy porządek. Rewizya podaje nam 4 sokoly, czyli falkony większe, 22 falkonety mniejsze i 2 moździerze. Wszystkie te działa opravione i w porządku utrzymane, z wyjątkiem jednego, które się wałalo na ziemi ⁴⁾.

Obficięj uposażone były zamki w hakownice. Znajdowało się ich: w Krzemieńcu 10, we Włodzimierzu 30 w zamku, 22 w mieście w Łucku 31, w Winnicy 26, w Braclawiu 28, w Żytomierzu 27, w Połocku długich 9, krótszych 18 i nieoprawionych 50. Wałaly się także po zamkach wyszłe już z użycia kije. Miano też dla hakownic we wszystkich zamkach znaczne zapasy kul, ołowiu, formy do odlewania kul i knoty. Z innęj amunicyi do dział znajdowały się kule gotowe, saletra, siarka, proch i ołów, wszystko w różnych ilościach, ale, zdaje się, przypadkowych, niezastosowanych ani do liczby dział, ani też do potrzeby zamków ⁵⁾.

1) Tomie V. 2) Zr. Dz. T. VI. 3) Ser. rer. V. 4) Zr. Dz. VI 101. Rewizor Tyszkowicz pisze: „ale z tym zapasem (jaki był w Krzemieńcu) ani Wołodymirni Łuck równotysia niemohut i deset abo i dwadcat' inych zamków“.

5) Zr. Dz. VI.—Ser. Rer. P. V.

Daliśmy tu przegląd tylko niewielkiej liczby zamków litewskich; ale podobno i wszystkie inne, równie co do stanu murów i obwarowania, jakoteż uposażenia w artyleriją i jęj przynależność, nie w lepszym znajdowały się położeniu. Mniej to ważyło na pograniczu od Tatarów; ale twierdze, którym groziło niebezpieczeństwo ze strony Moskwy, wymagały stałej i silnej obrony. To też Zygmunt August starał się według możności znalezione przy rewizyi braki naprawić, i oto mamy cały regestr strzelby i amunicyi, rozesłanej na zamki litewskie i ukraińskie, pomiędzy 1551 i 1565 rokiem ¹⁾. Spotykamy tu feldszlangi, falkonety wielkie, średnie i małe, serpentyny, tudzież hakownice dłuższe i krótsze, a także rusznice, oraz amuniciją i wszelką przynależność do tej strzelby, jakoto: kulę żelazną i ołowianą z formami do ich odlewania, stemple, ladszuffe, wyciory, proch działowy, hakowniczy, ruszniczny, siarkę, saletrę, ołów, worki do prochu, prochownice, knoty, motyki, oskardy, rydle, siekiery, latarnie-łańcuchy, kozienogi czyli forkiety i inne rzeczy przy opatrzeniu zamków niezbędne.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

¹⁾ Stanisława Łaskiego *Prace Naukowe i Dyplomatyczne* Włno 1864 r. p. 261. Rozesłanie strzelby i munitii na pograniczne zamki Litowskie.

Reforma gimnazyalna w Szwecyi.

Napisał

Prof. Antoni Okoński.

Stan szkół średnich w Szwecyi przed reformą.—Dążenie do reformy komisji szkolnej r. 1825.—Prawa szkolne z 1849, 1859, 1862, 1869 i 1873 r.—Skutki reformy.—Późniejsze reformatorskie dążenia.—Prace komisji sejmowej i sejmu w 1881 r.—Wielka komisja szkolna z 1882/4 r.—Wnioski co do dalszej reformy.

Być może nie wezmą nam Czytelnicy tego za paradoks, jeżeli powiemy, że położenie państw drugiego rzędu przedstawia pod pewnym względem korzyści, których pozbawione są pierwszorządne mocarstwa, wplątane w wielką politykę, zmuszone są zwracać szczególniejsze baczenie na stosunki zewnętrzne. Przodujące stanowisko zmusza je nieraz do wyczerpania wszystkich sił dla utrzymania się na tej stopie wielkości. W tym celu zmuszone są znaczną część swoich środków pieniężnych obracać na pomnożenie swęj siły zbrojnej i na utrzymanie jej zawsze w gotowości wojennej, nieraz z uszczerbkiem innych nie mniej ważnych potrzeb wewnętrznych. Nierzadko też wypadki polityki zewnętrznej na całe lata wstrzymują ich rozwój wewnętrzny.

Państwa drugorzędne nie podlegają tym niedogodnościom, wpływającym z międzynarodowego stanowiska pierwszorzędnego mocarstwa. Wiedzą one, że nie mogą wyrzucić stanowczego wpływu na wszechświatową politykę; jeżeliby zaś chciały odegrać w niej jakąś rolę, zawsze będą zmuszone opierać się na inném, potężniejszym mocarstwie. Państwa te, będąc takim sposobem skazane na bardziej bierną politykę zewnętrzną, z natury rzeczy całą swoją uwagę, całą swoją działalność zwracają na rozwój stosunków wewnętrznych. I to właśnie stanowi dla nich do pewnego stopnia wynagrodzenie za podrażnione znużenie w stosunkach zewnętrznych.

Do państw tego rodzaju można zaliczyć i Szwecyę. Kiedyś, w XVII, a nawet w początkach XVIII w. napełniała ona świat sławą owego oręza, brała udział w wypadkach politycznych, wszechświatowego znaczenia. Czasy jednak Gustawa Adolfa i Karola XII już dawno minęły, a ekspasywna siła narodu, nie bogato uposażonego od przyrody, prawie całkiem zanikła.

Cofając się z areny politycznej międzynarodowej, Szwecya wszystkie swe usiłowania zwróciła na reformy wewnętrzne, na rozwój swych stosunków ekonomicznych, na ulepszenia prawodawcze i administracyjne. Do reform tych zaliczyć należy i reformę gimnazyalną, na potrzebę której w kraju tym wcześniej jak gdzieindziej zwrócono uwagę i wcześniej też ją przeprowadzono. W skutek tego, w Szwecyi już od pewnego czasu gimnazya tak są urządzone, że wszyscy uczniowie, bez względu na to, czy się kształcą w kierunku klasycznym, czy realnym, uczęszczają do tych samych zakładów naukowych, zostają pod kierunkiem tych samych dyrektorów i nauczycieli, uczą się wspólnie tych samych przedmiotów i w tym samym zakresie. Cała różnica między pierwszymi i drugimi polega na tém, że jedni w pewnych godzinach uczą się oddzielnie języków starożytnych, drudzy zaś nowożytnych.

Nie ulega jednak wątpliwości, że prędzej czy później, nawet i ta różnica zniknie. Tym sposobem Szwecya, zaprowadzając jednorodną szkołę, wspólną dla wszystkiej uczącej się młodzieży, wcześniej zrealizowała, chociaż jeszcze nie zupełnie, cel, do którego dopiero przejawilo się dążenie w Niemczech. Z tego powodu nawet niektórzy niemieccy publicyści stawiają urządzenie średnich zakładów naukowych w Szwecyi za wzór, według którego gimnazya w Niemczech winny być urządzone, za wyższy stopień postępu w rozwoju średnich zakładów naukowych w ogóle ¹⁾. Dla tego też obecne urządzenie gimnazyów w Szwecyi zasługuje na szczególną uwagę.

I w Szwecyi także w średnich wiekach, jak w całej Europie, istniały tylko szkoły łacińskie, których wyłącznem zadaniem było przygotowanie młodzieży do stanu duchownego. Z tego powodu uczono w nich tylko religii, języka łacińskiego i szwedzkiego. Tak je urządzał regulamin szkolny z 1571 r., którego wzorem był Lutraski regulamin szkolny.

Gustaw Adolf jednak w 1620 r. wydał nowy regulamin szkolny, podług którego szkoły winny były mieć na celu przygotowanie nie tylko duchowieństwa, ale i urzędników. ²⁾ Według tego regulaminu, a także urządzenia szkolnego królowej Krystyny z 1649 r., szkoły dzieliły się na gimnazya, wyższe i niższe szkoły trywialne. Pierwsze miały na celu przygotowanie urzędników, drugie przygotowanie do zawodów praktycznych, I w jednych wszakże i w drugich przeważało wykształcenie klasyczne, jakkolwiek i wtedy już wprowadzono w bardzo nieznacznym zakresie do planu nauk: arytmetykę, geometryę, geografję, historję powszechną, naukę o społeczeństwie, tudzież zasady szwedzkiego prawodawstwa. ³⁾ Regulaminy z 1724

¹⁾ H. Klinghardt. Das höhere Schulwesen Schwedens und dessen Reform im modernen Sinne. 1887.

²⁾ Klinghardt. *ibidem.* str. 5.

³⁾ Klinghardt. *ibidem.* str. 7.

i 1760 r. nie wprowadziły ważnych zmian do urządzenia szkolnego. Ważniejszym pod tym względem był regulamin z 1807 r., który ustępując duchowi czasu, wprowadził do wykładu gimnazjalnego niektóre z nauk realnych, jak historię naturalną, geografję astronomiczną, fizykę, meteorologię, a także języki nowożytne, jak: francuzki i niemiecki, obowiązkowo, a angielski, dowolnie. Prócz tego powyższy regulamin zreformował także i szkoły trywialne, nazwane szkołami apologistów, przez dodanie do wykładanych w nich nauk historii i geografji, zasad mechaniki i geometrii, historii naturalnej i fizyki, a także języka niemieckiego. Tym sposobem regulamin z 1807 r. obok szkół z kierunku klasycznego, mających na celu przygotowanie przedewszystkiem urzędników, tworzył samoistne inne szkoły, mające na celu przygotowanie młodzieży do różnych zawodów praktycznych. ¹⁾ Rozdział ten został nie tylko utrzymany ale nawet wzmocniony przez regulamin z 1820 r., jakkolwiek i wtedy, przynajmniej w wyższych klasach gimnazyów klasycznych, pozostawiono pewne początki nauk realnych.

Od tego czasu wszakże nastąpił zwrot do innego urządzenia. Miało to miejsce pod wpływem wraz bardziej rozpowszechniającego się przekonania, że studia przeważnie lingwistyczne w skutek zmienionych okoliczności utraciły poprzednie znaczenie, że natomiast nie można się obejść w wykształceniu bez nauk przyrodniczych, realnych. Tak zwana wielka komisya oświecenia, zebrana w 1825 r. pod przewodnictwem ówczesnego następcy tronu, późniejszego króla Oskara I, mająca wypracować zasady dla przyszłej reformy szkolnej, wprost nawet wyrzekła, że nauki realne są konieczne, nauki zaś lingwistyczne mają tylko podrzędne znaczenie, gdyż, jak się wyraziła, można być człowiekiem wielkiej nauki, a nie umieć żadnego innego, prócz ojczystego języka. ²⁾ Stosownie do tego zapatrywania, komisya ta proponowała, ażeby do gimnazyów klasycznych wprowadzić jak najwięcej nauk realnych, a natomiast ograniczyć wykład języków starożytnych. Pod względem języka łacińskiego wyrzekła ona, że uważa go za zbyt cenny do naukowego wykształcenia, jeżeli zaś nie domaga się na teraz usunięcia go z planu nauk, czyni to z innych zupełnie, nie pedagogicznych pobudek. Z tego powodu komisya ta proponowała połączenie gimnazyów, szkół trywialnych i apologistów w jeden zakład naukowy, któryby dzielił się tylko na dwie linie: klasyczną i realną. Podział ten miał być tak uskuteczniony, że niższe klasy miały być wspólne obydwom, a ścisły podział miał istnieć tylko w dwóch klasach najwyższych. Nauki realne miały być wykładane na obydwóch liniach w jednakowym zakresie, bez możności uwolnienia się od obowiązkowego uczenia się pewnego przedmiotu. Na obydwóch też liniach miały być wykładane trzy języki nowożytne: fran-

¹⁾ Klinghardt. ibidem. str. 9.

²⁾ Klinghardt. ibidem. str. 12.

czki, niemiecki i angielski, z tą tylko różnicą, że uczeń linii realnej mógł się uwolnić od nauki jednego z tych języków, uczeń zaś linii klasycznej nie miał tego prawa. Przeciwnie ten ostatni mógł się uwolnić od słuchania dwóch nawet języków starożytnych (greckiego i hebrajskiego).¹⁾

Zapratywaniami i wnioski komisji z 1825 r. są nader ważne, gdyż stanowią punkt wyjścia dla następnych usiłowań w celu zreformowania średnich zakładów naukowych. W samej rzeczy Sejm z 1845 r. opierając się na nich, domagał się połączenia wszystkich średnich zakładów naukowych w jeden zakład. Nieco później sejm z 1849 r. na wniosek rządu, proponujący podobną reformę i domagający się na przeprowadzenie jej powiększenia budżetu wydziału oświecenia, odpowiedział przychylnie pod wyraźnym warunkiem, aby nauki realne we wszystkich tego rodzaju zakładach naukowych były wykładane aż do najwyższej klasy. Na skutek tego dekret z 16 Lipca 1849 r. postanowił połączyć szkoły trywialne, apologistów i gimnazya w jeden zakład naukowy, tak urządzony, aby uczniowie wychodzący z niego mogli przystępować do egzaminu uniwersyteckiego. Tenże dekret stanowił, że na wniosek rodziców lub opiekunów uczniowie mogli być zwolnieni od obowiązkowego uczenia się języka łacińskiego, greckiego i hebrajskiego.²⁾

Dekret z 1849 r. nie doprowadził jednak do należytych rezultatów najprzód dla tego, że nie był rozwinięty żadnym późniejszym postanowieniem, któreby wskazywało w jaki sposób średnie zakłady naukowe winny być połączone. W skutek tego, w następnych latach w rzeczach szkolnych zapanowała najzupełniejsza anarchia, gdyż każda szkoła na własną rękę przyjmowała taki plan nauk, jaki uważała za stosowny. Prócz tego dekret ten był niekonsekwentnym pod tym względem, że pozwalając uczniom gimnazjów uwolnić się od nauki pewnych języków, nie uwalniał od nich jednocześnie studentów wyższych zakładów naukowych, którzy obowiązani byli do składania z nich wstępnych egzaminów.

Z tego powodu regulamin szkolny z 1859 r. postanowił, że średnie zakłady naukowe o pełnej ilości klas, bądź z obydwoma liniami, bądź z linią tylko realną powinny być mieć siedm klas, z których dwie najwyższe były dwuletnie. Regulamin ten nie dozwalał oddzielnego istnienia kompletnych zakładów naukowych tylko z linią klasyczną. Prócz tego mogły istnieć niekompletne zakłady naukowe tego rodzaju o pięciu, trzech, a nawet dwóch klasach. Regulamin ten utrzymywał podział na linię klasyczną i realną, nie dopuszczał jednak w nich żadnego dalszego podziału, większej specjalizacji, przez uwolnienie uczniów od słuchania pewnych przedmiotów. Prócz tego dekret ten stanowił, że nauka języków obcych zaczynać się win-

¹⁾ Klinghardt, *ibidem*, str. 13.

²⁾ Klinghardt, *ibidem*, str. 14.

na od jednego z języków nowych, mianowicie od niemieckiego w drugiej klasie; inne zaś języki winny następować po sobie w następującym porządku: w 3-iej klasie na linii klasycznej czyli łacińskiej, język łaciński, na linii realnej angielski; w 4-iej klasie na linii klasycznej grecki, na realnej francuzki; w 5-iej klasie na linii klasycznej francuzki. ¹⁾

Rozporządzenie z 1862 r. usunęło też choć w części drugą niedokładność dekretu z 1849 r. przenosząc egzamina wstępne uniwersyteckie do gimnazyów, w których połączone zostały z zwykłym egzaminem z ukończenia w nich nauk.

Z licznych rozporządzeń w następstwie wydanych do ważniejszych zaliczyć należy postanowienie królewskie z 10 Marca 1869 r. i rozporządzenie z 6 Czerwca 1873 r. Pierwsze rozporządzenie uwalniało wszystkich gimnazystów z linii klasycznej, których rodzice tego żądali, od obowiązku uczenia się języka greckiego, bez żadnego ograniczenia ich w prawach, przywiązanych do złożenia egzaminu ostatecznego. Uczniowie ci mogli zamiast greckiego uczyć się języka angielskiego. W ten sposób linia klasyczna rozdzieliła się na dwie linie grecko-łacińską (czyli linię A.) i łacińską tylko (czyli linię B). Jak zaś podział ten był dogodny, okazało się z tego, iż już w jesieni 1883 r. linia B. liczyła o połowę więcej uczniów aniżeli linia A. W ogóle zaś obecnie greckiego języka w szwedzkich gimnazyach uczą się tylko uczniowie, zamierzający w następstwie zostać duchownymi lub nauczycielami nauk filologiczno-historycznych. ²⁾ Drugie rozporządzenie z 1873 r. było nie mniej ważne, z tego powodu, że zaprowadziło w trzech niższych klasach dla obydwóch linii, wspólną naukę wszystkich przedmiotów, tak, że podział na linie zaczyna się dopiero od klasy czwartej. W skutek tego wykład języka łacińskiego na linii klasycznej zaczyna się dopiero w czwartej klasie, a wykład greckiego w szóstej. W trzech niższych klasach wszyscy uczniowie uczą się języka niemieckiego, który stał się podstawowym dla nauki języków obcych w ogóle. W ten sposób rozporządzenie z 1873 r. zaprowadziło do pewnego stopnia szkołę jednorodną, z podstawowym językiem nowożytnym, to jest zrealizowało to, o czem dopiero myślały w Niemczech. Ostatnie zmiany w urządzeniu średnich zakładów naukowych były zaprowadzone przez regulamin z 1-go Listopada 1878 roku.

Zobaczymy obecnie jak zakłady te, na mocy wszystkich powyższych przytoczonych rozporządzeń, są urządzone. Ma się rozumieć, że niepodobna jest nam wdawać się tutaj w przedstawienie szczegółowe administracji urzędów szkolnych w Szwecyi. Dla nas szczególną ważność ma tylko wewnętrzne urządzenie gimnazyów, to jest rozkład nauk, gdyż na niem najbardziej odbija się reforma ostatnich czasów.

¹⁾ Klinghardt, *ibidem*. str. 15.

²⁾ Klinghardt, *ibidem*. str. 16.

Z dotychczasowego też przebiegu tej kwestyi można wyciągać pewne wnioski, co do urządzenia tych zakładów naukowych w przyszłości.

Dla łatwiejszego zorientowania się w różnym dla nas wykładzie nauk szwedzkich gimnazyów, należy zwrócić uwagę na to, które klasy tych gimnazyów, odpowiadają naszym klasom tychże zakładów naukowych. Pod tym względem należy zauważyć, że szwedzkie gimnazyja mają dziewięć klas, oznaczonych porządkowemi liczbami, poczynając od najniższej, mianowicie od I do V. Dwie najwyższe klasy, z dwuletnim kursem nauk, oznaczone są tak: VI¹ i VI², VII¹ i VII². Ponieważ do pierwszej klasy uczniowie przyjmowani są po ukończeniu dziewiątego roku życia, przeto gimnazyum winno być ukończzone z 18 rokiem, jeżeli uczeń nie pozostał na drugi rok w tej samej klasie. Jak wiadomo według ustawy gimnazyalnej, u nas obowiązującej, do klasy pierwszej można wstąpić po ukończeniu dziesiątego roku. Z tego powodu pierwsza klasa szwedzka odpowiada pod względem wieku uczniów, naszej klasie wstępnej, do której również uczniowie po ukończeniu dziewiątego roku są przyjmowani. Klasy II do V szwedzkie, odpowiadają naszym 1—4, a klasy VI¹, VI², VII¹ i VII² szwedzkie odpowiadają naszym 5—8. Przytem zwrócimy też uwagę na różnice, istniejące między urządzeniem gimnazyów szwedzki i odpowiednich im niemieckich zakładów naukowych, tym bowiem sposobem będziemy w stanie poznać lepiej zalety pierwszych, tudzież to, co należy uważać w nich za udoskonalenie, postęp, w porównaniu z niemieckimi.

Trzy najniższe klasy gimnazyów szwedzkich są jak wspomnieliśmy wyżej, wspólne co do wykładu nauk tak dla linii realnej, jak i dla linii klasycznej. Rozkład nauk w tych trzech klasach jest następujący:

Przedmiot.	kl. I.	kl. II.	kl. III.	ogółem.
Religia	godz. 3	3	3	9
Język szwedzki	„ 5	6	6	17
„ niemiecki	„ 6	7	7	20
Historja i geografia	„ 4	5	5	14
Arytmetyka	„ 4	5	5	14
Historja naturalna	„ 2	2	2	6
Rysunki i kaligrafia	„ 3	2	2	7
ogółem .	27	30	30	87

Nie ulega wątpliwości, że plan ten odznacza się nader ważnemi zaletami w porównaniu z planem nauk w średnich zakładach naukowych niemieckich. Pierwsza z nich polega na tem, że w skutek tego

te trzy klasy stanowią wspólną podstawę dla dalszego kształcenia się tak realistów, jak i uczniów linii klasycznej, gdy tymczasem w Niemczech gimnazyja klasyczne różnią się pod tym względem nawet w tych trzech klasach od gimnazyjów lub szkół realnych. Druga zaleta polega na tém, że przedmioty wykładane w tych trzech klasach z wyjątkiem języka niemieckiego, są te same co i w szkołach elementarnych ludowych.¹⁾ W ten więc sposób istnieje pewien związek między szkołami ludowemi i gimnazyjami. Odnaczający się uczniowie pierwszych, mogą z łatwością przejść do ostatnich. A wszakże i związek taki między temi zakładami naukowemi, zapełnienie przepaści między wykształceniem klas wyższych społeczeństwa i wykształceniem ludowem stanowił jedno z desideratów nie tylko niemieckiego stowarzyszenia szkoły jednorodnej, ale i innych pedagogów, dążących w Niemczech do reformy gimnazyjalnej. Następną zaletą szwedzkiego planu nauk w tych klasach jest to, iż słusznie nauce języka ojczystego poświęcono według niego i 7 godzin, gdy w odpowiednich klasach niemieckich na cel ten obrócono tylko 7 albo 9 godzin.

Przedmiotem, różniącym te trzy klasy od szkół ludowych, jest w Szwecyi język niemiecki. I pod tym wszakże względem należy przyznać wyższość systematowi szwedzkiemu, gdyż według niego, uczniowie w młodocianym wieku uczą się tylko jednego języka obcego, uczniowie zaś odpowiednich klas niemieckich gimnazyjów obowiązani są uczyć się już dwóch języków obcych, co nie może być korzystnym ze względów pedagogicznych. W Szwecyi na naukę tego języka przez trzy klasy poświęcono 20 godz., w Niemczech w tymże czasie na języki obce naznaczono 32—36 godzin. I co do wyboru nawet języka obcego, szwedzki systemat zasługuje na uznanie. W Szwecyi bowiem uczniowie uczą się potrzebnego im, a więc łatwiejszego języka, z którego mogą nawet odnieść praktyczną korzyść, gdyby w skutek okoliczności nieprzewidzianych nie ukończyli kursu nauk gimnazyjalnych; w Niemczech zmuszeni są uczyć się języka zupełnie im obcego, umarłego, nie pozostającego w związku z kulturą i stosunkami dzisiejszemi, z którego żadnej praktycznej korzyści nie odniosą, jeżeli nie ukończą przynajmniej pięciu klas gimnazyjalnych.²⁾

W następnych dwóch klasach, na których odbija się już podział na linię realną i łacińską plan nauk jest następujący:

1) Klinghardt. *ibidem*. str. 32.

2) Klinghardt. *ibidem*. str. 33. Wiadomo, że uczniowie, którzy ukończyli II-gą klasę (to jest 5-ą) w Niemczech, mają prawo do wstąpienia do wojska w charakterze jednorocznego ochotnika.

Przedmiot.	linia łacińska.		linia realna.	
	kl. IV.	kl. V.	kl. IV.	kl. V.
Religia	godz. 2	2	2	2
Język szwedzki	4	3	4	3
„ łaciński	8	8	—	—
„ niemiecki	4	3	4	3
„ francuzki	—	3	—	3
„ angielski	—	—	7	7
Matematyka	5	5	5	5
Nauki przyrodnicze	2	2	2	2
Historya i geografia	5	4	5	4
Rysunki	—	—	3	3
ogółem	30	30	32	32

Ztąd widzimy, że uczniowie tych dwóch klas korzystają z wspólnych wykładów 7 przedmiotów w 22 godzinach. Oddzielny wykład mają uczniowie linii łacińskiej tylko jednego języka łacińskiego w 7 godz., uczniowie linii realnej języka angielskiego i rysunków w 10 godz. I na tém więc stopniu gimnazjum szwedzkie należy uważać za szkołę jednorodną. Tembardziej zaś należy mu przyznać ten charakter, jeżeli zwrócimy uwagę na to, że w odpowiednich klasach pruskich gimnazyów klasycznych i realnych tylko dwa przedmioty, mianowicie religia i historia naturalna mają taką samą ilość godzin (obydwa przedmioty 8 godz.), wszystkie zaś inne przedmioty różnią się pod tym względem. ¹⁾

Rozdział między naukami klasycznymi i realnymi, istniejący w Niemczech od najniższej klasy, w Szwecyi został przeprowadzony dopiero w najwyższych czterech klasach. Plan nauk w tych klasach jest następujący:

Przedmiot.	Linia łacińska A.				Linia realna			
	kl. VI ¹ .	kl. VI ² .	k. VII ¹ .	k. VII ² .	kl. VI ¹ .	kl. VI ² .	k. VII ¹ .	k. VII ² .
Religia	2	2	2	2	2	2	2	2
Język szwedzki	2	2	2	2	2	2	2	2
„ łaciński	8	8	8	8	—	—	—	—
„ grecki	7	7	6	6	—	—	—	—
„ niemiecki	1	1	—	—	2	2	—	—
„ francuzki	4	4	3	3	4	4	5	5
„ angielski	—	—	—	—	3	3	3	3
Matematyka	3	3	3	3	7	7	7	7
Nauki przyrodnicze	2	2	2	2	6	6	6	6
Historya i geografia	3	3	3	3	3	3	3	3
Propedeutyka filoz.	—	—	1	1	—	—	1	1
Rysunki	—	—	—	—	3	3	3	3
ogółem	32	32	30	30	32	32	32	32

¹⁾ Klinghardt, ibidem, str. 35.

Widzimy z tąd, że na linii łacińskiej, główny nacisk położony został na języki starożytne, przeciwnie na linii realnej na matematykę i nauki przyrodnicze, przyczem uwzględniono więcej języki nowe i rysunki. Tym sposobem szwedzki systemat gim nazyalny przedstawia w niższych pięciu klasach prawie zupełną jednorodną szkołę tak dla realistów jak i dla tych, którzy mają się później kształcić w kierunku filologicznym. Rozdział następuje dopiero w ostatnich wyższych klasach. Zresztą, jak zauważyliśmy wyżej, rozporządzenie z 10 Marca 1869 r. zaprowadziło w linii łacińskiej tę zmianę, że uczyniło język grecki dowolnym. W skutek tego dla uczniów, korzystających z tego, uczących się na linii łacińskiej B., musiała być zaprowadzona pewna zmiana w rozkładzie nauk przez dodanie im 4 godzin angielskiego, 1 godz. więcej matematyki i 2 godz. rysunków. ¹⁾

O ile reforma ta odpowiadała potrzebom ludności, jak ludność sama oceniała ją, najlepiej można się przekonać z liczby uczniów każdej z powyżej wskazanych linii, z zmniejszania się jej lub powiększania. Pod tym względem statystyka szkolna dostarcza bardzo pouczających danych. I tak w 1873 r. na ogólną liczbę 2737 uczniów w najwyższych dwóch klasach, było 1746 uczniów linii łacińskiej A, 642 linii łacińskiej B i 349 uczniów linii realnej. W 1883 r. na ogólną liczbę 3854, pierwszych było 1259, drugich 1847, a trzecich 749. Widzimy ztąd, że liczba uczniów uczących się obydwóch języków starożytnych w ciągu tych dziesięciu lat ciągle się zmniejszała ²⁾. W pierwszym z powyżej przytoczonych lat stanowiła ona 63,8% ogólnej ilości uczniów, w ostatnim zmniejszyła się o połowę, stanowiła bowiem zaledwie 32,7%. Przeciwnie liczba uczniów linii łacińskiej B, to jest nie uczących się greckiego, w pierwszym roku wynosiła 23,5%, w ostatnim wzrosła do 47,9%, a więc podwoiła się. Liczba wreszcie uczniów linii realnej z 12,7% podniosła się do 19,4%, a więc wzrosła tylko o 7%. Ztąd można dojść do wniosku że na skutek uwolnienia uczniów od obowiązkowego uczenia się greckiego języka, siła przyciągająca linii B łacińskiej w ogóle powiększyła się ³⁾.

Do tego samego wniosku można dojść, porównywając liczbę uczniów każdej z trzech powyższych linii, którzy pomyślnie zdali egzamin ostateczny w 1873 i 1883 r. W pierwszym z tych lat na ogólną liczbę 525 uczniów, na linię A wypadło 383, na linię B—96 a na linię realną—46. W ostatnim roku pierwszych było 273, drugich 258, a trzecich 159 ⁴⁾.

¹⁾ Klinghardt. *ibidem*. str. 39.

²⁾ Tablice podane przez Klinghardta wykazują to dla każdego roku między 1873 i 1883, ograniczyliśmy się jednak podaniem cyfr końcowych.

³⁾ Klinghardt. *ibidem*. str. 40.

⁴⁾ Klinghardt. *ibidem*. str. 41.

Z powyższych cyfr możnaby na pierwszy rzut oka wnioskować że w Szwecyi, prędyż jak gdzie indziej, przekonano się o zbyteczności języka greckiego dla wykształcenia młodzieży. Z drugiej strony na podstawie tegoż możnaby sądzić, że społeczeństwo uznaje jeszcze dotychczas w wysokim stopniu znaczenie, jakie ma pod tym względem język łaciński, skoro liczba uczniów uczących się tego języka wzrasta w wyższym stosunku, aniżeli liczba uczniów linii czysto realnej. Zdaniem Klinghardta wnioski ten byłby najzupełniej fałszywy, gdyż większa lub mniejsza frekwencja uczniów jednej lub drugiej linii zależy przeważnie od praw, nadanych im po ukończeniu nauk, przedewszystkiem zaś od prawa wejścia do wyższych zakładów naukowych. Pod tym względem kwestya ta przedstawia się w taki sposób. Uczniowie linii realnej mają dotychczas najmniejszą praw, gdyż mogą po ukończeniu nauk gimnazyalnych wejść tylko do wyższej szkoły politechnicznej, szkoły wojskowej tudzież do akademii górniczej w Sztokholmie. Uczniowie linii łacińskiej A i B mogą wstąpić do powyższych zakładów naukowych tylko po zdaniu dodatkowego egzaminu z nauk matematycznych linii realnej.

Uczniowie linii łacińskiej A mają dotychczas najwięcej praw, gdyż przed nimi stoją ctworem wszystkie cztery fakultety uniwersytetu, jakkolwiek ukończenie tej linii bezwarunkowo jest konieczne tylko dla przyszłych teologów i filologów. W każdym razie uczniowie tej linii ulegają, jak wyżej nadmieniliśmy, ograniczeniu pod względem zdawania dodatkowego egzaminu z nauk realnych, wstępując do szkół technicznych.

Uczniowie linii łacińskiej B, bez greckiego języka, ulegają ograniczeniom pod względem kształcenia się na teologów, tudzież w wyższych zakładach naukowych technicznych, ale mają prawo wstąpić na wszystkie trzy świeckie fakultety uniwersytetów. Na tej więc linii kształcą się przyszli prawnicy, lekarze, urzędnicy i znaczna część nauczycieli. Z tego powodu Klinghardt sądzi, że frekwencja jej powinnaby być nawet jeszcze liczniejsza w porównaniu z dwoma pozostałymi. Jeżeli zaś tak nie jest, należy to przypisać w części temu, że znaczna część uczniów nie zdążyła jeszcze zrobić wyboru między powołaniem teologa lub innym zawodem i dla tego woli uczyć się obydwóch języków. W części zaś nie wykorzystanemu jeszcze zupełnie uprzedzeniu o zdolności kształcącej języka greckiego. W każdym razie sądzi, że w przyszłości liczba uczniów linii B będzie coraz bardziej wzrastać w porównaniu z linią A. Zmiana w tym stosunku mogłaby nastąpić wskutek tego gdyby uczniowie, chcący pójść na jedno z trzech świeckich fakultetów uniwersytetów, byli uwolnieni od obowiązku posiadania języka łacińskiego, w skutek czego znaczna ich część od razu przeniosłaby pójść na linię czysto realną ¹⁾.

¹⁾ Klinghardt. *ibidem*. str. 43.

Na dowód, że reforma przeprowadzona w Szwecyi okazała się zbawienną, można przytoczyć że i Norwegia, poszła już za jęj przykładem, zaprowadzając u siebie prawie taką samą organizacją szkolną ¹⁾.

Od 1-go Marca 1885 r. w kraju tym gimnazyja tak są urządzone, że dziewięcioletni kurs dzieli się na dwa oddziały. Pierwszy niższy tworzy sześcioklasową szkołą średnią, drugi wyższy trzyklasowy, nosi nazwę gimnazjum łacińskiego albo realnego. W gimnazjum łacińskiem wykładane są obydwie starożytne języki. Uczniowie obydwóch gimnazyjów mają równe prawo wstąpienia do uniwersytetu, z tem tylko ograniczeniem, że uczniowie gimnazjum realnego chcący studyować medycynę, winni zdać dodatkowy egzamin z łacińskiego, uczniowie zaś, chcący poświęcić się teologii, winni zdać egzamin z łacińskiego i greckiego. Szkoła niższa ma podwójne zadanie. Najprzód winna dać pewne zakończone wykształcenie młodzieży, mającej zamiar po ukończeniu jęj oddać się zawodom praktycznym, a następnie przygotować do obydwóch gimnazyjów. Szkoła ta jest tak urządzona, że w trzech najniższych klasach wykłady są wspólne dla wszystkich uczniów, jedynym zaś językiem obcym, wykładanym w tych klasach jest niemiecki. Od klasy czwartęj następuje podział na linie. Na jednęj linii łacińskięj siedm godzin tygodniowo przeznaczonych jest na język łaciński. Na drugięj linii angielskiej, zamiast łacińskiego uczniowie uczą się po 5 godzin tygodniowo angielskiego. Z pozostałych dwóch godzin w klasie czwartęj obydwie obrócone są na rysunki, a w piątęj i szostęj jedna na rysunki, a druga na wzmocnienie wykładu języka niemieckiego. Francuzki język jest nieobowiązkowy, chociaż pomieszczonej został w rozkładzie nauk. Uczniowie, nie uczący się go, mogą przybrać dodatkowe godziny języka ojczystego, rysunków, albo fizyki.

Jeżeliśmy chcieli w kilku głównych zarysach scharakteryzować reformę gimnazyjalną w w Szwecyi, dokonaną w ostatnich czasach, doszlibyśmy do następnych wniosków. Najprzód odznacza się ona tem, że zaprowadza w trzech niższych klasach bezwarunkowo, a w dwóch następnych warunkowo, wspólność wykładów dla wszystkich uczniów. Wskutek tego uczniowie nie potrzebują zawczasie decydować się co do kierunku, w jakim mają się dalej kształcić. Jest to wszakże kwestyą nader ważną, gdyż od tego zależy w ogóle wybór przyszłego powołania. Uczeń lub jego rodzice mogą wybór ten zrobić wtedy, kiedy po kilkoletnim pobycie w szkole okazało się do czego ma większe skłonności lub zdolności. Przeciwnie dogodności tych nie ma tam, gdzie istnieją oddzielne szkoły klasyczne i realne, gdzie wybór między jednym i drugim kierunkiem trzeba zrobić nie-

¹⁾ Völcker. Die reform des höheren Schulwesens. Str. 165 na podstawie artykułu Kohta o organizaciji wyższych zakładów naukowych w Norwegii w Centralorgan für die Interessen des Realschulwesens. 1886 Nr. 19.

raz zawczasie, ze stratą moralną i materyalną. Następną cechą tej reformy jest znaczne ograniczenie języków starożytnych w ogóle, a nadanie większego znaczenia językom nowożytnym. Zmiana ta, łącznie z należytem uwzględnieniem nauk matematycznych i przyrodniczych, uczyniła z szwedzkich gimnazyów zakłady naukowe lepiej odpowiadające potrzebom i duchowi nowoczesnego społeczeństwa. Do cech tych można dalej zaliczyć usunięcie z najniższych klas języka łacińskiego, obcego nowożytnemu społeczeństwu, i zatrudnrgo dla uczniów w dzieciennym prawie wieku, a wzięcie za podstawę lingwistycznego wykształcenia jednego z języków nowożytnych, łatwiejszego do nauki i z którego w każdym razie, mogą odnieść praktyczną korzyść. Nie należy też zapominać o tym związku jaki zaprowadzony został między gimnazjum i szkołą elementarną, wskutek którego uczniowie tej ostatniej mogą bez wielkich przeszkód przejść do pierwszego ¹⁾.

Mówiąc o reformie gimnazyalnej w Szwecyi nie można też pominąć milczeniem jedną właściwość systematu szwedzkiego urzędzenia gimnazyów, na którą dotychczas jeszcze nie mieliśmy sposobności zwrócić uwagi. Właściwość ta polega na tem iż w egzaminach uczącej się młodzieży żywy udział bierze i społeczeństwo. Dzieje się to w ten sposób, że do półrocznych egzaminów w niższych klasach, tudzież do egzaminów w końcu roku w wyższych klasach, wzywani są jako świadkowie egzaminacyjni znakomitsi obywatele miejscowi, reprezentacya miejska, opiekunowie zakładu i t. p. osoby. Egzaminowi ostatecznemu powinni nawet koniecznie asystować w charakterze bezstronnych świadków, trzej świadomi rzeczy mężowie. W niektórych wypadkach świadkowie ci, w charakterze kierujących egzaminem, mają prawo wskazywać egzaminującemu nauczycielowi te miejsca autorów lub zadania, które uważają za odpowiednie do egzaminu. Nie ulega wątpliwości, że urządzenie to przynosi bardzo zbawienne rezultaty, najprzód z tego powodu, iż nauczyciele sami, czując nad sobą kontrolę opinii publicznej, zupełnie inaczej zapatrują się na swoje obowiązki. Wprawdzie pewna kontrola nad egzaminami istnieje i teraz w innych krajach, kontrolę tę jednak wykonywa w ogóle władza szkolna, dyrektorowie, inspektorowie i t. p. Każdy

¹⁾ Pomijamy tutaj jedną z nader ważnych stron urzędzenia szwedzkich gimnazyów, polegającą na tém, że zwraca ono najpilniejszą uwagę na fizyczne wykształcenie młodzieży. Tak rozporządzenie z 7 Listopada 1878 r. jak i rozporządzenie z 23 Marca 1870 r. przepisuje nader szczegółowo ćwiczenia codzienne gimnastyczne, nadzór lekarski nad stanem fizycznym uczniów, gimnastykę wojenną i t. d. Wszystkie te przepisy mają na celu zapobiedz jednostronnemu wykształceniu umysłowemu młodzieży, a wychować zdrowe, silne i zahartowane pokolenie. Pod tym względem szwedzkie gimnazy mogą służyć za wzór wszystkim innym. Klinghardt. ibidem. str. 46.

jednak, zdaje się, zgodzi się na to, iż wielka różnica zachodzi między kontrolą tego rodzaju i kontrolą wykonywaną przez samo społeczeństwo, przez ojców rodzin, którzy najbardziej są w tem zainteresowani, aby ich synowie byle dobrze uczeni. Druga nie mniej ważna korzyść, pochodząca ztąd, polega na tem, iż przez to w samem społeczeństwie, we wszystkich jego wykształconych klasach, budzi się najwyższe zainteresowanie sprawami szkolnemi. Odbija się to na prasie peryodycznej szwedzkiej, która ciągle zamieszcza artykuły wstępne, rozbiegające kwestye szkolne, występuje z wnioskami dążącemi do poprawy szkół, gdy gdzie indziej prasa zachowuje się prawie zupełnie obojętnie względem tych kwestyi ¹⁾, pozostawiając rozstrzygnięcie ich powiększej części pedagogom z powołania, przedewszystkiem zaś filologom, którzy przez swą jednostronność nie są nawet w stanie rozstrzygnąć ich zadawalniająco. To zainteresowanie się społeczeństwa rzeczami szkolnemi było nawet przyczyną ostatnich reform gimnazyalnych, które nie wyszły od korporacyi nauczycielskich ale od prasy, sejmu, społeczeństwa ²⁾. Widząc to zainteresowanie się społeczeństwa szwedzkiego rzeczami szkolnemi nie podobna wstrzymać się od przykłaśnięcia mu. Jest to bowiem dowodem jego poczucia, że od właściwego urządzenia szkół, od wychowania młodzieży, zależy cała przyszłość kraju, narodu; społeczeństwo zaś świadome tego, nie szczędzi trosk, zachodów i kosztów, w celu urządzenia szkół odpowiednio do nowożytnych potrzeb.

To zainteresowanie się społeczeństwa szwedzkiego rzeczami szkolnemi jest też rękojmią, że Szwecya nie poprzestanie na reformie już dokonanej, ale że poprowadzi ją dalej. Nie brak nawet wskazówek, w jakim kierunku dalsza reforma nastąpi. Pod tym względem zasługują na uwagę wnioski komisji sejmowej i rozprawy nad nim w sejmie w 1881 r. tudzież sprawozdanie wielkiej komisji oświecenia publicznego ustanowionej przez ministra wyznań z lat 1882—4.

Wnioskami komisji sejmowej były bezpośrednio skierowane przeciw językowi łacińskiemu; wywołane zaś były przez tę okoliczność, że pomimo ograniczenia tego języka w gimnazyach, nie przestano wymagać wykazania znajomości go w uniwersytetach. Tak np. do 1863 r. kameralne nauki były dostępne i dla uczniów nie posiadających języków klasycznych, od tego jednak czasu i od nich wymagano znajomości języka łacińskiego. Przed 1853 r. dla otrzymania stopnia doktora filozofii wymagano nader małej znajomości z języka łacińskiego. W tym jednak roku wydane było rozporządzenie, na mocy którego łaciński język został zaliczony do przedmiotów obowiązkowych pierwszego filozoficznego egzaminu w

¹⁾ Klinghardt, ibidem. str. 23.

²⁾ Klinghardt, ibidem. str. 53.

uniwersytecie ¹⁾. Ma się rozumieć, że okoliczność ta musiała odbić się niekorzystnie i na gimnazyach, których uczniowie byli powstrzymywani od wyboru linii realnej, z powodu, że w następstwie byli zmuszeni zdawać z łaciny w czasie egzaminu filozoficznego w uniwersytecie ²⁾.

Z tego powodu deputowany Borg wystąpił w 1881 r. z wnioskiem do sejmku, w którym domagał się zniesienia obowiązkowego zdawania egzaminu z języka łacińskiego w czasie egzaminu filozoficznego. tudzież usunięcia wykładu tego języka z klasy 4-ej i 5-ej linii łacińskiej gimnazyów. Wskutek tego wykład tego języka miał być ograniczony tylko do najwyższych czterech klas gimnazyalnych. Komisya sejmowa, rozpatrująca ten wniosek przychyliła się do niego, za komisją zaś poszła i Izba deputowanych większością 85 przeciwko 38 głosów ³⁾.

Niepodobna nam przytaczać szczegółowo tak motywów komisji, przytoczonych przez nią w raporcie złożonym sejmowi, jak i pojedynczych głosów mówców, przemawiających w sejmie za nim lub przeciwko niemu. W każdym razie nie od rzeczy może będzie zwrócić uwagę na główne zasady, na których opierała się komisya w obronie swego wniosku, z nich bowiem można wyciągnąć pewne wnioski co do zapatrywań na tę kwestyę szwedzkiego społeczeństwa. W raporcie swym komisya ta przytoczyła: „że wszystko, czego najgorętsi zwolennicy klasycznej literatury, pełni słusznego podziwienia dla starożytnego wykształcenia, mogą jeszcze domagać się, ogranicza się do tego, aby klasyczna filologia miała zapewnione należyte miejsce jako przedmiot wykształcenia fachowego. Z żadnego jednak punktu widzenia rzeczy nie można uważać tego wykształcenia nadal ani za konieczny warunek ogólnego wykształcenia, ani nawet za warunek zadawalniającego przygotowania urzędników. Jeżeli porównamy dawniejsze wykształcenie szkolne chłopców, polegające na wyczeniu się wyłącznie łaciny, z tem, co obecnie uczeń tegoż wieku musi sobie przyswoić, z pewnością porównanie nie wypadnie na korzyść pierwszego. Nieograniczone niczem przedtem panowanie w szkole łaciny, nie tylko że nie rozwijało umysłu, nie wzmacniało inteligencji, nie było w stanie natchnąć uczniów zapalem do pracy kształcącej umysł, ale przeciwnie ciężko krępowało swobodny rozwój ich umysłu, napełniało niechęcią i niesmakiem nawet do innych nauk, pozbawiało ich możności nabycia tych wiadomości, które były dla

¹⁾ Uniwersytety w Szwecji są tak urządzone, że pierwsze wykłady filozoficzne są wspólnie dla wszystkich fakultetów. Dopiero po trzech semestrach studenci mogą przystępować do wyżej przytoczonego egzaminu i po zdaniu go zapisać się na fakultety prawny, lekarski, teologiczny.

²⁾ Klinghardt. *ibidem*. str. 51.

³⁾ Klinghardt *ibidem*. str. 71.

nich niezbędne z powodu zmienionego ducha czasu i jego wymagań. Tak jednostronnem wykształceniem nie mogła zadawałniać się nawet ta nieznaczna część uczniów, która zdołała przebić się do świątyni oświaty, to jest uniwersytetu, jeżeli przypomniała sobie jakich ofiar czasu i pracy nabycie go kosztowało“¹⁾).

Nie można też pominąć zupełnem milczeniem tych zasad, na które powoływali się w sejmie obrońcy dalszej reformy gimnazyów w duchu przyjętego przez komisję sejmową wniosku. Tak np. rektor Dahl w obszernem przemówieniu dowodził, że celem wykształcenia gimnazjalnego jest dostarczenie znacznej ilości uczniów wykształcenia ogólnego. Stosownie do tego wskazywał jakie przedmioty są do tego potrzebne, ale nie zaliczał do nich języka łacińskiego. Zdaniem jego do nauki tego języka uczniowie mogli z korzyścią przystępować dopiero w czterech wyższych klasach, wtedy mianowicie, kiedy w klasach niższych i średnich nabyli wykształcenia ogólnego, kiedy okazało się, że mają zdolność i czas do dalszych, bardziej naukowych studyów, kiedy ich stosunki majątkowe na to pozwalały, rozwój zaś ich umysłowych zdolności pozwalał im uczyć się nie tylko języków pokrewnych językowi ojczystemu, ale i języków bardziej od niego odległych. Zdaniem jego język niemiecki okazał się zupełnie odpowiednią podstawą lingwistycznego wykształcenia uczniów, a za odpowiadający na drugim stopniu rozwoju tego wykształcenia należy uważać język francuzki. Potem dopiero należało przystępować do uczenia się łacińskiego. Nie można jednak myśleć o zaprowadzeniu tak naturalnego porządku w uczeniu się języków, dopóki na uniwersytetach istnieje obowiązek zdawania egzaminu z języka łacińskiego, rodzice bowiem, nie chcąc swym dzieciom zamykać drogi do uniwersyteckiego wykształcenia, wymagają, aby wcześniej już uczyli się tego języka, i dla tego posyłają je na linię łacińską B.

Pod względem moralno-estetycznej wartości języka łacińskiego Dahl sądził, iż jeżeli idzie o moralne uszlachetnienie charakteru młodzieży, o dostarczenie im przykładów ludzkich cnót, to celu tego można dopiąć za pomocą literatury ojczystej albo innych nowożytnych, należy zaś obawiać się, aby literatura łacińska nie rozbudziła w młodzieży dzikiej żądzy wojen rzymian, ich nieludzkości, niesprawiedliwości względem narodów zwyciężonych, ich samolubstwa i t. p. W ogóle, zdaniem jego, łacinę, dla wykształcenia naukowego należy uważać za zupełnie zbyteczną²⁾).

Lektor Rundbäck rozbierał tę kwestyę ze stanowiska co się traci i co się zyskuje przez przyjęcie wniosku komisji. Zdaniem te-

1) Klinghardt. ibidem. str. 55.

2) Klinghardt. ibidem. str. 65.

go mówcy strata jest bardzo mała, gdyż język łaciński nie stanowi już obecnie, tak jak przedtem, klucza do wszystkich nauk, i oddawna przestał być ogólnym językiem nauki, wskutek czego poraz drugi stał się językiem umarłym. Nie można go też uważać za niezbędną podstawę wykształcenia lingwistycznego, o czym można się przekonać ze zjazdu rektorów szkół i nauczycieli w Jönköping, którego uczestnicy wyrażali podziwienie nad rezultatami odniesionymi pod tym względem od czasu wzięcia za podstawę tego wykształcenia języka niemieckiego. Zdaniem Randbäcka fałszywym też jest przekonanie, jakoby łacina dostarczała szlachetniejszego i bardziej ludzkiego wykształcenia od innych przedmiotów. Czyż bowiem w literaturze łacińskiej lepiej jak w innych są wyrażone te ogólnie ludzkie pojęcia i ideały, które winny służyć za podstawę naszego wykształcenia? Przeciwnie w literaturze tej znajdujemy rzeczy, nie mogące wpłynąć uszlachetniająco na charakter młodzieży, np. mitologią, pełną niemoralności, późniejszą zupełną niewiarę, chciwość panowania, egoizm, z jakim traktowano podbite narody i t. p. ¹⁾ Z drugiej strony sądził, że przez przyjęcie wniosku komisji, posuwającego o dwa lata wyżej naukę języka łacińskiego, zyskałoby się bardzo wiele. Najprzód bowiem pozostawałoby uczniom jeszcze dwa lata więcej do nabycia ogólnego wykształcenia, a następnie stanęliby oni o dwa lata później przed często nader trudną kwestyą, co do wyboru dalszego kierunku wykształcenia, a zatem i powołania ²⁾.

Znany podróżnik po morzach północnych profesor Nordenskjöld był zdania, że obecnie język łaciński, skoro tylko przestał być językiem nauki, nie jest tak jak przedtem dla naukowych badań niezbędnym. Obecnie każdy człowiek wykształcony musi posiadać pewne wiadomości o zasadniczych prawach i pojęciach z historii naturalnej, chemii, fizyki i geologii. Jeżeli jednak te przedmioty mają być przyjęte do planu nauk gimnazyalnych, to widocznie inne, mniej potrzebne, muszą im miejsca ustąpić. A do takich przedmiotów zaliczyć należy łacinę. Tem też można objaśnić fakt, że w Szwecyi nadzwyczaj mało osób posiada ją gruntownie, jakkolwiek wielu zdobyło sobie uznanie świata naukowego w botanice, zoologii, chemii, fizyce i t. p. Dla innych krajów (np. z ludnością pochodzenia romańskiego) studyowanie języka łacińskiego ma większą wartość, gdyż mowa ich ma wiele z nim wspólnego. W innych znów

¹⁾ O złym wpływie pojęć rzymskich, a w ogóle klasycznych, na nasze społeczeństwo, porównać: Smoleński. Szlachta w świetle własnych opinii. Ateneum. 1880. Wrzesień str. 432—435 i 1881 Styczeń str. 98—114. A. Czarnowski. Wychowanie publiczne na podstawach ekonomii politycznej. Warszawa 1877 str. 122—138. Co do Francji porównać Frary. La question dulatin. 1887 roku. str. 133.

²⁾ Klinghardt. ibidem. str. 66.

krajach mają więcej czasu jak w Szwecyi do studyowania języków w ogóle, potrzebują bowiem uczyć się tylko dwóch, nowożytnych języków, gdy tymczasem w Szwecyi potrzeba się uczyć aż trzech. Kto obecnie pyta się najpoważniejszych mężów stanu, polityków lub literatów, czy posiadają język łaciński ¹⁾?

Redaktor Hedlund twierdził, że dopóki uniwersytet wymaga języka łacińskiego, gimnazjum nie będzie mogło uwolnić się od niego. Przypatrując się jednak stosunkom szkolnym, przyznał, że setki uczniów, ogromna większość, uczy się łaciny rok, dwa albo trzy lata, a następnie opuszcza gimnazjum, niedochodząc do egzaminu ostatecznego. Dla tych więc uczniów łacina nie ma najmniejszego znaczenia. Znaczenie to ma dla nadzwyczaj małej mniejszości, która kończy gimnazjum. I z tej jednak mniejszości pewna tylko część przechodzi później do uniwersytetu. Czyż więc jest możliwym dla takiej minimalnej mniejszości poświęcać interesy ogromnej większości, tem bardziej gdy ci, którzy tego języka rzeczywiście potrzebują, np. filolodzy, mogą go się oddzielnie nauczyć. Wiadomo, że nie jeden w późniejszym nawet wieku był zmuszony uczyć się jeszcze trudniejszych języków. Hedlund nie uważał się za nieprzyjaciela klasycznego wykształcenia, zdaniem jego jednak należałoby raz już zaniechać uważać za jedno naukę języków starożytnych i klasyczne wykształcenie. Właśnie dla tego, że traci się niepotrzebnie tyle czasu na naukę tych języków, brakuje go do głębszego poznania klasycznego wykształcenia, którego część, literaturę, można poznać z przekładów. Podziwiamy w grekach nie tak ich literaturę, jak ich męskiego ducha. Duch ten wszakże wyrósł nie ze studyowania jakiejś starożytnej np. egipskiej gramatyki, ale na igrzyskach olimpijskich, w propyleach, gdzie mędrcy uczyli swoich uczniów, za pomocą muzyki, gimnastyki. Hedlund przyznawał się do tego, że nic nie wie o tém, ażeby grecy przepędzali największą część swojej młodości, siedząc krzywo na ławkach szkolnych, w celu nabycia humanitarnego wykształcenia. Pod humanitarnem wykształceniem nie można, według niego, pojmować nic innego jak harmonijne wykształcenie wszystkich naszych moralnych i umysłowych sił i zdolności, ale ani łaciny, ani greckiego nie można uważać za wyłączny środek do osiągnięcia go. Mniemanie że języki starożytne mają taki cudowny skutek już dawno zostało zarzucone. Nie można też twierdzić, żeby języki te miały wielkie praktyczne znaczenie. Jeżeli zaś teolodzy twierdzą, że się bez nich obejść nie mogą, to z jakiej racyi zmuszać 100 uczniów do uczenia się ich dla tego tylko, że setny pierwszy chce zostać pastorem ²⁾.

¹⁾ Klinghardt. ibidem. str. 67.

²⁾ Klinghardt. ibidem. str. 68.

Nie mniej interesujące były rozprawy nad tym wnioskiem w Senacie, który pomimo to odrzucił go większością 72 głosów przeciwko 36. Ztąd widać, że kwestya większego ograniczenia łacińskiego języka jeszcze wówczas nie dojrzała do tego stopnia, aby już wtedy mogła być ostatecznie rozstrzygniętą. Wolno tylko przewidywać, że wcześniej czy później wymagania jakie życie wystawia względem szkoły, które powinny i muszą mieć pod tym względem pierwszorzędne znaczenie, zmuszą i organ prawodawczy w Szwecyi do innego poglądu na tę kwestyę. Na dowód, że opinia publiczna, której naciskowi ulega i władza prawodawcza, w tym kierunku będzie się rozwijać można przytoczyć prace wielkiej komisji szkolnej z 1882/4 r., o której wspomnieliśmy już wyżej, i rezultaty do których doszła. Do tego samego wniosku można dojść z opinii, dostarczonej na żądanie ministryum wyznań co do tej kwestyi, przez niektóre najwyższe instytucje naukowe.

Wkrótce po rozprawach sejmowych, które jak widzieliśmy nie doprowadziły do stanowczego rezultatu pod względem reformy szkolnej, ministryum wyznań, stosując się do życzenia wyrażonego przez komisję sejmową, miało w wielką komisję szkolną, składającą się z najwybitniejszych przedstawicieli świata naukowego w Szwecyi, mającą zbadać wszystkie stosunki szkolne i przedstawić wnioski co do ich reformy. Komisya ta po dwuletniej blisko, godnej podziwienia pracy, złożyła 25 sierpnia 1884 r. w ministryum sprawozdanie, składające się z czterech tomów i rozbierające gruntownie wszystkie stosunki szkolne w Szwecyi. Żałujemy że nie możemy z powodu braku miejsca bliżej zastanowić się nad niem, tudzież nad rozmaitemi kwestyami, które były w niem rozbierane, a które zasługują ze wszęch miar na uwagę. Ograniczymy się tylko do rozpatrzenia bardziej szczegółowego wniosków odnoszących się do przyszłego wewnętrznego urządzenia szkół średnich, w szczególności zaś dotyczących kwestyi, stanowiącej jądro obecnego sporu, to jest stanowiska jakie je z y k ł a c i ũ s k i ma zająć w przyszłości w zakładach naukowych średnich i wyższych ¹⁾.

(Dok. nast.)

) Powiedzieliśmy je z y k ł a c i ũ s k i, nie zaś języki starożytne, gdyż kwestya języka greckiego, jak widzieliśmy wyżej, już przed dwudziestu laty została w Szwecyi rozstrzygniętą w ten sposób, że uczenie się go uznane zostało na nieobowiązkowe.

ZNIESIENIE PROPINACYI W GALICJI.

NAPISAŁ

Stanisław Starzyński.

IV *).

Prawna natura prawa propinacyjnego, przeniesionego na kraj zostaje ta sama co dotychczas. Inaczéj téż być nie może, bo przeniesienie to nie spowodowało bynajmnieéj rozszerzenia szeregu uprawnień publicznych, płynących z pojęcia zwierzchniczości państwowej. Propinacya była zniesiona od lat kilkunastu, a jéj używalność 26 letnia była jeszcze pozostawioną dawnieéj uprawnionym, aby się z niéj sami wynagradzali; a więc przysługiwała im prawno-prywatnym tytułem wynagrodzenia i w tém rozumieniu była ich prywatną własnością. Otóż, przez przeniesienie propinacyi weszli uprawnieni w stosunek z krajem nie jako ze związkiem samorządnym prawno-publicznym, mającym niektóre atrybucye zwierzchnicze, lecz z krajem jako fiskusem, jako podmiotem praw prywatnych — i przenieśli na kraj dalszą używalność swego prywatnego prawa odszkodowania, za co kraj im z góry całą wartość prawa propinacyi zapłacił. Używalność prawa propinacyi, przysługując osobom prywatnym, przeniesiona na kraj, nie zmienia swego charakteru na żadne nowe prawo publiczne, lecz pozostaje tém, czém była w rękach prywatnych. tak samo jak własność domu, kupionego przez kraj lub państwo jako fiskus, zostaje i nadal własnością prywatną, jak np. przeniesienie na kraj w drodze ustawy dwudziestoletniego używania innego jakiegoś prawa o treści majątkowej, np. rąbania sekcyami drzewa w lasach prywatnych na rzecz kraju nie zrobiłoby tego prawa jeszcze prawem publiczném. Dla tego propinacya w rękach kraju jest prawem publiczném tylko w tym samym stopniu, w którym niém była i w rękach jednostek—ale nie więcéj;—i dla tego nie podzielamy zdania Wydzia-

*) Dokończenie. Zob. Zesz. za miesiąc Wrzesień r. b.

łu krajowego, że prawo prop. stało się z prawa prywatnego, skutkiem przeniesienia go na kraj, prawem publiczném ¹⁾ i nie podziela my zdania E. Tilla (l. c.), że prawo propinacji, od chwili przeniesienia go na kraj, stało się regalem. Bobrzyński wykazuje zresztą (l. c.), że nawet w dawniej Polsce propinacja nie miała charakteru regalu.

Ze jest tak a nie inaczej, wynika najjaśniej ze sposobu, w jaki kraj, zastępowany w tej mierze przez C. k. Dyrekcyę funduszu prop., tém prawem swoim zarządza. Oto: albo wykonuje je przez własnych szynkarzy, albo wydzierżawia w drodze licytacji, albo daje licencye propinacyjne, po czém ten, który licencyą otrzymał, zawiera z Dyrekcyą kontrakt po prostu dzierżawy.

Inaczej rzeczyby się miały, gdyby propinacja nie została była co do używalności swój zakonserwowaną i przeniesioną na kraj, lecz zniesioną i gdyby wtedy rząd lub kraj, dla wydobycia dochodu z alkoholu na umorzenie kosztów zniesienia, wydawał licencye za opłatami. Wtedy już prawo propinacji nie istniałoby, więc nie możnaby go ani wydzierżawiać, ani wykonywać przez własnych szynkarzy, (bo jedno i drugie jest możebném tylko co do rzeczy, które istnieją i co do praw, które się ma) lecz należałoby wtedy w obrębie zwierzchniczości państwowej dać komuś, w obrębie istniejących ustaw, zezwolenie na czynności, które były dawniej treścią prawa propinacji—i nadanie takiego pozwolenia byłoby wykonaniem praw zwierzchniczych, opłata byłaby pobrana z tytułu prawa zwierzchniczego, podobnie jak dzisiejsze koncesye na sprzedaż trunków słodzonych, które są *juris publici*, jak licencye szynkarskie na Węgrzech, będące także *juris publici*. Wtenczas nie propinowanoby z ramienia kraju, lecz licencyonowanoby, w myśl ustaw przemysłowych, szynki i wtedy dopiero cała sprawa wyszynku przeniesionaby została z gruntu prawa prywatnego i jurysdykcji cywilno-sądowej w dziedzinę prawa publicznego, oraz jurysdykcji i ekzekucji administracyjnej (politycznej, podatkowej), która opłatom rządowym, będącym *juris publici*, przysługuje. Ten zaś stosunek, w którym kraj nie działa jako polityczne zwierzchnicze ciało, lecz jako prawonabywca osób prywatnych w dalszém wykonywaniu zachowanego prawa propinacji, pozostawia sprawę na tym samym gruncie, na którym stała poprzednio, bo nie nabywa się od kraju licencyi na prawo nowo powstające w osobie nabywcy, lecz bierze się od niego w dzierżawę stare prawo. To też jakkolwiek kontrakty z C. k. Dyrekcyą zawierane są bardzo rygorystyczne, to jednak dla wymuszenia opłaty licencyjnej, będącej czynszem dzierżawnym tak, co do swój natury jak i wysokości, nie przysługuje C. k. Dyrekcyi ekzekucja polityczna. Wydział krajowy domagał się jej od rządu;

¹⁾ Podobnie Szczepanowski l. c.

ten jednakże odmówił ¹⁾). Dla prawnika austriackiego powinna zaś rzecz ta być tém bardziej jasna, ile że Sejm krajowy nie ma dotychczas, według naszej konstytucyi, żadnej kompetencji ustawodawczej co do prawodawstwa przemysłowego i o przywilejach i niemoże tworzyć licencji szynkarskich, będących *juris publici*,—musiałaby to uczynić Rada Państwa; podobnie jak do niej należałoby uchwalić ustawę o ekzekucyi politycznej dla dochodów U. k. Dyrekcyi funduszu propinacyjnego. Tylko więc doraźne zniesienie propinacyi przez Państwo samo byłoby postawiło rzecz całą odrazu na tym publiczno-prawnym gruncie, na którym ona stoi w Węgrzech.

Jednym dowodem więcj, że sprawa propinacyjna nie stoi u nas na tym czysto publicznym gruncie, jest, że C. k. Dyrekcyja uważaną jest w obec władz podatkowych jako przedsiębiorstwo, ponieważ na własny rachunek prowadzi „interes“ w poszczególnych wypadkach przez własnych szynkarzy, i że tylko temu swojemu charakterowi przedsiębiorstwa zawdzięcza zwolnienie od niektórych podatków.

Teraz przejdźmy do stanowiska rządu w tój sprawie. Że rząd miał stanowczy interes w załatwieniu sprawy propinacyjnej, to nie może ulegać wątpliwości dla nikogo, kto się patrzył na cały przebieg sprawy, na inicjatywę przez rząd podjętą, i na usilność, z jaką ona była popieraną. Czy interes leżał w takiej właśnie formie załatwienia, t. j. w przeniesieniu, lub czy może równie dobrze nie byłoby mu odpowiedziało zniesienie zupełne i doraźne, tego nie możemy rozstrzygnąć; bo niewiadomo, w czém tego interesu szukać. Rząd nigdy nie powiedział, jak i ma w sprawie propinacyjnej interes; pod tym względem wolno więc stawiać tylko mniej albo więcj uzasadnione przypuszczenia. Pierwotnie wprawdzie oświadczał rząd publicznie i oficjalnie, że nie ma w tój sprawie interesu żadnego, i że jeżeli sejm niechce: to i jemu na wykupnie nic nie zależy. *Post factum* jednak, t. j. gdy sejm uchwalił już przeniesienie propinacyi na kraj, a Rada Państwa obradowała nad wspomnianém już uwolnieniem od stempli i należytości rządowych, oświadczył Pan Minister dla Galicyi, J. E. Filip Zaleski, w komisji budżetowej parlamentu, że koncesya, którą rząd robi zrzeczeniem się stemplowych dochodów jest bardzo mała w porównaniu ze znakomitemi korzyściami, jakie państwo z t. zw. zniesienia propinacyi odniesie. Jeszcze zaś podczas obrad sejmowych podnosił ś. p. poseł hr. Artur Potocki z całą stanowczością, że „rząd wszedł w tę sprawę nie jako

¹⁾ Środkiem ekzekucyjnym jest tylko sekwestracja prawa propinacyi przez Dyrekcyę; władzą kompetentną do rozstrzygania sporów są sądy lwowskie miejsko-delegowane; a kontrakt nosi wyraźnie nazwę kontraktu dzierżawnego, mówi o przedmiocie, czasie trwania dzierżawy i t. p.

pośrednik lecz jako i n t e r e s e n t. Twierdzą, że tém zaznaczył, iż w interesie państwa leży wykupno propinacyi. A w takim razie musi i ten trzeci coś swojego przynieść do wykupu ¹⁾. A cóż rząd przyniósł? Zrzekł się około ośmiu milionów z należytości i stempli, których i tak nie byłby otrzymał, gdyby przeniesienie lub zniesienie propinacyi nie było wcale przyszło do skutku. Po za tém zaś nie był nawet skłonny do udzielenia p a ń s t w o w é j gwarancyi obligacyom propinacyjnym.

Interesu państwowego szukać w każdym razie należy w sferze jego polityki w sprawach podatków konsumcyjnych. Sądźmy, iż bez wpadnięcia na fałszywy trop można postawić twierdzenie, iż rząd widział swój interes w zyskaniu dla téj polityki na przyszłość wolnej ręki. Rząd przekonał się, iż propinacya sprawiła mu niespodziewany ambaras i nieprzewidywane koszta przy nowym podatku wódczanym a nadto widział, że wartość prawa propinacyi rozmaicie była wtedy obliczana. Otóż nie chciał rząd w przyszłości być narażonym na powtórne targi na wypadek znacznego znów podwyższenia podatku wódczanego, lub na wypadek zaprowadzenia monopolu spirytusowego. Monopol pociągnąłby za sobą całkowite uchYLENIE prawa propinacyi, jako prawa prywatnego wyrobu i wyszynku. Chciał więc rząd na każdy ten wypadek mieć prawo propinacyi oszacowane, i wiedzieć, ile ono warte, a przytém mieć każdego czasu możność wykupienia go za cenę szacunkową. Dziś wie rząd, że gdyby zechciał już w roku bieżącym stać się panem propinacyi, wystarcza zapłacić 62.200.000 fl. właścicielom obligacyi.

W każdym późniejszym terminie zaś wystarczy wypłacić mniej, bo pewna ilość obligacyi wylosowanych zostaje corocznie umorzona; a zatem cena propinacyi w gotówce spada co roku. Interes rządu leżał więc w tém, ażeby—gdyby w przyszłości miał wprowadzić monopol i wynagrodzić uchylone przez to prawa osób trzecich, cena tych praw była mu z góry rachunkowo wiadomą, nie podlegała targowi i dyskusyi. W obec tego, przyznanie przez J. E. Z a l e s k i e g o znakomitych korzyści było istotnie prawdziwe i szczerę.

Przejdźmy teraz do sposobu przeprowadzenia całej sprawy przeniesienia przez C. k. Dyrekcyę. Zaznaczyliśmy już wyżej, że dostało się ono w najwłaściwsze ręce pod względem osobistym, dodać jeszcze należy, że i bez względu na osoby operacya przeniesienia, zyskuje bardzo przez oddanie jęj C. k. Dyrekcyi, albowiem przez to staje na jęj czele reprezentant tego samego rządu, który ma w swych rękach wszystkie podatki konsumcyjne, koncesye na sklepiki ze słodzonymi napojami, całe szynkarstwo i dotyczącą ekzekucyą politycz-

¹⁾ Patrz oprócz tego jeszcze dwa inne przemówienia ogólnie s. p. Potocznego.

na i opłaty pobierane do funduszu propinacyjnego; — a który nadto jest przełożonym politycznych urzędów powiatowych pierwszej instancji ¹⁾. Żadna więc Dyrekcyja autonomiczna, mająca przeprowadzić wykupno propinacji i zarząd jęj przez kraj, a nie mająca bezpośredniej ekzekucyi—jak jęj u nas niema żadna autonomiczna władza—nie mogłaby się co do sukcesu w przeprowadzeniu tego zadania nawet mierzyć z C. k. Dyrekcyją postawioną pod prezydencyą Namiestnika. Dyrekcyja rozpięła ograniczoną rozprawę ofertową celem najkorzystniejszego sfinansowania obligacyi propinacyjnych; przy rozprawie utrzymał się wiedeński Bank dla krajów koronnych (Länderbank) z wiedeńskim Bank-Vereinem, którzy zaofiarowali 88 fl. 32½ za sto fl. nominalne. Uprawnieni zażądali wypłaty w obligacyach tylko do wysokości 23,882,000 fl., obligacye te są według ustawy niesprzedawalne do lat czterech (do r. 1894) i w tym celu zawinkulowane (?). Powodem niesprzedawalności jest przeszkoda w pojawieniu się od razu na targu pieniężnym znacznej ilości tego samego papieru, co musiałoby spowodować znaczne obniżenie jego kursu, zwłaszcza, gdyby papier puszczone w kurs przez prywatnego oddawcę, potrzebującego pieniędzy, był oddawany nawet poniżej kursu dziennego. To też papiery propinacyjne nie dostały się wcale na targ pieniężny z ręki uprawnionych, gdyż resztę kapitału wynagrodzenia sfinansowały od razu same wspomniane Instytucye bankowe i za resztujących 38,317,900 fl. nominalnych dały gotówką 33,844,285 fl. które wpłacono 2 stycznia 1890 do kasy C. k. Dyrekcyi, w zamian za obligacye. Puszczone przez te banki na targ pieniężny obligacye propinacyjne stoją obecnie w kursie 92 — 93 za 100, a zatem przeszło 4 fl. wyżej nad kurs zapłacony przez banki.

Równocześnie z rozpisaniem powyższych ofert wezwano sądy hipoteczne, by przy każdym majątku, uprawnionym do propinacji zanotowały w księgach hipotecznych z urzędu, że prawo propinacji ustaje z końcem r. 1889, że dotychczasowy uprawniony ma prawo do pobrania oznaczonego w ustawie z r. 1889 wynagrodzenia — i że prawo reelne do wieczystego szynku gaśnię raz na zawsze. Celem przeprowadzenia wydzierżawienia krajowego prawa propinacji, czy to z wolnej ręki osobom, które podały o licencyę propinacyjną, czy też w drodze licytacji, ustanowiono w każdym powiecie delegatami mężów zaufania, jednego lub dwóch. W C. K. Dyrekcyi samęj zaś załatwiano tymczasem reklamacye, odnoszące się do wydania nowych orzeczeń. Reklamacyi wpłynęło 3248, na przeszło 8000 uprawnień propinacyjnych w całym kraju; nadto wpłynęło kilkaset zgłoszeń, odnoszących się do wypadków, w których właścicielom prawa propinacji oznaczono na podstawie ustawy z r. 1875 albo tylko czysty

¹⁾ Zresztą jedynie C. K. Dyrekcyja potrafi, jak to słusznie podnoszono, usunąć ubytek w dochodzie propinacyjnym, wywołany przez pokątne szynkarstwo.

dochód z prawa propinacyi bez zastrzeżenia im wieczystego szynku; albo przyznano odwrotnie tylko prawo do wieczystego szynku bez ustanowienia czystego dochodu z prawa propinacyi, albo wreszcie nie przyznano ani jednego ani drugiego. Właściciele ci jednak udowodnili, że prawo propinacyi faktycznie wykonują (§§ 15, 16 ustawy).

O reklamacyach decydowała Dyrekcyja sama, również ona sama decydowała o przyjęciu lub nieprzyjęciu oferty, stawiającej warunki, pod którymi oferent ubiega się o licencyę propinacyjną *recte* o dzierżawę. Decyzya ta zapadała jednak zawsze na podstawie sprawozdania delegatów, a zwykle zgodnie z ich wnioskiem. Tam, gdzie Dyrekcyja ofertę przyjęła, zawierał delegat imieniem Dyrekcyi kontrakt dzierżawny z oferentem, przedkładany Dyrekcyi do ostatecznego zatwierdzenia. Tam gdzie ofert nie wniesiono lub ich nie przyjęto, rozpisana bywała licytacyja, którą delegat przeprowadzał. Jeżeli uzyskał odpowiednią w tej drodze ofertę, to przyjmował od dającego ją — wadium i oddawał mu propinacyę w dzierżawę, z zastrzeżeniem ostatecznego zatwierdzenia przez C. k. Dyrekcyę; jeśli jej nie otrzymał, odsęłał protokół licytacyjny do C. k. Dyrekcyi celem samostępnego postąpienia. Zwykły czasokres dzierżawny trwa lat trzy; są jednak zwłaszcza przy niekorzystnych licytacyjach i jednoroczne terminy. Licytacyę taką przeprowadzałem imieniem C. k. Dyrekcyi w powiecie lwowskim na drugim i trzecim terminie licytacyjnym — i w wielu wypadkach nie uzyskałem przy niej ceny wywołania — oparłem ją na kombinacyi — dawnych orzeczeń z dzisiejszą wartością.

W stosunkowo krótkim czasie trzech miesięcy, w ciągu których przypadła nadto sześciotygodniowa sesya sejmu krajowego (Namiestnik z urzędu i mandatu, a prawie wszyscy członkowie C. k. Dyrekcyi z mandatu czyli wyboru zasiadają w Sejmie), odbyła mimo to C. k. Dyrekcyja funduszu propinacyjnego 63 posiedzeń, na których udzielono 2996 licencyi propinacyjnych, których cena dzierżawna wynosi łącznie 2,813,105 fl. oraz zatwierdzono 1150 wyników licytacyjnych. w wysokości cyfrowo dotąd jeszcze całkiem dokładnie nie oznaczonej, około 500,000 fl. rocznie. W wyjątkowych wypadkach ustanowiła C. k. Dyrekcyja dla wykonywania prawa wyszynku własnych szynkarzy; nadto wiele propinacyi zostało czasowo zaniechanych. Zwinięte propinacye jednak mogą być każdego roku, gdyby tylko odpowiedni oferent się trafił, restytuowane.

Jakże się przedstawia pieniężna strona tej operacyi?

Najpierw co do uprawnionych. Łączna suma wynagrodzeń, przyznanych uprawnionym na podstawie dawnych orzeczeń oraz w drodze oszacowań (§ 16), wynosi 53,879,450 fl. — wynagrodzeń zaś, przyznanych na podstawie reklamacyi wynosi 8,320,550 fl. — tak że cały kapitał wynagrodzenia 62,200,000 fl. został zupełnie wyczerpany ¹⁾.

¹⁾ Patrz „Działalność C. k. Dyrekcyi funduszu propinacyjnego w roku ubiegłym i obecny stan funduszy w urzędowej Gazecie lwowskiej Nr. 12 ex 1890“.

Powtóre, co do funduszu propinacyjnego. Za podstawę wymiaru kapitałów wynagrodzenia, służył, jak już wspomnieliśmy, dochód obliczony według dawnych orzeczeń 3,090,000 fl. powiększony nowemi orzeczeniami dla tych, którym poprzednio czystego dochodu z prawa propinacji nie oznaczono (§ 16) o 23,540 fl. razem w kwocie 3,113,540 fl. Natomiast prawdopodobny dochód z propinacji na r. 1890 we własnej administracji preliminuje Dyrekcyja na 3,313,105 fl. co w porównaniu z dochodem według fassyi za r. 1888 przedstawia rezultat mniejszy o 358,382 fl.; w porównaniu zaś ze wspomnianym dochodem, będącym podstawą wynagrodzenia, przedstawia nadwyżkę 299,565 fl.

Na tych dochodach jednak nie koniec, gdyż doliczyć trzeba jeszcze:

a) dochód z opłat szynkarskich grzywien, opłat za urządzenie gorzelń i t. d. preliminowany przez C. k. Dyrekcyją na r. 1890 w kwocie.	200,000 fl.
b) udział w milionie państwowym.	850,000 „
c) dochody z fruktyfikacyi funduszu rezerwowego.	225,000 „
	<hr/>
razem	1,275,000 fl.
co łącznie z dochodem z samego prawa propinac.	3,313,105 „
	<hr/>
reprezentuje dochód	4,588,105 fl.

Z dochodów powyższych pokryć należy przedewszystkiem:

a) koszta pożyczki finansującej, t. j. amortyzacyi i kuponu.	3,870,000 fl.
b) podatki i opłaty.	560,000 „
c) koszta zarządu.	70,000 „
	<hr/>
łącznie	4,500,000 fl.

w obec czego ma ten preliminarz uwieńczonym być nadwyżką 88,105 fl.

Podatki, o których tu mowa, są te same, które dotąd każdy uprawniony sam za siebie jako właściciel prawa propinacji, od dochodów z niego płacił. Obecnie kraj, będący właścicielem całego prawa, płaci łączną ich sumę.

Jeżeli weźmiemy na uwagę, że Sejm obliczał dochód z propinacji bez potrącenia podatków na 2,680,952 fl.;—Dyrekcyja zaś oblicza go również bez potrącenia podatków na 3,313,105 fl., to okazuje się, iż preliminarz rządowy korzystniejszym jest o 632,153 fl. Czy ta korzystna nadwyżka utrzyma się przez lat 21, zależeć będzie w pierwszym rzędzie od dalszego oddziaływania opodatkowania wódki na jęj konsumcyę; w drugim zaś od równie umiejętnego i energicznego jak dziś zarządzania propinacją przez C. K. Dyrekcyją.— Ta nadwyżka jednoroczna nie może być uważana żadną miarą za dowód stałej tendencyi propinacyi do wyżki, gdyż oprócz powyż-

szych bardzo ważnych czynników mogą wéjść w grę inne jeszcze, dziś niewiadome i nieobliczalne momenta: nowe podwyższenia podatku wódczanego, wypadki polityczne i t. d. Nie ma żadnej dobrej podstawy do wiary w stałą tendencję zwyżkową, wobec coraz trudniejszych warunków produkcji wódki, spadku cen ziemiopłodów, prawdopodobnego przyszłego przymusu rafinowania spirytusu, co podniesie koszta z jednej, cenę z drugiej strony i t. d. Nie ma też podstawy do mniemania, że samo przeniesienie propinacyi na kraj musi się już stać powodem tendencji zwyżkowej. Wiele poważnych głosów w Sejmie wprost inaczej na to się zapatrywało. P. A l f o u s C z a y k o w s k i twierdził w komisji, że tendencja do niżki, do upadku prawa propinacyi zaczyna być coraz bardziej powszechną; pp. G n i e w o s z, h r. L a s o c k i, P i l a t, P o p i e l, wyrażali niemal pewność, że dochody propinacyjne znacznie się obniżą; ¹⁾ a nie słyszeliśmy w Sejmie nikogo twierdzącego, że propinacya w rękach kraju większe da dochody, niż w rękach prywatnych. Tak samo twierdził w Radzie Państwa poseł M e z n i k z klubu czeskiego, iż „osoby prywatne eksploatują to prawo wydatniej aniżeli kraj, który będzie łagodniej postępował“. Z tém zdaniem jednak, o ile ono odnosi się do f o r m a l n o - p r a w n e g o p r o c e d e r u, zgodzić się nie możemy, gdyż postępowanie musi być surowsze; tylko może wymagany czynsz będzie mniejszy.

Samo przeprowadzenie operacyi przeniesienia propinacyi na kraj wypadło świetnie; i kraj ma powód być wdzięczny wszystkim obywatelom i władzom, którzy przy niém współdziałali, bo rzecz trudna i ryzykowna przeprowadzoną została z ominięciem wszystkich szkopułów, znalezieniem właściwej drogi i usunięciem ryzyka— a nawet czynności, jakie na C. K. Dyrekcyi i władzach, w szczególności sądach, tu ciążyły, można było pokonać w ciągu niespełna roku tylko z największém wytężeniem sił i pracy. W szczególności wdzięczność należy się Panu Namiestnikowi Galicyi i wielu członkom C. K. Dyrekcyi. Kraj złożył dowód, mogący go napawać otuchą, a u drugich wzbudzać zaufanie, że nie brak mu rąk i głów do dodatniego a niełatwego działania. Z tego wszystkiego nie wynika jednak bynajmniej, abyśmy się na rzecz samą, t. j. fakt przeniesienia propinacyi na kraj, zapatrywali korzystnie. Nie jest nam dotąd zrozumiałém, c u i b o n o przedsięwziętą została cała ta operacya. Co na tém zyskuje idea społeczna, co zyskuje kraj, co zyskują uprawnieni, co wreszcie włościanie?—Jedyną stroną dodatnią przeniesienia używalności propinacyi na kraj, jest, iż Dyrekcyja propinacyjna może się przy zarządzie tém prawem kierować względami dobra publicznego w wyższym stopniu aniżeli to czynili poszczególni upra-

¹⁾ Obywatelstwo wiejskie na zgromadzeniu w S t r y j u wyraziło w uchwale zdanie, iż wartość prawa propinacyi jest chwiejną i problematyczną.

wnieni, mianowicie pod względem doboru osób, którym wydzierżawia prawo propinacyi, pod względem redukcji czynszów tam, gdzie były wyrównane, wreszcie pod względem łatwości rozwiązania kontraktów, wyrugowania dzierżawców i t. d. Zapewne względ to bardzo ważny, ale najpierw jest on paraliżowany innymi względami, o których zaraz wspomniemy, a następnie względ ten sam przez się nierównoważy przecie obciążenia kraju gwarancją za 62,200,000 milionów! Nienależy zapominać, że jestto kwota, równająca się przeszło trzynastokrotnemu tegorocznemu budżetowi wydatków krajowych Galicyi a siedmiokrotnej wysokości jej długów. Gdyby w tym samym stosunku zaproponować gwarancję Skarbowi państwa austriackiego, wynosiłaby gwarantowana kwota 7,100,000,000 fl., bo budżet państwa wynosi 546,000,000 fl. Proszę tylko pomyśleć, czy by państwo zagwarantowało przeszło siedm miliardów dla idei lepszego wykonywania szynkarstwa przez lat dwadzieścia. Niech okoliczności nieprzyjazne obniżą dochód z propinacyi o połowę rocznie—gdzież my wtenczas będziemy? Nie zapominajmy, że poprzednie Sejmy nie chciały nawet jednego grosza ze skarbu krajowego zaangażować dla zupełnego zniesienia propinacyi.

Kraj więc nie zyskał nic; uprawnieni nie zyskali, bo jeżeli na przeniesieniu propinacyi skorzystali może ci, których dochody bardzo się obniżyły, to stracić musieli właściciele propinacyi, w ostatnich latach bardzo wiele ponad orzeczenie czyniących. O uprawnionych zresztą tu nie szło, bo wymiar wynagrodzenia dla nich był już dokonany, a gdy wynagrodzenie to zasilonem zostało państwowymi milionami z podatku wódczanego, mogli byli wszyscy spać spokojnie, bo byliby otrzymali r. 1910 bardzo obfite wynagrodzenie. Zresztą i ze względu na nich była 62 milionowa gwarancya kraju dziś równie, a może więcej nie na miejscu, jak przed 15 laty. Idea społeczna zyskała zniesienie wieczystego szynku; to prawda. Ale z drugiej strony straciła, naszym zdaniem, bardzo wiele. Program narodowy solidarności wszystkich stanów objawiać się bowiem musi obecnie, w odniesieniu do funduszu propinacyjnego, solidarnem staraniem, aby propinacya szła jaknajlepiej, czyli aby wszyscy jaknajwięcej pili, bo w przeciwnym razie, gdy propinacya upadnie, gdy nie wystarczą zapowiedziane nowe opłatyszynkarskie, (z których nie będzie można, mimo ich wprowadzenia, nic ściągnąć, jeżeli szynkarz nie będzie nic zarabiał, lub jeżeli szynków bardzo wiele ubędzie) zapłacić będzie musiał fundusz krajowy, t. j. wszyscy epodatkowani, w formie krajowych dodatków do podatków, zamiast coby płacili tylko ci, którzy się dobrowolnie chcą opodatkować, pijąc i płacąc w cenie trunku podatek konsumcyjny. I w tém solidarném dążeniu do jak najwyższych dochodów dla funduszu propinacyjnego leży wspomniane sparaliżowanie możliwości kierowania się jedynie względami etycznymi przy rozdawnictwie licencji propinacyjnych.

Co wreszcie zyskali włościanie? Cena wódki nie potaniała, a okoliczność, że w niektórych miejscowościach już nie obszar dworski propinuje, lecz inny licencyonowany szynkarz dzierżawi propinację od kraju, jest im zupełnie obojętną. Wprawdzie ze stanowiska dworu idea społeczna zyskała w tych miejscowościach, w których dwór nie ma już z karczmą nic do czynienia; ale ten zysk nie stoi w żadnym stosunku do możliwości zapłacenia dodatkami krajowemi za propinację w razie gdyby ona się zachwiała. A rzecz dziwna, ci, którzy najwięcej o możliwości zupełnego upadku propinacji mówili, przytaczali to jako silny argument za koniecznością przeniesienia propinacji na kraj. Można to zrozumieć ze stanowiska własnego ich interesu i egoizmu, który każe własne intratne prawa w bezpieczne schronić miejsce—ale stanowczo potępić należy ze stanowiska interesu powszechnego, krórego przedewszystkiēm bronić było ich obowiązkiem.

Włościanstwo było więc najmniēj zainteresowane sprawą propinacyjną, bo i po zniesieniu propinacji pozostanie karczma, szynkarz i wódka—i nie było między niēm żadnego niezadowolenia z karczmy dworskiej. Sumienny badacz i znawca kwestyi włościańskich, a kierujący się przedewszystkiēm interesem dobra publicznego poseł *M e r u n o w i c z*, powiada słusznie (l. c.), że ludność wiejska zachowuje się wobec tēj kwestyi zupełnie obojętnie, byle tylko nie potrzebowała czego płacić; że chłopi i przeciwko największemu wynagrodzeniu uprawnionych nic mieć nie będą; a karczma dzisiejsza znowu tak szczególnie szkodliwą niejest. Przeniesieniem propinacji na kraj postawiliśmy kwestyę tak, iż nie jest wcale wykluczoną możebność, że ludność bę d z i e potrzebowała płacić: za co? czy za coś lepszego, za rzeczywisty postęp, za doraźne przynajmniēj zniesienie propinacji? Nie, za zakonserwowanie jēj, tylko w innych rękach i za zespolenie jēj z pojęciem kraju i samorządu, jestto sukces, którego nie sędzę, by nam zazdrozczono. O ileż wyżej stała ustawa z r. 1875, która losy propinacyjnego odszkodowania łączyła z samą tylko propinacją, a kraju pod żadnym względem nie angażowała! Zyskał więc na tēj sprawie tylko rząd.

O ile więc gorącym byłem zwolennikiem natychmiastowego wykupna przez państwo; ¹⁾ o tyle byłbym się, skoro to było trudnēm, zgodził chętnie na doraźne zniesienie przez sam kraj propinacji wraz z wieczystym szynkiem z pomocą milionów państwowych, j a k k o l w i e k o n e m i a ł y, jak już mówiłem, i n n e s w o j e p r z e z n a c z e n i e i n a i n n y c e l d a n e b y ł y,—i z państwową g w a r a n c y ą o b l i g a c y i krajowych propinacyjnych, ²⁾

¹⁾ Za tēm oświadczyło się Zgromadzenie wyborców Buczaekich.

²⁾ Gwarantyci żądało także Zgromadzenie wyborcze w S a m b o r z e i poseł *P o p i e l*.

o tyle operacyę przenie sienia propinacyi na kraj, która bez żadnego celu przeszło rok cały absorbować wszystkie władze i całą działalność reprezentacyi kraju, a znalazła wyraz w poręczeniu kraju za 62,200,000 fl.; uważać muszę tylko za fakt bardzo niepomyślny. Ze się tu wyłącznie interesem społecznym, a nie interesem własnym, t. j. uprawnionych powoduje, wynika najpierw z wyraźnego przyznania, iż odszkodowanie uprawnionych jest całkiem słuszne, ¹⁾ następnie z okoliczności, iż miliony państwowe chętniebym na doraźne zniesienie propinacyi i wieczystego szynku był przeznaczyl, jakkolwiek one były dane tylko za przypuszczalny ubytek w dochodach propinacyjnych, a nadmienić tu muszę, że gdyby Koło polskie w Wiedniu było się podczas negocyacyi o owe miliony zdecydowało stanowczo przeznaczyć je na n a t y c h m i a s t o w e zniesienie propinacyi przez kraj i uzyskało a d h o c równoczesne zwołanie Sejmu galicyjskiego, można było na powyższy cel uzyskać w i ę c ę j niż milion rocznie. Wreszcie, powtórzyć należy, iż ofiara poniesiona przez kraj r. 1889 nie ma bynajmniej zasadniczego znaczenia usunięcia ostatecznego zabytku minionego ustroju społecznego i stosunków poddańczych; tak że usunięcie byłoby już przedź warte kilkadziesiąt milionów — gdyż zabytek ten był już i jest usunięty ustawą z r. 1875, — a obecnie tylko pozwoliliśmy sobie zbytku przeniesienia dochodów, służących na spłacenie go, z poszczególnych jednostek na kraj ²⁾.

V.

Pozostaje nam jeszcze rzut oka na zadania przyszłości, jakie czekają kraj pod względem uregulowania praw wyszynku.

Prof. K l e c z y ń s k i, który także przemawiał za całkowitem doraźnem zniesieniem propinacyi, uważa, iż interes publiczny stracił przy ustawie zeszlórocznej bardzo z tego także powodu, iż nie uregulowano równocześnie prawa i wykonywania szynkarstwa propi-

¹⁾ P i n i ń s k i l. c. znajduje nawet, że jest zbyt wygórowane, ale nie ze względu na samą wartość prawa, lecz z uwagi na możność wydobycia rocznego dochodu z propinacyi, odpowiadającego rocznym kosztom emitowanych obligów. Natomiast dziwi nas, że tak wytrawny i poważny pisarz, jak J. K l e c z y ń s k i twierdzi bezpodstawnie, że wynagrodzenie jest z n a c z n i e za wysokie i, że Sejm „nie zdołał wobec prywaty uratować sztandaru dobra publicznego“.

²⁾ P r z e c i w przeniesieniu propinacyi na kraj oświadczyło się też Zgromadzenie wyborcze w T a r n o w i e, za t e m przeniesieniem jedynie zgromadzenie w Ż ó ł k w i.

nacyjnego, które należało poddać ustawodawstwu krajowemu raz na zawsze. ¹⁾

Zobaczmy, czy to było możliwe.

Według cytowanej już ustawy zasadniczej należy do reprezentacji państwa „ustawodawstwo przemysłowe, z wyjątkiem ustawodawstwa o prawach propinacyjnych“. Należy położyć nacisk na to, że nie jest powiedziane „o wykupnie propinacyi“ lecz „o prawach prop.“ z czego możnaby wnosić, że nie tylko przeprowadzenie samego wykupna, lecz i uregulowanie późniejsze tychże praw, identycznych co do treści, t. j. prawa wyszynku, choć różnych co do formy, bo już nie w formie monopolu właściciela dóbr, miało być pozostawione Sęjmom. Ze ustawodawstwo propinacyjne nie podlegało najprawdopodobniej i przed r. 1867 kompetencji Rady Państwa, na to sądzimy mieć dowód w słowach deputowanego Kaiserafelda, który w Izbie posłów jako sprawozdawca z ustawy zasadniczej oświadczył, na uwagę dep. D-ra Roberta Grossa, że „właściwie w wykluczeniu ustawodawstwa o prawach propinacyjnych z kompetencji Rady Państwa (przeprowadzonem, jak mówią, przez dep. Ziemiałkowskiego) nie ma nic nowego, bo nie jest ono bynajmniej przedmiotem uregulowanym przez powszechne ustawodawstwo państwowe, bo istnieje tylko w poszczególnych krajach, i wreszcie, ponieważ nawet według patentu lutowego (1861), w połączeniu z dyplomem październikowym (1860) wątpliwem jest, czy to prawo byłoby kiedykolwiek Radzie Państwa przysługiwało“ ²⁾. Otóż twierdzi Kleczyński, że, kiedy ustawa zasad, przyznaje Sęjmom krajowym ustawodawstwo pod względem propinacyi, to im oddaje tym samemu prawo regulowania wyszynku. Innego zdania jest Piłat, który, podnosząc, że przepisy administracyjne, regalujące szynkarstwo, należą do ustawodawstwa państwowego, a dalej, że nie o tym nie słyhać, aby państwo, do którego ustawodawczej kompetencji to

1) Prof. Kleczyński, pomija w swém pojmowaniu publicznego interesu dwa ważne momenta w tej sprawie. Jednym jest potrzeba ochrony tych instytucyj finansowych, (a więc i właścicieli odnośnych listów zastawnych), które uwzględniały istnienie propinacyi przy udzielaniu pożyczek, wciągając ją w pokrycie wymagane dla udzielonych kwot; czy to przez wyższy szacunek majątku jako całości, czy też przez osobne pożyczki dodatkowo na propinacyę;—dalszą częścią dobra publicznego, a przynajmniej interesu publicznego była uwaga, iż nie należy skrzywdzić, a w niektórych wypadkach zniszczyć pięciu tysięcy obywateli kraju, mających prawa realne zapisane w hipotece, przez operacyę wykupna, prowadzoną bez żadnej wyższej konieczności publicznej. Oba te zaś momenta przemawiają za wynagrodzeniem o tyle wysokiem, aby całkowita wartość propinacyi została w zupełności zapłaconą.

2) Patr: „Die neue Gesetzgebung Oesterreich's“. Wien, Manz 1868, str. 179.

należy, zamierzało wprowadzić taką nową, doskonalszą ze stanowiska społecznego organizację przemysłu szynkarckiego—nie wspomina bynajmniej, aby po r. 1910 trwać miał i nadal dla szynkarstwa ekspropinacyjnego dzisiejszy stan wyjątkowy, t. j. kompetencya sejmowa. My sądzimy, że ta kompetencya pro futuro nie istnieje, bo Sejmowi przysługuje wprawdzie regulowanie praw propinacyjnych, ale skoro raz prawa propinacyjne będą po r. 1910 zniesione, to ustawodawstwo szynkarckie, dotyczące byłych propinacyjnych praw nie będzie już „ustawodawstwem o prawach propinacyjnych“, tylko zwykłym ustawodawstwem w sprawach szynkarckich. Rząd jednak przyznaje Sejmowi jeszcze mniej praw, bo tylko prawo zmiany stosunków propinacyjnych, ale w taki sposób, aby znieść jedynie te stosunki, które w ustawie przemysłowej z r. 1859 zostały z pod niej wyjęte—i żąda, aby się Sejm zajął zniesieniem szynków realnych, ale potem całe szynkarstwo poddał ustawie przemysłowej, uchylając nadal wszelką własną kompetencyę. Zgodnie z tē m zapatrywaniem nowela przemysłowa z r. 1883, nie tykając wprawdzie wyszynków propinacyjnych, uregulowała znów szynkarstwo, nie troszcząc się o kompetencyę Sejmów. I propinacyjny projekt rządowy nie wspominał ani słówkiem o pozostawieniu Sejmowi tego prawa. Dodajmy, że i wieczysty szynk, gdyby się był ostał, miał, zdaniem rządu, podlegać państwowemu ustawodawstwu przemysłowemu.

Jakkolwiekbyż zresztą rzeczy się mają, należy zauważyć, że na prawno-polityczny spór z rządem o pozostawienie krajowi i nadal prawa regulowania szynkarstwa ekspropinacyjnego, będzie właściwa pora około r. 1910 ze zbliżaniem się chwili, w której rząd to prawo dla siebie i dla Rady Państwa będzie windykował. Dziś zaś, jakąż wartość miałyby, ze stanowiska administracyjnego, jak słusznie mówi P i l a t (l. c.), reforma organizująca jedną część szynkarstwa na lat ledwie 21. Co najwięcej można było próbować uzyskać w ustawie propinacyjnej klauzulę, mocą której Sejm windykuje sobie regulowanie całego, po wygaśnięciu propinacji r. 1910 opróżnić się mającego pola, tak pod względem merytorycznym jak i policyjnym; podobnie jak to zrobiono z opłatami szynkarckimi.

Przedmiotem regulacji szynkarstwa propinacyjnego, którą mógłby Sejm podjąć i dzisiaj, jest wszystko to, co dla szynków niepropinacyjnych regulują ustawy przemysłowe i opierające się na nich rozporządzenia, z wyjątkiem organizacji szynkarstwa na zasadzie koncesyjonowania poszczególnych szynków. Zresztą streszcza się ta regulacja głównie w przepisach policyjnych, zawartych co do szynków propinacyjnych w rozporządzeniu ministeryalnym z 26 lutego 1856, a przeważnie dziś nie wykonywanych. Obowiązkiem władz politycznych jest, czuwać nad tem, aby ilość szynków propinacyjnych stała w odpowiednim stosunku do liczby ludności, a nie przekraczała go; dalej należy tu wykluczenie podejrzaných i nieodpowiednich ludzi

od wykonywania procederu szynkarzkiego, postawienie warunków dla lokalów na ten cel przeznaczonych, określenie godzin, w których szynki mogą być otwarte i policyi w szynkach; w ogóle przepisy potrzebne ze względu na moralność i bezpieczeństwo. ¹⁾

Zadania przyszłości nie kończą się atoli na przeprowadzeniu i wygraniu sporu kompetencyjnego pomiędzy Sójmem a Rządem po r. 1910—czy ono nastąpiłoby w drodze autentycznej interpretacji konstytucyi, a więc w drodze ustawy państwowej na korzyść kraju—czy też skutkiem przedłożenia przez Rząd do cesarskiej sankcyi ustawy sejmowej, regulującej szynkarstwo ekspropinacyjne. Tu jest więcj do zrobienia, ponieważ po r. 1910 nie da się właściwie utrzymać podział szynków na ekspropinacyjne i inne, przeto nastąpić powinna z natury rzeczy u n i f i k a c y a ustawodawstwa szynkarzkiego; i należy nietylko nie oddać rządowi regulacyi i szynkarstwa ekspropinacyjnego, ale nadto starać się uzyskać oddania Sójmom krajowym całego ustawodawstwa szynkarzkiego. Mogłoby to nastąpić tylko w drodze zmiany konstytucyi, przez ustawę uchwaloną większością $\frac{2}{3}$ części głosów w Radzie Państwa, ponieważ ustawodawstwo szynkarzkie stanowi część ustawodawstwa przemysłowego, a to ostatnie należy według konstytucyi do kompetecyi Rady Państwa. Przez takie rozszerzenie praw Sójmu stałoby się i ustanawianie opłat na szynkarzy sprawą krajową. Kraj, wykonując ustawodawstwo szynkarzkie, musiałby naturalnie poruszać się w ramach konstytucyi, która dozwala każdemu obywatelowi trudnić się każdą gałęzią zarobkowania „pod warunkami ustawą określonymi“. Ze co do wykonywania szynkarstwa ustanowionych być musi wiele takich warunków, dyktowanych interesem publicznym, to nie ulega wątpliwości. Na tém polu miałby więc Sójm ważne zadanie do spełnienia i tu może on przysporzyć krajowi i społeczeństwu znacznych moralnych korzyści. W tém znaczeniu też nie może być szynkarstwo przedmiotem w o l n e g o, t. j. przeciwstawionego k o n c e s y o n o w a n e m u, zarobkowania; lecz musi być skrzepowane systemem koncesyjnym. Dopiero z uregulowaniem szynkarstwa będzie kwestya propinacyjna uregulowaną merytorycznie co do rzeczy, a nie tylko co do nazwy. W Węgrzech też postawiono przy wykupnie prywatnych regaliów, sprawę uregulowania szynkarstwa na pierwszym, jak już wiemy, miejscu.

Prof. Kleczyński, który temi zadaniami przyszłości szczegółowo i z przejściem się zajmuje, żąda nadto, aby w drodze reformy u

¹⁾ Jeżeli Kleczyński zarzuca ustawie z 1889, iż nie uwzględniła ona interesu publicznego także i na punkcie „usunięcia ważnej policyjnie sprawy szynkarstwa z pod wyłącznej rozporządzalności prywatnych osób interesowanych“—to właśnie co do szynków propinacyjnych stało się zadość jego życzeniu i rzecz ta oddaną została pod zarząd władz publicznych.

stawodawstwa państwowego, odstąpiło państwo krajom swoje dotychczasowe dochody z szynkarskich opłat państwowych, pobieranych na mocy ustawy z 23 czerwca 1881. Dochód ten nie jest wielki, w preliminarzu budżetu na r. 1889 figuruje on w kwocie 1,261,100 fl. Ze względu na galicyjskie i bukowinańskie prawo propinacyi i krajowe opłaty szynkarskie, niższe są w tej ustawie opłaty państwowe w tych krajach na czas poboru opłat propinacyjnych, do połowy swój wysokości. Gdyby się powiodło żądanie to przeprowadzić, naten czas wszystkie opłaty szynkarskie w kraju, które wejdą w życie po r. 1916; będą mogły być jednostajne, gdyż po ustaniu propinacyi będzie można w każdym szynku szynkować trunki wszelkiego rodzaju, a po ustaniu (ewentualnych) opłat konsumcyjnych na rzecz funduszu propinacyjnego będą mogły opłaty szynkarskie w całości wpływać do jednego ogólnego zbiornika, tj. do funduszu krajowego, Z tymi zamiarami więc więcej szczegółów natury można połączyć myśl ogólniejszą, a zasługującą, by się stała przedmiotem stałego i wytrwałego dążenia kraju, t. j. by skarbowość krajową oparto nie na zasadzie dodatków do podatków bezpośrednich, lecz na oddaniu do dyspozycji kraju jednego przynajmniej takiego źródła, z którego rząd wcale nie czerpał, a zatem jednego podatku lub przynajmniej jego części. Myśl ta utorowała sobie już drogę w Séjmie, jak świadczy jego obrady z lat ostatnich ¹⁾, a zaczyna się z nią liczyć i Pan Minister Skarbu J. E. dr. Dunajewski, jak dowodzi ostatnie jego przemówienie w rozprawie budżetowej w Radzie Państwa. Takim podatkiem zaś, przekazanym krajowi, mógłby być, zdaniem znawców w Séjmie i Radzie Państwa ²⁾, najłatwiej podatek konsumcyjny.

Kłeczyński żąda nadto, całkiem słusznie, aby i sfery obywatelskie miały wpływ na szynkarstwo, a nie sam rząd wyłącznie o niem decydował. Mianowicie należałoby przyznać władzom obywatelskim prawo wydawania koncesyi na wyszynk ³⁾, bez całkowitego jednak wykluczenia od udziału w niem organów rządowych. Gdyby się zaś wszystkie zaprojektowane reformy udały, możnaby wtedy znieść stałość koncesyi przemysłowych i zmienić koncesye na wydawane na pewien przeciąg czasu.

Działać w kierunku tu naszkicowanym będzie zadaniem przyszłych naszych ciał reprezentacyjnych.

Lwów, w maju 1890.

1) Patrz: Starzyński: Ustawodawstwo sejmu galicyjskiego 1887 — 1889. (Przegląd sądowy i administracyjny kwiecień maj 1890) Część I. O budżecie krajowym.

2) Przemówienie posła Alfonsa Czaykowskiego w Kole polskiem w kwietniu b. r. Jana Stadnickiego w sejmie i t. d.

3) Do tego samego zmierzał postawiony w ankiecie, lecz odrzucony wniosek hr. Reya, aby ustawodawczo zastrzedz wpływ władz autonomicznych na rozdawanie koncesyi szynkarskich po r. 1910.

Brzydka dziewczyna.

POWIEŚĆ

PRZEZ

*Zygmunta Grabowskiego. *)*

I.

.....
Urodziny panny Walter obchodzono i w zakładzie: najpierw przez zawieszenie części robót i przez nabożeństwa w obu kościołach, na intencją właścicielki — następnie obiadem, w pośrodku, zastawionym w wielkiej hali, na przeszło dwieście osób.

W owym dniu, przestrzegana zwykle wstrzeźliwość w części została zaniedbana: piramidy antałów piwa i rozmaitych wódek piętrzyły się do koła: robotnicy od trzeciej po południu tańczyli na zabój, odświeżając zaschłe krtanie, przeplatając śpiewami rozrywkę. Wybrani gospodarze, przestrzegali porządku — zachęcali słabsze gardła do czasowego wypoczynku.

W sali jadalnej pałacyku — zastawiono stół na kilkanaście osób tylko; — inni goście — na bal dopiero, między dziewiątą a dziesiątą zebrać się mieli.

Wyżsi urzędnicy zakładu i Kawscy, już około szóstej znajdowali się w salonie przylegającym do jadalni.

Adam Kawski na Kawinie i Amelia, jego żona, przedstawiali doskonały typ tych niepoprawnych u nas obywateli prawiących dużo o obowiązkach obywatelskich — żyjących jednak z dnia na dzień, bez rachuby, bez myśli, nie mówię już o przyszłości, ale — prosto — o jutrze.

Ojciec Kawskiego, b. nadlesny, usunięty ze służby, jak utrzymywał, za podwładnych swych winy, zdołał oszczędzić z kilkuset rs. pensyjki około trzydziestu tysięcy rs. i nabył z tych oszczędności, w okolicach Górówki około trzydziestu włók ziemi i lasu — zaczątek pokaźnej późniejszej fortuny. Zbudowawszy folwark, sprosił sąsiadów i wyprawił chrzciny, oblane suto węgrzynem.

*) Ciąg dalszy Zob. Zeszyt za miesiąc Wrzesień r. b.

Ostatnie toasty pito już za zdrowie Kawskiego.... na Kawinie. Następnie, kiedy innych brzytwy golić nie chciały—u niego goliły zwyczajne nożyce:—dość prostemi drogami w krótkim stosunkowo przeciągu czasu dobił się okazałej fortunki, którą już, wraz z tanio nabytym a wdzięcznie brzmiącym tytułikiem „na Kawinie“ — przekazał panu Adamowi.

Ona, Nieopalska z domu, była niegdyś bardzo ładna i otrzymała w młodości tak zwane staranne wychowanie i wykształcenie t. j. umiała chodzić i siedzieć przyzwoicie, nie plotła trzy po trzy, mówiła biegle, choć z polskiem zacięciem, kilkoma językami obcymi, grała znośnie na fortapianie, śpiewała nawet trochę. On, jeździł wybornie konno, tępił zajadle marne zające, lisy, kuropatwy i t. p. ale tępił też garderobę i folwark przy sposobności. Szkoły kończył w Piotrkowie, jak je podówczas synowie niektórych bogatych właścicieli ziemskich kończyli byli zwykli t. j. siedm klas, najmiej w dziesięciu lub jedenastu latach. Potem, wziął go ojciec na praktykę gospodarczą,—myliłbysię jednak, ktoby sądził, że umieścił go w Romorantin, w Grignon lub choćby w Żabikowie lub w kjażu, w Mariemont'cie—przeciwnie, zatrzymał go w domu. Wyrósł też gagatek na wisusa co się zowie, i nauczywszy się rozróżnić jako tako pszenicę od rzepy, dostał od ojca folwark i wyprawiał się jak ongi poczciwiec Jazon, po złote runo—po żonę.

Z miłego stadła, spędzającego połowę każdego roku zagranicą, urodził się syn Michaś, w Neapolu i w dziesięć lat później córka, Joanka, w Paryżu.

Dzieci chowali Kawscy tak jak byli chowani sami. Michaś dostał folwark i zalecono mu poszukać żony—Joanka ukończywszy nauki (sic)—umiała paplać, jak matka obcymi językami, jak ona dręczyć fortepian i śpiewać romanse—jak ona jeszcze stroić się i wydawać bez rachuby.

Kawin był środkiem pięknego klucza, bo sześciu folwarków z objętością ogólną stu pięćdziesięciu włók ziemi i osmdziesięciu lasu—nie było to jednak El-dorado i, powoli, żydki obsiadły tę ładną fortunę. Lasu nie cięli jeszcze, ale ostrzyli nań już zęby i siekiery — ziemia w połowie była odłużona i należało lichwarskie opłacać odsetki.

Dla wybrnięcia z ciężkich opałów, liczone na bogate małżeństwo syna i bogate zamążpójście Joanny. Syn jednak wyrobił sobie w dalszych nawet okolicach renomę zawołanego nicponia i utracyusza, utrzymującego seraj na owym folwarku; Joannę zaś daremnie wożono przez dwa lata po wszystkich niemal wodach, kąpielach i stolicach Europy. Wielbicieli swęj niepospolitęj piękności miała dużo, ale ani jednego, któryby zapragnął poprowadzić ją do ołtarza. Dla bogatych, za ubogą była—dla biednych z tytułem i za ubogą i za zwyczajnego, szlacheckiego tylko pochodzenia. Wtedy już t. j. lat temu pięć czy sześć,

wdzięki nie wystarczały, — żądano czegoś nie tak przemijającego przy nich — a p. Kawski, na Kawinie, więcej nad 30,000 rs. nie mógł nawet obiecywać.

Joanna tedy spuściła z tonu i postanowiła wydać się w kraju i sama. W gruncie rzeczy była to dobra dziewczyna, psuta przez matkę która, z lat najrańszych, tępiła w niej najstaranniej etyczną stronę umysłu, przedstawiając jej na każdym kroku, że w życiu i w małżeństwie na pieniądzach wszystko polega, że one dają nam uciechy, możność próżnowania, i że młodej dziewczynie, w jej położeniu, obojętną powinno być rzeczą za kogo wyjść, byle tylko przyszedł miał okazałe mienie. Gdy jednak proza życiowa rozwinęła i te mrzonki źle pojętego realizmu, gdy już nietylko księżę żaden, hrabia lub zresztą i baron, ale i żaden dorobkiewicz nie kwapił się sięgać po ładną, lecz względnie ubogą dziewczynę — a Joanna zaczęła uczuwać cały ciężar panieństwa, dźwigany od lat czterech z okładem — umyśliła popracować na własną rękę w tym kierunku. Miała przecie młodość, wdzięki, krew gorącą w żyłach, a poniżać się pokątnemi miłośkami żadnej dotąd ochoty..

Zwrócono się tedy ku Warszawie w zimie; latem jeżdżono do Ciechocinka, Nałęczowa i Druskienik — jak dotąd, daremnie. Podobało jej się wielu — podobała się też całym tuzinom młodszych i starszych zwolenników małżeństwa, lecz o oświadczeniach jakoś nie myślano. Kilkakrotnie dobiegały jej uszu kursujące wśród młodzieży: „zanadto ją po świecie obwożono! kto wie czy tam gdzie kilku piórek niezostawiła po drodze..“

Takie aluzye z granic ją niemal wyprowadzały. Miewała, w ciszy swój sypialni, chwile wściekłości — szału. Nieprawdą były te oszczercze podejrzenia — nie mogła jednak rzucić się komuś w objęcia i powiedzieć: weź mię, przekonaj się, żem uczciwa i ożeń się potem. Nie była dzieckiem przecie, ani naiwną tak dalece, aby niezrozumieć że mężczyźni słuszność mają wymagając, aby te, którym dają nazwisko swe, dały im w zamian choć tę drobną rekompensatę prawowitości urodzenia przyszłych dzieci; jeżeli tych rekompensat nie wymaga koniecznie dzisiejsza etyka cywilnego małżeństwa, konieczne one są ze względu na spadkowe prawa mienia i nazwiska.

Matka, samochcąc, stworzyła jej położenie bez wyjścia prawie — zaczęła tedy nienawidzić matkę. W miarę jak zmysły dopominały się coraz natarczywiej o swe prawa z nieubłaganą logiką rzeczy, jaką wytworzyła mądrze przyroda — czuła, że te rzekomo zgubione po drodze piórka, są szkopulem, o który rozbijają się sympatyje uczciwych ludzi.

I czuła się, przy jakimś takim mieniu i swój uderzającej urodzie — istotnie nieszczęśliwą. Nauczono ją kokietować — nauczono nowomodnego, głupiego, zakrawającego na najzwyczajniejszą rozpustę flirtu w kole mężczyzn a zaniebano zupełnie to, co

nas pociąga, co nęci, co podoba się nam w kobietach. Radzi jesteśmy widzieć u nich, choćby tylko pleć drugą, przeznaczoną dla rodzenia i chowania dzieci; — ale niechże będą sobą a nie lalkami, którym przyroda sama waha się wydać świadectwa na przyszłe macierzyństwo.

Pewnego dnia, gdy ją najpóźniejsze dręczyły myśli—przyjechał Hube i przedstawił w Kawinie Kruszewskiego.

Gdy zeszła do salonu i poczuła na postaci swój i na licu spokojny, przenikliwy wzrok inżyniera — zdawało się jój, że słyszał już coś o niej i że bada, ażali te zgubione piórka nie zostawiły śladów na oczach, na łonie, na kibici jój... Purpurą się oblała i, nie wiedząc o tém sama, była przez chwilę sobą tak dalece, że przybyły z przyjemnością patrzył na to piękne dziewczę, kształtne, ujmujące w obéjściu, z głosem dźwięczącym jak srebrny dzwonek, z czarnemi, smutnemi oczami wystraszonej łani.

On—podał się jój bardzo, wyjątkowo, od pierwszego wéjżenia. Nie miał nic z téj bufonady, wiejącej z chodu, słów, gestów terażniejszej młodzieży—nic z nabytego na ławie uniwersyteckiej i w piwiarniach pesymizmu, nic bezczelności niedowarzonych półgłówków, którym się zdaje, że wolno im lekceważyć wszystko na ziemi. Podał się jój, że mówił z uśmiechem pełnym spokoju, że w głosie czuć było tę pewność siebie, jaką daje prawdziwa wiedza, poczucie własnej siły i działanie już czegoś w społeczeństwie i dla społeczeństwa. Zresztą, od lat dawnych znała dyrektora Górówki, znała go jako męża nieposzlakowanej prawości, jako zahartowanego pracownika, na którego barkach spoczywał ciężar olbrzymiego przedsiębiorstwa. Otóż ten człowiek uczciwy, ten pracownik osiadyły na stanowisku—okazywał inżynierowi życzliwość pełną szacunku; wyróżniał go widocznie z tłumu.

Po odjeździe gości rozmyślała o Kruszewskim resztę dnia—i część nocy może. Przeczuwała w nim człowieka, na którego ramieniu śmiało oprzeć się może kobieta i iść przez życie.

Inaczéj było z Michasiem. Naiwny chłopiec sądził w prostocie ducha, że serajowe sceny z jego folwarku na jaw nie wyszły wcale, że gryzące się tam wzajem Zośki, Kaśki i Jagusie, na których pogodzenie musiał sam nieraz używać pięści lub batoga, albo na czas pewien wykluczać z łask swoich, nie miały rodzin długojęzycznych, które fawor pański, jak za pańszczyznianych czasów, za chlębę dla siebie uważały.

Zakłady w Górówce ceniono na miliony rubli, a jakby to dobrze było brać z nich gotówkę i puszczać za granicą—témbardziej że i Lila, choć nieładna, była kąskiem nie do pogardzenia. Udawał tedy Michaś zapalonego gospodarza, siedział na wsi i dojeżdżał często do pałacyku, gdzie, ze względu na sąsiedztwo, był zawsze mile przyjmowany.

Lilę bawiły zabiegi, panieca który po spędzeniu wieczora w towarzystwie Firleckiej i panny Walter, wracał do swoich pachnących oborą westalek, pewny że tego nikt nie wypatrzył dotąd i nie rozniósł po okolicy.

Jakież jednak byłoby rozczarowanie młodego Kawskiego, gdyby wiedział był, że prócz dawno już otworzonego testamentu starego Waltera, mocą którego ogromne mienie przeszło na rzecz Lili, w rękach Hubego znajdował się jeszcze dodatek, i że ten Hube mógł, wedle uznania, zniszczyć go lub ogłosić i okazać sierocie.

Dodatek ten wcale niepochlebnie wyrażał się o Michasiu i li-tylko dla niego został sporządzony.

Treść ciekawego w swoim rodzaju dokumentu brzmiała jak następuje:

„Zastrzeżenie:

„Córkę moję i jedyną spadkobierczynię, Lilę, uważam za dziewczynę tak rozsądną i takim taktem obdarzoną, że bez trwogi o jutro, powierzyłem jej wszystko z dniem méj śmierci. Gdyby jednak, co każdej kobiecie zdarzyć się może i dla niej nadeszła chwila zgłupienia, szału, a w takiej chwili, poważyła się oddać rękę p. Michałowi na Kawinie Kawskiemu, którego uważam za skończonego hebesa. w którym głupota walczy o pierwszeństwo z najszkaradniejszymi nałogami—całe moje, przezemnie tylko i krwawą pracą lat czterdziestu zgromadzone mienie, przejdzie na rzecz moich dalekich krewnych po mieczu, żyjących w Konwitz w Saksonii, pod Lipskiem—Lila zaś otrzymywać będzie dożywotnią rentę w kwocie rs. 12,000, płatną po 1,000 rs. co miesiąc, z góry. Gdyby zaś z przypuszczalnego małżeństwa jęj z wspomnianym hebesem, Michałem Kawskim, miały być, czego nie daj Boże, dzieci—to każde z nich otrzyma po 100,000 rs., ale nie pierwój, aż po śmierci ojca; do owęj pory tylko procenta prawne pobierać będzie.

„Przyjacielowi memu i dyrektorowi moich zakładów w Górówce, powierzam ten dodatek do testamentu—dozwalając mu lub wskazanęj przezeń osobie ogłosić go i wprowadzić w wykonanie, wedle uznania i potrzeby“.

O istnieniu dodatku nic nie wiedziała i Lila, mimo to, daleką była od myśli oddania kiedybądź swęj ręki sielskiemu Lowelasowi, zdobywcy wdzięków Zosiek, Jaguś i Kasiak w okolicy.

I teraz przyjechał wyświeżony, uśmiechnięty, z ogromnym bukietem róż Niel i Japońskich w ręku; ugiął się prawie pod ich ciężarem. Spotkała go wielka, jak mówił, przyjemność, gdyż ów bukiet w salonie, na widoku umieszczono, co mu tak wielkiej dało otuchy, że podczas obiadu nie spuszczał oczu z Lili, a w ciągu balu laził za nią jak cień wszędzie.

W początkach, niemile go uderzyła nowa twarz w zakładzie; w dorodnym inżynierze podejrzywał rywala, gdy jednak Kruszew-

ski złożył wizytę w Kawinie—młody człowiek uspokoił się, wiedział bowiem, że Joanka, bez ogródek dawała mu przed innymi pierwszeństwo.

Przy stole, panna Kawaska, mimo uwag Michasi i Lili, została przez ciotkę Firlecką przy Ignacym umieszczona; piękna dziewczyna, rozpromieniona, uśmiechnięta, zrećnie nawiązała rozmowę na Paryż i Francją. Odgadła, że inżynier musiał ztamtąd miłe wynieść wspomnienia, że tęsknił za ową piękną ziemią. A znała ją wybornie; zwiedziła godne uwagi miejscowości,—muzea, pomniki; obdarzona zmysłem spostrzegawczym, wrażliwa z natury, umiała mówić i opisywać z wdziękiem, nie brakło nawet niezłych krytycznych poglądów, które tém ponętniej brzmiały, że ze ślicznych ustek wychodziły, ustek, stworzonych do pieśzcot raczję i częściej tylko paplaniny.

Lila zajęta gośćmi, od czasu do czasu rzucała w stronę Joanki przelotne spojrzenia—jakby badała tylko, czy wszyscy zadowoleni z zastawy i dań wyszukanych. Ciemny ich błękit nie mienił się teraz weale,—spokojnie patrzyły przed siebie; po za żywem zajęciem się obecnymi osobami, nic w nich nie uderzało.

Pod koniec obiadu rozmowy się ożywiły;—wyborne i chojnie przez służbę lane wina różowały oblicza.

Kawski, siedząc przy Hubem, dręczył go opisywaniem piękności okolic Neapolu i smaku Marsali, Lacrima-Christi i Montepulciano;—Kawaska znów spierała się z Michasią i Firlecką o to, czy berlińskie czy paryskie mody pozyskają w nadchodzącym sezonie zimowym pierwszeństwo.

— Czy nie zwróciłeś pan uwagi—zagadnęła nagle Joanka, jak dobrze dziś wygląda panna Walter? Prawda, że jęj do twarzy bez żałoby? mniej brzydką się wydaje biedaczka.

Inżynier rzucił przelotne spojrzenie w stronę Lili i odparł bez namysłu:

— Co do mnie, nigdy jęj brzydką nie znajdowałem.

— W samęj rzeczy? szepnęła przygryzając lekko wargi...

— Widzi pani, my mężczyźni inne trochę mamy pojęcie o pięknie w kobiecie. Prócz zewnętrznych przymiotów, cenimy i stronę umysłową i moralną...

— Wyształcenia wielkiego nie ma chyba!

— Przeciwnie, pani,... o ile mogłem przekonać się w tak krótkim czasie...

— Niestosowne dla płci i wieku wybrała sobie zajęcie...

— Sądzę, że najstosowniejsze, bo zarówno jak szlachectwo—i majątek do czegoś obowiązuje. W zakładzie uwielbiają pannę Walter; jest dobrą, sprawiedliwą i uczynną.

— Nie przeczę, ale ja mówiłam tylko o jęj twarzy... przerwało dziewczę—niecierpliwie trochę.

— Ma królewskie oczy...

— Oh!

— I przepyszną budowę ciała—kształty jakby wyrzeźbione...

— Dłutem Canowy?... znam to porównanie...

— Nie, pani, dłutem mistrza nad mistrzami: przyrody.

Joanka, pod pozorem sięgnięcia po jabłko czy brzoskwinię, zgięła naprzód ramiona, pochylając się tym sposobem tak, że Krużewski musiał obaczyć w całości jej prześliczny różowy biust, do połowy stanikiem balowym zakryty.

Ani mruknął—odpowiedział tylko znacząco:

— Znam i takie, które jej dorównują w tym względzie, a przewyższają ślicznymi rysami oblicza.

Wyzywające to powiedzenie wywołało żywe barwy na twarz panny Kawskiej i... ponowne pochylenie się po drugie jabłko czy brzoskwinię.

— W oczach panów jednak, dziś już nie wdzięki, ale mienie główną gra rolę—odparła śmiało.

— Nie wszyscy przecie gonią za posagiem—sam jednak wiem, iż wielu znajduje się w takich warunkach, że o związkach li—tylko z przywiązania marzyć nie mogą wcale.

— Chyba, iż sami są bez chleba.

— Niekoniecznie. Ja np., przy pewnych zdolnościach, jakie posiadam, przy dyplomie i znajomości mego fachu—jakiż mam stanowisko? Żadne prawie—gdyż zależę od dyrektora zakładów i jutro mogę być bez powodu pozbawiony chleba...

— Lilaby na to nie pozwoliła przecie.

— Tak i ja mniemam, bo ją uważam za niezdolną do wyrządzenia komubądź rozmyślnie i niesłusznie krzywdy;—gdyby mię jednak oczerniono lub t. p. cóż począłbym na razie? Każdy człowiek ma prawo do szczęścia i stworzenia sobie rodziny;—tę rodzinę jednak wyżywić trzeba... zapewnić jutro potomstwu. Praca biurowa i to jeszcze prywatna, tego jutra nigdy nie zapewnia; rad tedy nie rad, w tém położeniu znajdujący się szuka trochę posagu, aby zawiązać z jego pomocą jakieś przedsiębiorstwo, jakąś spółkę...

— A ileż potrzeba w panów zawodzie? pytała z uśmiechem.

— Dużo: czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy...

— Złotych?

— Rubli, niestety.

— Addio tedy piękna twarzyczko... szukajmy milionów... rzekła ciszej.

— Albo zostańmy bezzenni wbrew woli i chęci

— Ale jakąż my nudną prowadzimy rozmowę! przerwała nagle Joanka. Narzekamy oboje...

— Jakto?

— Pan, że potrzebujesz koniecznie posagu; ja, że go nie posiadam prawie... Ktoś z boku przysłuchujący się sądziłby...

— Coby sądził? podchwycił inżynier, nie spuszczać już z niej oczu...

— Ze ten żal wspólny...

— Miałby słusność może! odparł patrząc na nią tak, że wszystka krew uderzyła jej do głowy.

Poruszyła się; nieuważne to było poruszenie: nóżka jej drobna, dziecinna niemal, dotknęła stopy Kruszewskiego. Niecofnęła jej... tak chwilę pozostali.

Wstawano od stołu.

Podał jej rękę i spytał czy zechce zapisać go do drugiego walca.

— A pierwszy?... odparła gdy podawał jej ramię.

— Tańczę z panną Walter.

— Czy jeszcze i teraz ów ktoś miałby słusność? szepnęła wyzywająco.

— Jeszcze i teraz... była odpowiedź równie cicha, znacząca.

Gdy weszli za innemi do pustego jeszcze salonu, i gdy ją pożegnał, udając się do bocznego pokoju na kawę i papierosa, — przystąpiła do niej matka.

— Jeanne, fais attention, tu te compromets, ma fille!, rzekła, odprowadzając ją w głąb ogromnej sali.

— Moi? et comment—s'il te plaît? odparła panna Kawska, z pewnym przekąsem.

— Mais... en acceptant les assiduités de ce monsieur...

— As-tu en réserve pour moi, le prince charmant, le prince de tes rêves? rzekła impertynencko Joanka.

— Jeanne! strofowała matka.

— Czegóż chcesz mamo? zakończyła po polsku. Muszę się zakrzętnąć sama—mam dwadzieścia trzy lata...

— Pan K... nie jest stosowną dla ciebie partyą.

— A ów Poczekalski w Druskienikach?

— Miał milion rubli! rzekła matka.

— Ale nazwisko kopiejki nie warte.

— Joanko!

— Takie mam imię i dla tego też nie chcę patronatu św. Katarzyny. ¹⁾ Pan Kruszewski podoba się mi szalenie i jedno jego słowo, a oddam mu rękę z pewnością.

— Wbrew naszej woli? podchwyciła Kawska, po której twarzy przebiegały płomienie gniewu.

— Mam lat dwadzieścia trzy prawie...

— Fille dénaturée! szepnęła rodzicielka.

— Fille à marier, raczej—poprawiła drwiąco trochę.

¹⁾ Aluzya do przysłowia francuzkiego: coiffer la S-te Cathérine, t. j. zostać starą panną.

Wdzięczne tony walca przerwały tę miłą scenę.

Lila, której uwagi nieuszło żywe zajęcie się Joanki dorodnym jej podwładnym, weszła do salonu, napełniającego się gośćmi, z lekką, zaledwie dojrzaną chmurką na czole.

W umyśle młodej dziewczyny, małoznaczne na pozór wydarzenie dnia, jak ręką profana wlane różne kwasy w ogrzewaną retortę chemika, wytworzyły chaos różnorodnych uczuć i pojęć. Co znaczyło dziwne wystąpienie ciotki Firleckiej, co niemniej dziwny postępek Michasi, a nareszcie widoczne, zawidoczne nawet zajęcie się Joanki Kruszewskim—zajęcie, które niczyjej nie uszło uwagi. Nareszcie dlaczego inżynier zdawał się skłaniać ku pięknej dziewczynie, choć widział ją i mówił z nią zaledwie kilka razy? Michasi postępowanie zasługiwało też na nagane. Zamieszkała w zakładzie, dzięki życzliwości ojca dla Kruszewskiego, w ciągłej prawie styczności z inżynierem—dokładała jeszcze starań, aby spotykać się z nim jaknajczęściej. Były to chwilowe wycieczki do biura, do ojca naturalnie, ale przytem rzuciła życzliwe słówka Ignacemu, oczka jej biegały za nim, jak igła magnesowa w obracającym pudełeczku za północą; mówiła o nim, a zapewne i myślała do znudzenia.

Pannie Lili zaczął teraz stanowczo mniej się podobać ten człowiek spokojny, cichy, niemal zimny, obojętny na wszystko, którego jednak oczy rzucały płomienie, drżały wypukłe, purpurowe wargi, dłoń była tak wymowna, ciepła w dotknięciu i uścisku. Żalowała już własnego wystąpienia, tego nieszczęsnego zamówienia do tańca. Co pomyślał i co pomyśli o tém jeszcze? Manewra ciotki i obojga dziewcząt, zakrawały na jakieś... ubieganie się o... tak, o mężczyznę. Bezmyślnie; wplątała się sama w tę intrygę, stanęła dobrowolnie w szeregu, ona, ze swą brzydota, której, — czuła, że miliony zatrzeć nie zdołają.

Pierwsze wrażenie, wyniesione z poznania się z Kruszewskim, było dodatnie—ztąd gotowość podania ręki siostrzeńcowi przyjaciela jej nieboszczyka ojca. Teraz żalowała prawie porywczej dobroci—czuła, że ten człowiek zakłóci może dotychczasowy spokój jej życia. Cóż z tego? szeptała do siebie, siadając w kole pań w salonie—usunę go pod pierwszym lepszym pozorem.

Zadrżała jednak, gdy zbliżył się do niej uśmiechnięty, swobodny i z ukłonem podał jej rękę, przypominając dane sobie przyrzeczenie, choć to ona właściwie go o ten taniec prosiła.

W walcu trudno rozmawiać swobodnie; wirowe tańce są czy-sto zmysłowe, zmysły też w nich tylko mówią.

On tańczył, jak wyrażają się czasem kobiety: uroczo, z wdziękiem sobie właściwym, poprawnie, lekko — unosił niemal tancerkę.

Lila, nie nosząc nigdy gorsetu, czemu sprzeciwiał się zawsze jej nieboszczyk ojciec — i teraz go nie miała; zresztą, wspinała jej kształty i zachwycająca jedrność ciała, nie potrzebowały

tego o tyle głupiego, co i barbarzyńskiego przyrzędu do wykrzywania dzieła przyrody — powiedzmy nawet: Stwórcy. Jeżeli cywilizacya i wymagania klimatyczne dały nam odzież dla podbudzenia zmysłowego uroku, wywieranego wzajem na siebie przez płcieróżne i dla oszczędzenia naskórka od skutków nagłej zmiany powietrza, to przyroda, gdyby te kleszcze, najeżone stawkami i firzbinami dobre były, nie omieszczałaby dać nam łuski lub rogówki od urodzenia.....

Lila, miała tylko stanik obcisły, jedwabny, pod stanikiem balowej szaty.

Tańczyć lub wziąć w pół kobietę w gorsecie, to samo sprawia wrażenie, co otoczenie ramieniem miniaturowego kirasjera w pełnym rynsztunku, lub rycerskiego knechta z XIII-go wieku. Z niewysłowioną też przyjemnością tulił do siebie Lilę inżenier, czując pod dłonią i ramieniem jęj powabne kształty — tém bardziej, że biust młodej dziewczyny nie potrzebował wcale sztucznej podpory i kunsztownego podniesienia.

Po dwukrotném okrażeniu sali była bez tchu prawie — krew płynęła lawą w żyłach téj dziewczyny, liczącéj dotąd cyfry przez dnie całe, zatopionéj dotąd w suchych fabrycznych sprawozdaniach. Nie ma się bezkarnie kwitnącego zdrowia, młodości i swobody umysłu; bezkarnie też nie skłania się w objęciach dorodnego mężczyzny, którego oczy palą nam twarz i piersi, z którego miękkich dłoni przechodzi prąd elektryczny w nasze dłonie.

— Odpocznijmy chwilę! szepnęła odrzucając w tył pyszne swe popielate włosy i przysyłając rżesami oczy, teraz jasne, pogodne, błyszczące jak dwa ogromne szafiry.

Podał jęj prawe ramię i usunęli się do olbrzymiej cieplarni, pełnej zwrotnikowych krzewów, obecnie pustej jeszcze.

Szła, opierając się lekko, z oczami ku ziemi, z falującą pierśią, nieśmiała — nie wiedząc jak zacząć, by uniewinnić się, wyjść z niemiłego położenia.

— Co pan pomyślał? — zagadnęła nagle, gdy tak sama narzucałam się do tego walca.

Patrzała mu prosto w oczy teraz.

— Ze dzięki, dzięki... małemu nietaktowi panny Hube, spotkało mię szczęście tańczenia z panią.

— Rzuć pan pochlebstwo; wszakże łatwo było zapisać się w moim karneciku.

— Lękałem się czy taniec teu nie zajęty... tedy odmowy.

— Byłby drugi.

— Tak dopiero drugi! powtórzył jak echo...

— Sądziś-że pan, iż Michasia podejrzywa prawdę?...

— Nie, pani.

— Tém lepiej. Tańczysz pan z nią drugiego walca?

— Nie; z panną Kawską.

— Ah, czy tak zamówioną jak ja?—rzekła z uśmiechem, ochłonawszy już z przedchwilowego pomieszania.

— Prosiłem o ten taniec.

Nachmurzyła się, ale niebawem dodała z pewnym wahaniem:

— Kiedy już wywrócono nam role, proszę pana o drugiego kadryla...

— A pierwszy?

— Tańczę z panem Michałem Kawskim.

— Stosownie do wywróconej roli? podchwycił śmiejąc się wesoło.

— Prosił.. i przyzwolenie moje narazi mię może na drugi taki bukiet jeszcze.

— Czyżby miał go w powozie?

— Nie dziwiłabym się. Szkoda jednak, że mi wraz z tą... furą kwiatów, nie ofiarował i pacholka do dźwigania daru...

Zmieszła się nagle, gdyż przypomniała sobie, że bukiet Kruszewskiego znajduje się w jej sypialni, na toalecie — była w śmiertelnej trwodze, aby nie pytał się czasem.

Byli w progu salonu, rzekła tedy żywo, podając rękę prawą, a lewą wspierając mu na ramieniu:

— Tańczmy jeszcze trochę.

Tymczasem Joanna, śledząc oczami oboje, powtarzała cicho ze złe ukrytą zazdrością: czy on ją tak ładną robi? czy przy nim tak dobrze się wydaje?

Biedna dziewczyna, rozmowę przy obiedzie, sięganie po owoce i mimowolne wysunięcie na przednią straż ponętnej nóżki, nazywała „zakrząpieniem się“—niczém więcej.

Jeden tylko młody Kawski, przekonany o wysokości swęj wartości, nie zwracał uwagi na otoczenie Lili; dla niego urzędnicy zakładów, inżynier i inni, byli to oficjaliści, coś w rodzaju włódcarzy—najwyżej ekonomów—nie godziło się tedy zajmować podobnemi istotami.

Butny półpanek nie przypuszczał nawet, aby odkąd on wmówił w siebie, że się stara o rękę Lili, ktobądź śmiał stawać mu na drodze—sięgać po miliony przezeń pożądane. Śmieszne też stroił miny zwycięzcy—przybierał postawę protekcyjną i wyraz twarzy pełen pobłażliwości; rozdzielał łaskawie uśmiechy i ukłony.

W bufecie rozkazywał tonem, jakiego ludzie dobrze wychowani do własnej nawet służby nigdy nie używają; perorował w gronie kantorzystów, przekonany, że podziwiają go, zazdroszczą urody i stanowiska. Nadymał się też jak paw lub żaba na błocie.

Dotąd, na swoim stanowisku niezbyt dawno kreowanego obywatela ziemskiego, a mimo to pełnego dumy niczem nieusprawiedliwionęj—w obec inteligencji, obszernęj wiedzy i sympatycznęj osobistości Kruszewskiego, zachowywał się wcale przyzwoicie;

od chwili jednak, gdy panna Walter poleciła umieścić jego bukiet na widoku, a ciotka Firlecka wskazała miejsce przy Lili podczas obiadu, pewny był, że powie tylko słowo, a bogata dziedziczka rzuci się mu w zachwycie na szyję. Pocóż tedy miał krepować się, on, mający wkrótce osiąść miliony—tembardziej w obec człowieka, którego los mógł być jutro w jego rękach?

Czuł swą rzekomą wyższość i należał, właściwie przyczepił się do tych dziś niknących już okazów przeszłości, dla których przemysł istniał i mógł być uwzględniany o tyle tylko, o ile żadnej z nim nie mieli styczności. Zarozumiały aż do przesady, chowany przez matkę pieścącą go i pobbłażającą we wszystkim, wyrósł na wielkiego nicponia, zawalidrogę w społeczeństwie, w którym, z obowiązku powinien był zająć inne, zaszczytniejsze stanowisko.

Nieodrodny syn swego ojca nie mógł postępować inaczej. Kilka kieliszków koniaku, kilka lampek Bordeaux i Szampana, wystarczyły dla rozbudzenia gbura w tym gładkim na pozór paniczku.

Inżynier, po odprowadzeniu na miejsce Joanki, z którą tańczył drugiego walca, skierował się ku bufetowi.

Zaledwie dojrzał go Michaś, uśmiechnął się poufale i skiąwszy ręką, zawołał:

— Panie Kruszewski, pójdź no pan tu na chwilę!

Ignacemu, na tę brutalną poufałość młokosa, wszystka krew uderzyła do głowy; chciał stante pede skarcić nieokrzesanica, lecz zastanowienie przyszło w porę. Sam był przecie gościem w tym domu—w domu kobiety do tego. Miałże zrównać się z człowiekiem źle wychowanym?

Odwrocił się, spojrział prosto w twarz młokosa, przystąpił do stołu zastawionego zimnemi zakąskami, wziął skrzydełko kurapatwy, wypił kieliszek wina i nie odpowiadając ani wyrazu, wrócił spokojnie do wielkiej sali.

Na co, w głupocie swój liczył Kawski, pozostało na zawsze tajemnicą; zmieszał się z razu, lecz przytomnie zwrócił rozmowę z drugimi na inny przedmiot, cedząc tylko przez zęby: inżynier zajęty cały tańcami.

Zaczątek ten zajścia, mogący wywołać niemiłe zagmatwania—nie uszedł jednak uwagi i bystrego ucha i oczu ładnej Michaśi. Jedząc z ojcem w sąsiednim saloniku, słyszała odezwanie się Kawskiego;—wychylając się z krzesła, widziała oblicze inżyniera, jego pozorny spokój i udanie, że nie słyszy płaskiej poufałości przyszłego pana na Kawinie, jeźliby go pierwój żydzi nie zabrali.

Znalazłszy go w cieplarni później, przystąpiła i, przyjmując ofiarowane sobie ramię:

— Czy miałeś pan poprzednio jakie zajście z p. Michałem? szepnęła.

— Ja? żadnego. Mówiłem z nim w życiu w ogóle cztery czy pięć razy.

Gubiła się w domysłach.

— Ale, zawołała nagle, wiem już...

— Co pani wie takiego?

Zmieszana niewczesnym wykrzyknikiem, nie odpowiedziała.

— Proszę, powiedz mi!

— Co panu z tego przyjdzie? Zresztą to domysł mój tylko.

— Ale jaki?

— Pan Michał szukał widocznie sprzeciżki.

Potrząsnął głową przecząco.

— Wątpię bardzo.

— Dla czego?

— Za głupi i zresztą—nie było powodu.

— A Lila?

Odstąpił krok w tył, na prawdę zdumiony:

— Lila... panna Walter? powtórzył, nie rozumiem.

— Michaś widocznie występuje w roli wielbiciela...

— Jój milionów! odparł z lekką pogardą. Ale cóż to ma do podejrzewaną przez panią, rozmyślną chęci wywołania jakiegoś awantury.

— Przeczuwa w panu rywala.

Rozśmiał się serdecznie.

— Wemnie? żartujesz, panno Michalino.

— Gdyście tańczyli, uważałam — prześlicznie wyglądała, choć nie ładna wcale.

— To jeszcze nie powód przeciel..

Oczy jój płonęły niezwykłym blaskiem, była ożywiona jak nigdy dotąd. — Przeciwnie...

— Panno Michalino!

— Cóż złego w tém, co mówię?

— Dla mnie, nic rzeczywiście,—gdyby jednak kto obcy...

— Pan wiesz, że się nie kocham w panu przecie! odparła, śmiejąc się wesoło; ale wiesz i to, że powzięłam dla Ciebie od pierwszego razu, od pierwszego wejrzenia i rozmowy, wiele, ale to wiele życzliwości! Jestem szczerą, otwartą, choć mi przyroda wad nie poskapiła...

— I ślicznych oczu i uroczej figury także...

Zarumieniła się lekko.

— Po co pochlebstwa? wiem przecie, że jestem ładna! mów mi to codzień moje lusterko. Powtarzam tedy, że mimo przywar, jak czuję dla kogo sympatyą to już na zawsze... uważaj mię pan za przyjaciółkę... siostrę.

Był rozpromieniony.

— Nigdy—za nic więcej? szepnął pochylając się...

— Nigdy! odparła cichutko.

Byli sami — dokoła, muskane lekkim powiewem jesiennego wiatru księżycowej nocy, wbiegającego przez otwarte górne okna—kołysały się olbrzymie magnolie, cedry i skabieuzy—szemrała sztuczna kaskada, spływając w basen marmurowy, w którym płały złote i purpurowe rybki. olśnione mnóstwem płomieni z lamp, łamiących swe światło w drżące, przejrzystej wodzie.

Pochylił się i złożył na czole dziewczyny pocałunek.

Nie bronila się, spojrzala nań tylko z niewymownym wyrzutem -- w oczetach zaświeciły łzy.

— Czy to się godzi? szepnęła.

— Masz mi być siostrą... Michasiu! odparł, cóż w tém złego?

— Kochasz Joankę? pytała chciwie teraz.

— Nie...

— To dziewczyna bez serca.

— Piękna bardzo.

— I bardzo... natrętna.

— Siostrzyczka o brata jest, jak widzę, zazdrosna.

— Myślę, żeś wart czegoś lepszego.

— Naprzykład ślicznej Michasi... prawda?

Usta inżyniera musnęły miękkie, wonne włosy panny Hube.

— Czy mam żałować już ofiarowanej przyjaźni? pytała, biorąc na nowo jego ramię.

Ciotka Firlecka ukazała się na skrócie ścieżki.

— Szukam was wszędzie. Ładnie, ładnie—państwo gruchają sobie za magnoliami.

Michasia, dla zbawienia pozorów, opowiedziała z żywością sobie właściwą zachciankę p. Michała, a dla wywołania jakiegoś zajścia z inżynierem, oraz pogardliwe milczenie tego ostatniego.

— Kilkakrotnie już zwracałam uwagę Lili na nietaktowne postępowanie p. Kawskiego;—teraz jednak, zażadam aby mu delikatnie dom wymówiła,—rzekła Firlecka ze stanowczością w głosie.

— Przykroby mi było, obcemu w tych stronach, wnosić niesnaski nowe... odparł inżynier.

— Nie jesteś pan obcy, pracujesz dla dobra zakładu, a p. Michał jest prosto natrętny tylko. Zresztą już oddawna uważam na jego zachowanie się,—jest zupełnie nie na miejscu; z tym panem raz skończyć trzeba.

— Sądzę jednak, że gdyby panna Walter nie życzyła sobie...

— Tak, przerwała Michasia —wina to Lili, że zdaje się zachęcać go do bywania.

— Przecie z kimś żyć potrzeba! mówiła Firlecka—dla tego toleruje jego wybryki; ale on za nadto sobie pozwala. Tymczasem, przeproszam pana serdecznie.

Wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Kruszewskiego.

Gdy wrócili do sali, Kawskiego już nie było. Eisenherzhut, znajdujący się w bufecie podczas odezwania się Michała, przyszedł opowiedzieć co się później stało.

- Odjechał do domu? pytała Michasia.
- Powieźli go panowie, młódz z kantoru?
- Co pan plecie!
- Upiła się fest, i gadała głupstwa same.
- Miły gość! mruknął inżynier.

— Nauka to dla Lili, aby więcej była wybredną w dobieraniu towarzystwa—zakończyła Firlecka. Lepiej jednak, że się tak stało—nieprędko tu obaczemy go, a obeszło się bez wypowiedzenia domu.

- Jutro przyjedzie! rzekła Michasia.
 - Po co też, proszę?
 - Uniewinnić się w oczach Lili.
- Ruszyła ramionami.
- Nie przyjmę go i każę przeprosić, żeśmy znużone po balu.

Kawscy tymczasem tłómaczyli przed panną Walter ich gągatkę: miał nie tęgą głowę, wmuszano weń za dużo wina, ale czekały go w domu, za powrotem, surowe uwagi.

- Podobno obraził i jednego z pani ofycjalistów.
- Pana Eisenherzhuta, czy Luceńskiego, czy może...
- Tego... jakże się nazywa, co był u nas z panem Hube —

rzekł Kawski.

— Z panem Hube był inżynier Ignacy Kruszewski—odparła Lila z powagą—wkrótce główny inżynier w moich zakładach, bo p. Helder podaje się do emerytury, a ten, sądzę, ubliżyć nie pozwoliłby sobie bezkarnie.

— Michaś mu też nie ubliżył wcale — nie ma z nim żadnych stosunków... przerwała zgryźliwie pani Kawaska. Co do mego syna, proszę, wybaczu mi pani—będzie żałował, że uległ...

— Komu?

— A tym panom, co wmuszali weń wino...

Nie odpowiedziała. Rozglądając się po sali dostrzegła Joankę u ramienia Kruszewskiego: z główką pochyloną ku niemu opowiadała coś, poruszając szybko wachlarzem—on zdawał się słuchać z żywym zajęciem.

Wskazała państwu Kawskim ich córkę.

— Czy o tym... ofycyaliście, mówiliście państwo? spytała z wyborną naiwnością. To siostrzeniec pułkownika Zawadzkiego, najlepszego przyjaciela mego ojca...

Teraz Kawscy zbyli ją milczeniem.

Joanka piąty już raz tańczyła z inżynierem; co matkę jej z granic równowagi towarzyskości wyprowadzało.

IV.

Lila Walter do Pułkownika Zawadzkiego, w Paryżu.

Czcigodny panie pułkowniku!

Od przeszło roku jestem już, niestety, sierotą. Nieboszczyk ojciec mój, w ostatniej jeszcze chwili wspominał zanego druha z pola tyłu bitew i polecił przesłać mu ostatnie pozdrowienie. W kłopotach i zmartwieniu, dopiero teraz mogę wypełnić jego wolę.

List, w którym czcigodny pan pułkownik polecasz mojemu rodzicowi Twego siostrzeńca p. J. Kruszewskiego, mnie przed kilkoma miesiącami wręczono. Pan K. został natychmiast przyjęty w Górówce, o czém zapewne już pana zawiadomił. Człowiek to zdolny, wykształcony i nie wątpię, że będzie nam tu bardzo użyteczny, a tém samém zajmie pierwszorzędne stanowisko. Należy mi tedy podziękować czcigodnemu panu pułkownikowi: dobrą miałeś pan myśl, posyłając go do naszych zakładów, gdzie już umiał sobie zjednać sympatyą nie tylko surowego pana Hube, ale nawet naszego kasyera, dziwaka, o którym opowiadałam panu podczas ostatniej naszej bytności we Francyi.

Siostrzeniec pański jest wzorem punktualności i pracowitości; rysuje znakomicie, obznajmia się przytem z ogólną administracją ku zadowoleniu dyrektora,—słowem, mogę tylko wyrażać się o nim pochwalnie.

Teraz, czy jemu się tu podoba? nie wiem—staramy się jednak uprzyjemnić mu chwile wolne od pracy, o ile to jest w naszej mocy.

Na wiosnę będę we Francyi, nie omieszkać więc odwiedzić czcigodnego pana pułkownika—tymczasem proszę przyjąć zapewnienie mego uszanowania i szczeręj zyczliwości.

Górówka, 30 października 1883 r.

Lila Walter.

Po napisaniu tego listu, zakrawającego na sprawozdanie suche, mimo uprzejmych słówek w nim zawartych—Lila odrzuciła pióro i wyjąwszy z szuflady biura książkę, w której kopiowała własną tylko korespondencją, zmazała arkusz bibułki, przyłożyła doń list i sama odcisnęła w ręcznej prasie, umieszczonej między oknami. Później włożyła list w kopertę i zapieczętowała, położyła adres właściwy.

Dzwonkiem powołany woźny, wszedł i stanął w progu oczekując rozkazów.

— Poprosić tu p. inżyniera Kruszewskiego—rzekła, trzymając list w ręku.

Gdy wszedł, zdziwiony trochę, że tak rano, po balu, zastał już pannę Walter w jej gabinecie:

— Zechciéj pan, proszę, poleciéć wysłanie tego listu do Paryża, dziś jeszcze.

— Do mego wuja? zapytał, spojrzawszy na adres, gdyż mu list podała, naglewkniem do góry i ku jego stronie.

— Skarżę się na pana przed pułkownikiem — odparła z uśmiechem i żywym błyskiem swych modrych oczu.

— Cóż zawiniłem?

— Za dużo pan pracujesz i w biurze i — potem w domu...

— Czy to pani seryo mówi?

— Zupełnie seryo. Trzeba korzystać z ostatnich, pięknych dni jesieni.

— Chodzę codziéń rano i wieczorem godzinę przynajmniej po parku.

— To za mało. Dziś o czwartéj jadę obaczyć mój folwark, rodzaj „ferme — modéle“, który założył ojciec dla mnie, ztąd o trzy mile. P. Hube i Michasia pojedą powozem a pan może mi zechcesz towarzyszyć konno.

— Na rozkazy pani jestem zawsze! odpowiedział z ukłonem.

— Chciéj pan tedy pójsć do stajni, przejrzeć wierzchowe konie i wybrać którego ci się podoba, prócz bułanej klaczy, która jest wyłącznie dla mnie pod wierzch ułożona. Polecisz stajennemu przyprowadzić wybrańca przed peron pałacyku.

Pożegnał ją i poszedł przez fabrykę na podwórze, ku stajniom Lili.

Wierzchowce umieszczone były w osobnym budynku, wystawionym wedle najnowszych i najpraktyczniejszych zasad higieny i hodowli koni.

Pięć przepysznych okazów ze stajen ks. de Morny i Sanguszki żuło siano wonne i świeże w kamiennych żłobach; dwóch stajennych czuwało przy nich dzień i noc na zmianę. W głébi, w osobnéj zagrodzie, zamkniętéj zupełnie, stała przesliczna czarnej maści klacz półkrwi, sześciolatka, arabka po ojcu, angiélka po matce. Białe balzany zdobiły jéj delikatne, nerwistenogi, wielkie czarne oczy ciskały snopy światła. Strzygła za lada szelestem uszami, po ciele przebiegały ciągle dreszcze.

Inżynier obszedł, obéjrział konie i zbliżając się do czarnej córy pustyni:

— Dla czego stoi osobno? spytał stajennego.

— Oh, proszę wielmożnego pana, — to czysty diabeł nie kobyła! odpowiedział zbliżając się do zagrody ostrożnie.

— Kopie?

— Eh, żeby tylko kopała! ale to wielmożny panie nikt na niéj nie dosiedzi.

— Więc niejeżdżona jeszcze?

— Jeżdżona, ale i tyła! waryatka, diabeł kobyła. Miesiąc temu, młody pan z Kawina, tégci jeździec, nie ma co mówić, naparł

się siadać na nią koniecznie. To i cóż? wygarnęła go jak z procy na drodze, nabił sobie ino guza i tyła, a bestyjstwo wróciło z siodłem do stajni.

— Może ją drażnił daremnie...

— A Franciszek, maśtalisz panienki? jeszcze leży chory w leńnicy fabrycnej.

— To najlepszy koń po bułanój.

— A juźci, że najlepszy—ino diabeł nie kobyła — a gryzie i liga jak na urząd.

— Osiodłasz mi ją, dasz wytok mocny i napiersnik i przyprowadzisz o czwartój przed pałac.

Stajenny wytrzeszczył oczy—sądził, że się przesłyszał chyba.

— Wielmożny pan każe siodłać tę kobyłę i na nią pojedzie?

— Tak, na nią: była sucha odpowiedź.

Opuścił stajnię.

O oznaczonej godzinie zaprzężony ekwipaż stał przed frontowym peronem pałacyka; w dolnym salonie, dyrektor Hube z Michasią, Firlecka i Kruszewski, oczekiwali na pannę Walter, nieubraną jeszcze.

Gdy ukazała się i poleciała przyprowadzić wierzchowce, wszyscy zeszli pod kolumnadę.

Usłyszeli dźwięczne, ale groźne, niecierpliwe rzenie.

— To Almée'a, klacz kara! zawołała Lila, odziana w szafirową amazonkę i duży rembrantowski kapelusz z piórem i szmaragdową agrafką, iskrzącą się w słońcu. Czy pan polecieś osiodłać ją? spytała inżyniera z widocznym niepokojem.

— Czy pani gniewa się, że wybrałem najlepszego konia?

— Zabije pana (lub pokaleczy; w najlepszym razie zrzuci jak p. Michała! odparła żywo. To klacz do niczego.

— Proszę jednak, pozwól, Pani, dosiąść jej... jeżdżę dobrze.

— Za nic na świecie. Nie uczyniłeś mi pan nic złego, a i wtedy jeszcze nie pozwoliłabym, aby cię w naszych oczach...

Michasia złożyła ręce, jak do modlitwy...

— Ustąp pan, proszę,—poco narażać się...

Kruszewski podszedł do panny Walter i biorąc ją za rękę:

— Uspokój się pani, przychyl się do mego życzenia —rzekł uprzejmie, lecz z dziwną energią w głosie. Ja w życiu nie cofam się nigdy — co postanowię, to wykonać muszę koniecznie. Nie miej tedy, Pani, żadnej obawy.

Patrzył na nią mówiąc to, bo wiedział jak szczególny urok wywierały jego spojrzenia.

— Patrz pan, patrz! zawołała, ściskając go mimowolnie za rękę.

Klacz: jednem nagłem szarpnięciem wywróciła stajennego; nie puszczał cugli, lecz tarzał się w piasku, podczas gdy Almée'a z całej mocy usiłowała wyrwać się z uwięzi.

Z piersi patrzących wybiegł jeden niemal krzyk trwogi. Kruszewski, lotem błyskawicy skoczył do szamocącej się klaczy, pochwyił cugle—przerzucił je na grzbiet widocznie załęknionego na chwilę zwierzęcia, i bez użycia strzemięcia znalazł się na siodle.

Dziki zwierzę starało się poderwać głowę, czemu wytok odrazu, następnie, zrobiwszy wolnę w miejscu prawie, skoczyło w bok jak szalone, rzucając zadem i stając dęba na przemiany. Daremne to jednak były usiłowania — inżynier dosiedział na siodle. Lekko naprzód pochylony, trzymając oburącz zebrane cugle, naciskał wędzidło ku dołowi. Delikatnie zbudowana Almée'a, znajdowała się jak w kleszczach pod tym odważnym człowiekiem:—poczula instynktownie, że mu nie poradzi. W takich razach używają jeszcze konie jednego wybiegu, dla pozbycia się żywego na sobie ciężaru: rzucają się na ziemię i tarzają po niej—prawie nigdy jednak nie czynią tego zwierzęta rasowe; zresztą i na to są sposoby, jeżeli jeździec nie traci przytomności i umie w porę poderwać cugle, koń rzucić się o ziemię nie może.

Szalona gniewem klacz użyła jeszcze jednego wybiegu—stała dęba prawie prostopadle i zawahała się na zadnich nogach—ale uderzenie główką spicruty między uszy, zmusiło ją upaść naprzód.

Był to ostatni wysiłek pięknego zwierzęcia — zgięło kark i stanęło spokojnie, drżąc na całym ciele. Wtedy Kruszewski pogłaskał je, poklepał po szyi i kierując lekko na lewo, podjechał ku kolumnadzie podjazdowej.

Zeskoczył na ziemię, oddał cugle poturbowanemu trochę stajennemu i przystąpiwszy do bułanej, pomógł Lili umieścić się na siodle i wsunąć nóżkę w strzemię.

Usługę przyjęła w milczeniu:—Michasia tylko zrobiła uwagę: że już zsiadać nie należało.

— Przeciwnie, pani, koń taki powinien się przyzwyczaić od razu do posłuszeństwa.

W samej rzeczy, gdy przystąpił ponownie, Almée'a, strzygąc uszami, spojrzała nań, powąchała ramię lewe, wciągając gwałtownie powietrze, cała pianą okryta, lecz nie usunęła się, gdy wkładał nogę w strzemię.

Kilka minut po czwartej wyjechali na drogę za Górówkę.

Powóz sunął przodem; o kilkanaście kroków Lila i Kruszewski.

Almée'a, miała kłus prześliczny—rączy a tak lekki, że inżynier mógł jechać równo z jej ruchami, wedle prawideł wojskowej jazdy.

— Powinszować panu zręczności i tych muskułów ze stali! rzekła panna Walter, równając z nim bułaną. Patrząc na pańskie drobne ręce, nikt nie przypuszczałby takiej siły.

Uśmiechnął się.

— Ćwiczenia w młodości i służba w wojsku — oto cała tajemnica, a żadna zasługa — odpowiedział — ale i pani prześlicznie jeździ...

— Znów pochlebstwo?

— Oddaje resztę z ofiarowanej mi monety tylko — przytem serdecznie dziękuję za okazaną obawę.. byłem już gotów rzec się Almée'i... byłaś pani tak blada...

Zarumieniła się teraz.

— Nie jestem bojaźliwą wcale; klacz ta jednak trwogą mię przejmowała: pokaleczyła mi masztalerza, wybornego zresztą jeźdźca a żebyś pan był widział, jakiego dała szczupaka z panem Kawskim i jakiego wyniósł z owój przygody guza na czole...

— Czy mu pani także odradzała dosiadać to zwierzę?

— Nie, była krótka odpowiedź.

Skreślił ku lasowi.

— Czy przez Kawin pojedziemy? pytała, wychylając się z powozu Firlecka.

— Naturalnie! odparła Lila. Rada będę, że nas z okien dworu zobaczą — p. Michał zdziwisię, widząc, jak świetnie kłusuje Almée'a.

— Czy wolno spytać gdzie ją pani nabyła?

— Nabyto ją dla mnie za osmnaście tysięcy franków, podczas licytacji koni po zmarłym lordzie Byronie w hrabstwie Norfolk w Anglii.

— Warta dwa razy tyle — dla tego choćby, że taka rączka. Sądzę że możnaby ją ułożyć do wyścigu.

— Myślał już o tém stary Kawski — odmówiłam jednak, bo nie lubię tego sportu a powtóre, choć skąpą nie jestem, nie widzę powodu tracić takiej kwoty.

— Zapewne nabyłyby ją od pani...

— Tak, ale pieniędzy nigdybym nie odebrała. Dziś, inaczej nią rozporządziłam.

Nie pytał jak, — tylko dając klaczy ostrogę, wyprzedził na chwilę pannę Walter. aby odczepić parasolkę Michasi, która zawadziła się o wierzch przedniego nakrycia otwartego landa, w którym jechała z ojcem i z ciotką Lili.

Droga — za lasem, przechodziła tuż prawie przed dworem Kawińskim, który okoliczni właścianie pałacem nazywali, choć wyglądał raczej na browar lub gorzelnię, na budynek mieszkalny przerobioną.

Rodzina Jaśnie państwa w pełnym komplecie, piła kawę na balkonie.

Wymieniono ukłony; — Lili jednak, w wyborném usposobieniu nie mogła odmówić sobie małej złośliwostki, pod adresem swego żarliwego wielbiciela.

Dotykając lekko spicrutą swego konia; popędziła ku woźnicy.

— Skręcisz przez drogę przed domem, Stanisławie — obie bramy są otwarte.

Zatrzymano się na chwilę przed balkonem. Na uprzejme zaprosiny, panna Walter uniewinniła się późną porą i odległością Walterówki: wracać mieli o księżycu. nocą — a nuż to światło nie dopisze.

P. Michał zszedł na dół i przepraszać jął gorąco Lilę za swe niepowodzenie przy bufecie, udając przytem, że nie widzi inżyniera; za to Joanka, oparta o poręcz balkonu, wszczeła już z nim rozmowę.

— Widzi pan, co się stało z Almée'ą, która pana omal nie zaabiła! rzekła nagle panna Walter. Dosiadł ją dziś, przed chwilą p. Kruszewski.

— Musiała być w wyjątkowo łagodnym usposobieniu... odpowiedział niechętnie.

— Ale gdzież tam! rzucała się szalenie — byliśmy wszyscy w śmiertelnej trwodze, ale p. inżynier jest sportmenem najczystszej wody: z prawdziwym angielskim spokojem dosiedział na siodło i pokonał — sądzę na zawsze, upór i narowy tej klaczy.

— Państwo na długo jadą do Walterówki? spytał Kawski, pomijając mowę Lili milczeniem.

— Jeżeli noc będzie ciemna lub moi goście znużeni — wrócimy jutro dopiero.

— Nie wiedziałem, że dworek tyle miejsca posiada.

— Trzy gościnne pokoje prócz moich i pokoju cioci.

Skinęła mu główką i pozdrawiając rodziców na balkonie, dała znak odjazdu.

— Żałuję, że nie zaprosiłam Joanki! było jeszcze miejsce w powozie — rzekła do inżyniera, gdy na drogę wyjechali.

— Sądzę, że nieobecność panny Kawskiej, tak bardzo znów uczuć się nam nie da — odparł z uśmiechem obojętnym.

— Nawet panu?

Mówili oboje tonem swobodnym, jak ludzie rozmawiający dla zabicia czasu, nic więcej.

— Mnie najmniej pani.

— Wczoraj jednak byłś pan tak widocznie nią zajęty.

— Pozwól się, Pani, wywieźć z błędu. Panna Kawska lubi towarzystwo mężkie i rozmowę wesołą, lekką; zapewne mój sposób wyrażania się zrobił na nią dobre wrażenie; a że podobno i tańczy nie źle przytem... wcale jednak nie znajduję jęj zabawną...

— Dla czego? Jest bardzo piękna.

— Przyznaję ohotnie, ale, choćbym narazić się miał pani, jako jęj przyjaciółce, wyznam otwarcie, że niezbyt dodatnio się mi przedstawiła.

— Ona jest zachwycona; powiedziała to mnie saméj, że nigdy jeszcze równie miłego w towarzystwie nie spotkała człowieka.

— Zbytek łaski; starałem się tylko być uprzejmym z przyjaciółką mej zwierzchniczki.

— Najpierw porozumiejmy się: koleżanką z pensjonatu tylko—odparła z naciskiem; następnie, cóż tu ma do rzeczy posada przez pana zajmowana?

— Wiele niestety.

— Czy dałam panu uczuć moję władzę? pytała smutno prawie.

— Oh, nie — przepraszam, źle się wyraziłem. Widzi pani dotąd byłem niezależnym, lub prawie jak niezależnym w życiu...

— Więc panu to stanowisko w Górówce jest ciężarem?

— Bynajmniej—tylko jeszcze nie zrzuciłem zupełnie dawnéj skóry.

— I nie zrzucaj pan, proszę... wszakże; o ile mogę, staram się, aby jarzmo moje lekkie było... mówiła z dziwną łagodnością w głosie. Joanka, tak myślę przynajmniej, zaczyna mieć dla pana wiele życzliwości,—to mimo wad dobra dziewczyna...

— Egoistka, bez serca, pragnąca wydać się za mąż co prędzej... taką ją wychowali i taką zostanie.

— A Michasia?

— Czy pani chce mię tak badać co do wszystkich pań tu poznanych? Dla czego?

— Jako zwierzchniczce—obowiązany pan jesteś odpowiadać szczerze i nie pytać o cel badania, odparła wesoło.

— Z panną Michaliną zawarliśmy wczoraj związek przyjaźni szczeréj.

— Tak prędko?

— Wszakże niezakochamy się w sobie—to już postanawione; pozostaje nam tedy to ośmieszzone uczucie, uznane za niemożliwe w naszych latach.

— I ja nie bardzo w nie wierzę, przynajmniej w trwałość. Skończy się dziś czy jutro...

— Obojętnością?

— Miłością lub nienawiścią.

— Myśli pani?

— Michasia, mimo świetuój swéj polszczyzny i przywiązania istotnego do tego kraju — w duszy pozostała werterowską Niemką,—więcej powiem, małym ideałem wedle Uhlanda lub Le-nau'a—nie myśląc o niebezpieczeństwie, wraz z tą przyjaźnią oddać panu gotowa całe swe życie.

— Wątpię bardzo.

— A gdy odda daremnie? szkodaby jéj było; ma zacnego ojca, mego opiekuna...

— Nie obawiaj się, pani. Żartując, zaczynamy rozmowę serio. Czy pani podejrzewasz mnie o chęć igraszki?

— To nie, ale ją, że czuje już dziś więcej niż przyjaźń dla pana.

— Będę się miał na baczości.

— Jeszcze jedno, panie; uważaj za dziwactwo, za nietakt nawet moje obecne pytanie—lecz odpowiedz szczerze.

— Słucham z uszanowaniem.

— A ja?

— Pani? Wedle mego zdania, choć mam zaszczyt znać cię mało—jesteś sympatyczną osobką, pełną serca i rozsądku — szlachetną, uczynną...

— Nie—nie—bronila się pomieszana.

— Godną lepszego losu niż ten. jaki dają miliony. Będą one długo stać ci na zawadzie—zagradzać drogę do szczęścia...

— Jak to pan rozumie—wytłómacz jaśniej, proszę—szepnęła blada teraz i poważna.

— Że widmo stosów złota cię już może teraz prześladować — że długo nie uwierzysz, aby można było polubić cię dla ciebie tylko, nie mając na widoku egoistycznego celu: owdzięcia twém wielkiém mieniem.

— Na to już nie ma rady! była odpowiedź Lili.

Dojeżdżali do Walterówki.

V.

Stanisław Grabiński do Ignacego Kruszewskiego.

Paryż, 10 grudnia 1883 r.

Kochany!

List twój nie zastał nas, spędziliśmy trzy miesiące u chorego ojca méj pani, a odzwrotna, mimo pozostawionego adresu i regularnego wysyłania poczty — tego właśnie wysłać nie raczyła. Dla czego? to tajemnica téj brzydkiej sowy—usłyszała za to burę i ominie ją podarek noworoczny. I tak od kwietnia zmieniamy mieszkanie,—nic mi więc na owéj megierze nie zależy.

Nie wyobrazisz sobie z jaką radością czytaliśmy twoje sprawozdanie z pobytu w Polsce t. j. drugą jego część o Górówce. Istotnie, zacna to dziewczyna ta panna Lili, piękne ma imię bardzo, i choć przyznajesz, że nieładna, opisujesz ją tak, jakbyś był w wigilią zakochania się w téj „brzydkiej“ dziewczynie.

„Brzydka jest—ale ma płeć zdumiewająco białą i delikatną; brzydka — ale ma pyszne popielate włosy i błękitne oczy, w które patrząc, zapomina się o jéj brzydocie; brzydka jest, ale ma arystokratyczne ruchy, zębki oslepiającej białości i budowę ciała tak

piękną, że może uchodzić za arcydzieło przyrody. Przy tém, ma przepiękne nóżki i ręce—wszelakie przymioty serca i gruntowne, staranne wykształcenie.

To wszystko opravione w kilka milionów rubli, co i u nas stanowi książącą niemal fortunę.

Gdybyśmy pokazali i przełożyli na język polski list twój hrabinie Klarze, wściekłaby się chyba (daruj szorstkie wyrażenie) z zazdrości. Gwałtowna i namiętna, lekceważąca wszystko i wszystkich, prócz pewnego znanego nam obu dobrze siostrzeńca pułkownika, swego ongi opiekuna—zrobiłaby ci o tyle romantyczną, o ile burzliwą scenę, — kto wie nawet, czyby się nie wybrała tam w odwiedzinę.

Żart żartem jednak, podoba mi się z opisu twego do tego stopnia ta dzielna zwierzchniczka twoja, że aż Marynia grozi mi palcem na swym rozdartym nosku, — uściskałbym ją, gdyby tylko chciała, choćby za szlachetne podanie ci ręki pomocy.

Jestem pewny t. j. mam przeczucie (znów głupie wyrażenie), że dziś lub jutro brzydka panna Lili zakocha się w tobie po uszy, do zgłupienia. tak jak Klara, którą doprowadziłeś —nie — raczej którą sprowadziłeś z drogi obowiązku, że zapomniała świeżo pochowanego starego męża, nim jeszcze wapno wyschło na spojejniach jego grobowca.

Ty jednak kochany nasz, weź już raz rozbrat z życiem motylém—przestań być wysysaną różą--i powiedz wręcz, przy twém szczęściu do płci niezmiernie słabej a pięknej i lubiącej nadmierne nasze—powiedz wręcz, jak w stariej śpiewce: jak cię kocham, jak cię lubię—nie dam buzi aż po ślubie...

Wielkie panie, siedzące na milionach, miewają zachcianki — nie dajże się ciągle kosztować kochanku...

W téj chwili Marynia, od kilku chwil już czytająca ten list przez ramię moje, trąca mię, sprowadza olbrzymiego żyda na papierze i robi uwagę, że piszę nieskromnie i obrażam twoją dobrodziejkę. Może ma słuszość—przechodzę tedy do nowin ztąd.

Najpierw, co do nas: Marynia obiecuje mi (znów żyd z jęj winy) coś... czwartego; — ja zaś postanawiam, że ponieważ panna Walter będzie na wiosnę w Paryżu—tak pisała do twego wuja — to i ty przyjedź i będziecie oboje rodzicami chrzestnymi, nim później odrzucicie ten przymiotnik zbytacyjny.

To coś czwartego, Marynia obiecuje mi na morzu (żyd trzeci najmniejszy)—co zupełnie zgadza się z mojém obliczeniem... przyjeżdżaj tedy, ale z pewnością.

Nowina druga: ojciec mojej żony wygrał dwieście tysięcy fr. na hiszpańskiej loteryi na ubogich; jaka to porządna loterya, prawda, he? Nareszcie, mój najstarszy uczy się już czytać. a śred-

nia, Żanetka, skończywszy lat pięć, zapragnęła na wiązanie... turniury. Obiecujące dziewczątko.

Cieszymy się już nadzieją obaczenia cię, przyjacielu.—Jakby ci czynności w zakładzie nie dozwoliły na wiosnę — to choć w lecie, wtedy jednak prosto do Pau, gdzie i pułkownik się wybiera. Uproszę Marynię, że poczeka — naturalnie nie z urodzeniem tego czegoś czwartego, ale z chrztem tylko.

Phidyas panny Walter także mi się niezmiernie podoba, — żałuję, że go nie znam osobiście. A propos, radzę, ucz go grać, kiedy są takie zdolności: piękne ma imię — brzmiące — grałby może lepiej niż n a s i... sympatyczni, n a s i... boscy, n a s i... dzielni i t. p. c'est uue idée comme une autre! n'est-ce pas vrai?

Żonusia utrzymuje, że list ten wyszedł z pod pióra narwańca i że go podrzeć należy — ja obstaję przy mojem, kładę w kopertę i posyłam do Górówki, razem z tysiącem uściśnień od nas obojga i od dzieci.

Stanisław.

Co rano, około dziewiątej, gdy Lila przychodziła do swego gabinetu, sekretarz rozcinał koperty nadesłanych listów, depeesz okólników i t. p. i podawał do przeglądania zwierzchnicze; poprzednio wszystkie posyłki, przynoszone do zakładów, gatunkowano starannie.

Owego dnia, gdy nadszedł list od Grabińskiego — dzięki nieuwadze woźnego, wpadł w ręce sekretarza i został wraz z innymi, podany Lili do przejrzenia.

Było to wyraźne, poprawne pismo na dużym arkusiku welinu. — Pierwsze ustępy zdziwiły ją, dostrzegłszy jednak kilkakrotnie powtórzone swe imię, uległa jednej z siedmiu cnót kobiecych: ciekawości i zaczęła czytać dalej.

Czytając, czuła, że popełnia występki, potępiany przez etykę społeczną, — że wdziera się samowolnie w życie człowieka obcego jój — biedaka, który zapukał do jój drzwi, prosząc o pracę i chleb. Czuła to dobrze, lecz przemogła w niej chęć dowiedzenia się, co o niej pisano.

List wsunęła napowrót w kopertę, odprawiła sekretarza i zaczęła namyślać się, co począć, aby naprawić nieuwagę kantorzysty i własną niedelikatność.

Żałowała niezmiernie tego, co się stało — bo kobiety mają jeszcze jedną kardynalną cnotę: żalują zawsze i szczerze nawet... po niewczasie. Nawet gdy popełniają grzeszki, na które kodeks karny patrzy krzywo, żalują serdecznie. Stając się występniemi z wiedzą co czynią, obiecują pokutować potem. Nie mogą inaczej postąpić! powiada każda z nich, ale, będą żałować. Gdyby nie grzeszyć wcale, do czegoż byłby sakrament pokuty i błoga przyjemność pojednania się z Bogiem?

Jest to rozumowanie nie gorsze, ni lepsze od innych: niemniej przeto coś uczynić należało. Zawołać inżyniera—uniewinnić się z pomyłki oficjalisty, zapewnić, że nie czytała listu było niemożliwe—jako człowiek bowiem wykształcony, znający kobiety, nie byłby uwierzył uniewinnieniu. Niepodobna też było powiedzieć prawdy—bo jakież powziąłby o niedyskretnej wyobrażenie?

Lila miała wielki wyrzut sumienia. Prawda, że w liście nie było nic ważnego, nic zgoła... ale zawsze. Czowała nawet pewne upokorzenie w oczach tego człowieka, który nie miał jej milionów i stanowiska, a zapewne nie ośmieliłby się postąpić jak ona—przezczytać, co do niej pisano.

Obracała kopertę w rękę, patrząc czy się zrecznie skleić nie da. Ah, z jakąż ochotą poświęciłaby znaczną nawet kwotę, aby list ten nie był dostał się do jej gabinetu;—leżał teraz przed nią otwarty, wydawał się czems żywym, zamordowanym przed chwilą. Kruszewski, widocznie w swym liście wyrażał się o niej pochlebnie bardzo, gorąco, z zapalem — jak człowiek, czujący wdzięczność i sympatyę;—teraz nie ma co mówić, ładnie się mu odplaciła. Dotąd życie jej było czyste jak kryształ, ciche, spokojne, przeplatane dobrymi uczynkami—uwielbiali ją wszyscy — miała może zazdrośnych, ale—ani jednego wroga. Pierwszy raz teraz czuła, że mimo tego słońca, cień jakiś błądzi jej nad czołem—widziała skazę na tym przejrzystym kryształe.

Od chwili przybycia do zakładu inżyniera dziwny niepokój ogarniał ją, mniej miała swobody; pierwój krążyła po salach biura, obdzielała uśmiechy, uprzejme słowa — w zakładach wywoływała zapal pracowników, którzy, dzięki jej ojcu i jej samej, mieli po dwudziestu pięciu latach pracy—chleb do śmierci zapewniony;—obecnie krepować się musiała, z obawy, aby ją o wyjątkowe sympatyę dla dorodnego mężczyzny nie posadzono. Eisenherzhut chwalił go, chwalił Hube i inni—chwalili koledzy. Po co tu przybył? czy, aby zamącić spokój dotychczasowy? Zawierał przymierze przyjaźni z Michasią—przewrócił w głowie Joance, żona naczelnika kancelaryi o nim mówiła tylko, nawet ciotka była dlań bardzo życzliwą — i wszystko to zdołał uczynić w trzech miesiącach pobytu w Górówce. Teraz jeszcze—ów list fatalny!. Gdyby inżynier nie zajmował posady w jej zakładach, nie byłby pisał o niej ani otrzymywał odpowiedzi—ciekawość nie byłaby wywołała niedelikatności. W tem wszystkim tedy była głównie wina Kruszewskiego. Nagle przyszła jej myśl, jak sądziła, załatwiająca całą sprawę. Przecież jej nie posadzi, gdy mu powie, że nie czytała listu—pozostałoby więc tylko kłamstwo—małe, nic nie znaczące, bo czytała przecie. Kłamstwo takie było zwykłą nieprawdą, potoczną, życiową, nieszkodliwą. Pyta np. ktoś drugiej osoby: byłaś dziś na przechadzce? Nie byłam—jest odpowiedź —

choć osoba w mowie będąca przechadzała się godzinę. To samo z listem. Nie czytałam...

Tak, najlepiej postąpię, zwracając list; zatrzymanie go byłoby, pojmowała to dobrze, zwykłą kradzieżą. Wszakże na owładnięcie cudzą własnością jest jedna nazwa tylko: wszystko jedno czy chodzi o szpilkę czy o miliony. List odda tedy.

Pozostawała jeszcze kwestya, jak to uczynić należało?

Nie mogła wezwać inżyniera do gabinetu, bo sekretarz już oddalił się—a takie pomyłki na razie załatwiać należy. Gdyby poszła sama, to co innego. Zniosłaby przykrość posądzenia o zbytek uprzejmości, nic więcéj.

Wzięła list w rękę i bocznemi drzwiami przeszła do saloniku przy kasie, gdzie pracował Kruszewski — nie omieszkawszy jednak poprawić pierwéj włosów i rzucić oczami w lustro.

Powstał na jéj widok, zdziwiony odwiedzinami—gdyż pierwszy raz próg ten przestępowała—i ukłonił się z uszanowaniem.

— W téj chwili, razem z pocztą naszą doręczono tu i list dla pana — rzekła z powagą — p. Miński rozciął kopertę przez nieuwagę; szczęściem, że spojrzałam na adres, uderzyły mię francuskie znaczki pocztowe.

Podawała mu pismo.

— Ah, to od przyjaciela z lat dziecinnych jeszcze, który ożenił się z moją bliską kuzynką... dziękuję pani.

Ochłonęła z trwogi, która ją — wchodzącą tutaj ogarniała.

— Pana Eisenherzhuta nie ma jeszcze? rzekła, aby tylko coś powiedzieć.

— Dopiero pół do dziesiątej... kasę otwiera znacznie później.

— Ale, à propos, dorzuciła przeglądając Figaro, które w chwili jéj wejścia odłożył był inżynier;—Michasiajeździ wybornie konno, dziś udajemy się do Walterówki, będzie połów ryb pod lodem, czy chcesz nam pan towarzyszyć?

— Bardzo chętnie—a kiedy pani rozkaże?

— Zaraz po śniadaniu. W południe przyjdź pan do nas. Jeżeli mróz nie będzie duży, wrócimy o świetle księżycy — jeżeli termometr opadnie — wrócimy saniami. Są tam moje własne i trójka wybornych wiackich koni.

Pokręciła się jeszcze chwilę i wyszła.

Gdy Kruszewski przeczytał list Stanisława, zamyslił się nie nad jego treścią, lecz łamał sobie głowę nad tém, czy Lila czytała go, czy nie.

Wiedział, że kobiety nic sobie w ogóle nie robią z takich rzeczy, że pełne nawet zasad, ulegają pokusom—tu jednak, myślał, musiałyby grać rolę prosta ciekawość tylko, bo innego powodu przecie nie ma. Ale co przyszło do głowy Grabińskiemu, podéjrzywać go o rodzące się żywsze uczucie dla Lili? Mimo względnej brzydoty, podobała mu się, to prawda;—podziwiał jéj królewskie

kształty, chwyciła go za serce dobroć i łagodne usposobienie—ale od sympatyj, wdzięczności i oddania hołdu poprawnej budowie ciała kobiety do miłości jeszcze daleko.

Kruszewski, obdarzony wieloma przymiotami a głównie gładką buzią i fizyczną siłą, co i przez najidealniejsze kobiety niebysza pogardzane, psuty był przez nie życie całe. Nieraz wystarczała mu chwila rozmowy dla zaskarżenia względów—kilka tygodni znajomości dla wywołania gwałtownej namiętności. Używał też i nadużywał swego daru podobania się; trzymając się przysłowia „je prends mon bien ou je le trouve“, brał to dobro na prawo i na lewo, na wszystkich niemal szczeblach społecznej drabiny. Rys ten usposobienia inżyniera rzucał cień pewien na w ogóle świetlaną jego postać, robił mu w kole mężów, ojców i braciokochanych dorywczo piękności nieprzejednanych wrogów, którzy mu się nieraz brzydką intrygą odplacali.

Poza tém, pracowity był, prawy, sumienny—niezdolny krzywdy wyrządzić nikomu, uczynny w zakresie swych stosunków, dobry kolega, gotów nieść pomoc i nie skąpić ofiar.

W stosunkach z kobietami—nigdy nie obiecywał więcej niż dać mógł w istocie—nie nadużywał dobrej wiary, nie ludził i nie ukazywał nic w przyszłości. Dla tego też miał zupełnie spokojne sumienie. Dotąd w ulotnych związkach szukał przyjemności dla przyjemności, nie narzucając się i nie nagabując—nierozważnie ostrzegając nawet z góry, że miłostki znikomą są rzeczą, podobne do ślicznych wiosennych listków, które jesień żółci i z drzew na zawsze strąca, trwają nieraz krócej jeszcze niż te listki wiosenne.

W Górówce, mimo, że pierwsza młodość już niegła, tak samo jak za granicą jednał sobie życzliwość płci nadobnej, aż do gładkiej garderobianki panny Walter i masywnej saksonki Fanny, na usługach Michasi, które najszcześniejsze były gdy mogły zanieść mu gazety, bilecik z zaprosinami, lub jakie łakocie, które mu Firlecka nieraz posyłała.

Wiedział doskonale, że Joanka miała mocne postanowienie ofiarowania mu swój rączki, że Michasię od miłości dzielił krok tylko, który i on mógł uczynić odrazu, że naczelnikowa, ładna szatynka, rosła jak lania i układna jak młoda koteczka, chętnieby, mimo, że matka dwójga dzieci, zapomniała dla niego czasem swych obowiązków, że nareszcie i Lila wyróżniała go od dnia owego balu na jej urodziny dość widocznie. Jeżeli jednak lekceważył te wszystkie sympatyjki, które umilały mu tylko życie, czyniły mniej nudnymi chwile, spędzane w biurze, życzliwość panny Walter była dlań wyjątkowo pożądaną.

W życiu, gdyby chciał był z uczuć kochających go kobiet robić proceder: jak tyłu innych, wyzyskiwać materialnie szal, który ogarniał niektóre, byłby dziś na inném stanowisku, panem nawet pokąźnego mienia. Ale nie dbał o pieniądze, o bogaty ożenek

i t. p. Dla tego też, prócz drobnych, bezwartościowych niemal npominków, nie miał innych wspomnień z zagranicy. Szpilka do krawatu, dar jakiś migrenowatęj *lady*, papierośnica, pochodząca z białych rączek córki szwedzkiego posła w Paryżu, zakładka do książki od księżnej Doria di Castello, druga od jakiśś śpiewaczki z Medyolanu, spinki kameowe z Neapolu i naiwny dar biednej Transteweranki: wiązanke myszotisów, wdzięcznych kwiatów, popolicie zwanych mysiem uszkiem (*oreille-de-souris*). Chował je zasuszone starannie.

Hrabina Klara, w której żyłach, mimo nieznamośności polskiego języka, płynęła krew sarmacka, straciła względy inżyniera jednem nietaktownem postąpieniem.

Kruszewski, przyszedłszy raz do jej hotelu, zastał ją w niezwykle różowem usposobieniu.

— Wczorajsze wyścigi przyniosły mi kolosalną kwotę z zakładów! rzekła, kręcąc cygaretkę. Wyobraż sobie, wygrałam czterdzieści tysięcy fr., trzymając przeciw całej Anglii za Ledą księcia de Mouchy.

— Winszuję, odpowiedział, siadając przy niej.

— Zapłacono mi nowiuteńkiemi tysiącfrankówkami!

Odsuwając szufladkę biurka, wyjęła paczkę biletów porządkiem numerowanych.

— Prawda, że śliczne? dodała jeszcze.

— Istotnie.

Wzięła mały pugilaresik i wkładając weń dwadzieścia sztuk tych pieniędzy...

— Wierzech haftowałam sama dla ciebie; zakładając się, myślałam o tobie; więc „part a deux“, Ignasiu!

Odmówił, hamując gniew i oburzenie. Była to ostatnia jego wizyta w pałacyku czarującej wdówki.

Daremnie potem Klara, znając stosunki inżyniera, złożyła wizytę Grabińskiemu, chcąc wywołać zbliżenie,—próżno wzięła na powiernicę piękną Marynię, która ujęta wdziękiem i ogromu mieniem wdowy, chętnie byłaby ją z dorodnym swym kuzynkiem wyswatała,—Kruszewski zerwał stanowczo, oświadczając, że stracił serce dla kobiety, co śmiała przypuszczać, że przyjąłby pieniądze za swe pieczęty.

Rzecz arcy-dziwna: człowiek, który spędził nie mało chwil w buduarach wielkich pań, któremu na tém polu szczęście samo wpadało w ręce, dotąd nie kochał jeszcze. Oddany zadowoleniu swych artystycznych skłonności—nie spotkał dotąd kobiety, dla której żywić zabiłoby mu serce, w której radby widział był towarzyszke stałą swego życia.

*

*

*

Z uderzeniem dwunastej rano, udał się do pałacyku, gdzie go przyjęła pani Firlecka ze słodkim swym uśmiechem na ustach, grożąc mu palcem i czyniąc łagodne wymówki, że tak rzadko przychodzi.

— Ile razy tylko jestem wezwany! odpowiedział, szukając oczami Lili.

— Więc aż wzywać pana potrzeba? Teraz są długie zimowe wieczory, spędzamy je we troje t. j. ja, Lila i Michasia, czasem zbiorą się księża i p. Hube na wista—mnie biorą na *czwartego* a dziewczęta poziewają tym czasem.

— Obawiam się być nie pożądanym.

— Powiedz pan raczej: chcę, aby mnie pożądanym— prawda?

— Wieczorami sam pracuję....

— Jednak błędzisz nieraz do północy po parku i bałamucisz

Phidyasa...

Uśmiechnął się.

— Kiedy więc panie przyjdź mi tu pozwolą? pytał wesoło.

— Dziś już pan zostajesz z nami; jutro Lila ma wieczorowy wykład w szkółce rzemieśniczej,—po jutrze tedy czekamy z herbatą, podają ją zawsze o dziewiątej.

Uklonił się—weszła Lila w jasno popielatą amazoneczkę z szeroką niebieską szarfą, uwydatniającą jej śliczne, pełne kształty.

Tuż za nią Michasia, trzymając w ręku zawadyacki węgierski kapelusik i wykładane białe rękawiczki.

Zasiedli do stołu, śmiejąc się i żartując.

— Dawno już nie widziałem tu p. Michała Kawskiego—rzekł Kruszewski, podając Lili i Michasi owoce przy deserze.

— Bywa teraz bardzo rzadko! odparła pani Firlecka. Od czasu owego turnieju kieliszkowego, stracił zupełnie minę...

— Ale i pan byłeś wszystkiego dwa razy tylko w Kawinie! wtrąciła Lila.

— Ja—to co innego. Uważałem, że nie są mi tam zbyt radzi, a szczególnie pani Kawaska.

— No, przecie i my nie przepadałismy za ich wizytami, ale żyć z kimś potrzeba! ciągnęła ciotka.

— Pojedziesz pan z nami w niedzielę? spytała p. Walter.

— Chyba tylko na wyraźne pani życzenie—odpowiedział obojętnie.

— Joanka panu bardzo rada! dorzuciła Michasia.

— Mimo to, rzekł z naciskiem—byłbym pani bardzo obojętny, mówił dalej, zwracając się do swjej przełożonej, gdybyś pani nie wymagała tej ofiary odemnie.

— Oh, ofiara! spędzić kilka godzin z piękną dziewczyną.

— Pięknych dziewcząt bardzo wiele jest i nie mają ani takich rodziców, ani takich braci—mówił niechętnie.

Tentent konia na podwórzu zwrócił ich uwagę.

Lila zadzwoniła.

Kto przyjechał? podać czarną kawę i posłać po konie dla nas, rzekła do służącego.

Właśnie panna Joanna zsiada ze swego kasztanka—odparł, postępując do okna.

Lekki cień niezadowolenia przebiegł po twarzy panny Walter i po wyjściu lokaja:

— Zawsze musi przybyć nie w porę i pomieścić zabawę...

Joanka, dowiedziawszy się, że Kruszewski jest z paniami w jadalni, weszła z rozpromienioną twarzą.

— Wyobraź sobie, Lilo, rzekła po powitaniu—dzis się papa znakomicie rozporządził z obiadem; będą: rakowa zupa i baranie kotlety, potem ozory—trzy dania, których jak wiesz, nietylko sama nie znoszę, ale i patrzeć nie mogę jak jedzą inni... zapraszam się tedy do ciebie... Ale co widzę, wybieracie się na przejażdżkę? Oh, ten oryginalny sposób jedzenia w amazonkach!...

Wypowiedziała to jednym tchem... strzelając oczami za inżynierem, który, otrzymawszy pozwolenie zapalenia cygara, przycinał je starannie, udając szczególne zajęcie się tą czynnością.

Lila wysłuchiwała cierpliwie téj gadaniny i zwracając się do kredencera:

— Czy już obiad zarządzony? spytała.

— Nie jeszcze, proszę pani.

— To zarządz jak lubisz Joanko; gdy wrócimy z lasów, będziemy mieli apetyt nie lada i zjemy nawet banie z mlekiem i kluski kartoflane.

— Pojechałabym chętnie z wami! rzekła, strzepując pył z kapelusika.

— To niemożliwe! odparła uprzejmie, lecz stanowczo panna Walter; wywożą drzewo z lasu o milę za folwarkiem—twój koń nie wytrzymałby jazdy z naszymi... zresztą, nic to zajmującego. Dotrzymasz tymczasem towarzystwa cioci,..

— Zagrasz z nią w mariasza!... dodała złośliwie Michasia.

Nie było rady.

— Pan zawsze jeździ na Almée'i? spytała Kruszewskiego.

— Ja myślę! odparła Lila; pan inżynier raczył ją przyjąć odemnie.

Kruszewski ani drgnął, żaden muskuł jego twarzy nie poruszył się—nie odmalowało się na niej zdziwienie, choć i Firlecka i Michasia oniemiały na razie.

— Wspaniały dar! rzekła Joanka, hamując się, gdyż zrozumiała, że drażniono ją, że przyszła nie w porę.

— Almée'a i tak nie dozwalała dotrzeć się nikomu—byłaby się zmarnowała w stajni.

— Papa chciał ją nabyć przecie?

— Tak, ale ja nie lubię sportu i nie odstępuję moich koni—była sucha odpowiedź.

Pożegnali się.

Gdy już byli na siodłach:

— Chciałam panu Almée'ę, którą tak świetnie ułaskawiłeś, ofiarować na zbliżającą się gwiazdkę; kiedy jednak przed czasem się wymówiłam, chciaj ją przyjąć tak szczerze, jak ci ją daję...

— Nie zasłużyłem na tyle dobroci ..

— Dobrze tedy: niezasłużony, ale szczęśliwy, prawda?... mówiła z uśmiechem. Tylko, że koń ten pewien wydatek przyniesie: dwadzieścia rubli miesięcznie za żywienie, usługę i pomieszczenie. Liczę taniej, bo przy moich...

— Słuszną jest rzeczą, abym moje własność sam utrzymywał!

Jakich to szaleństw nie popełniają kobiety, aby dokuczyć przyjaciółkom! pomyślał, puszcżając się z damami galopem — ręczę, że gdyby nie przybycie panny Kawskiej, na myślby jej coś podobnego nie przyszło.

— Rodowód Almée'i jest w moim księgozbiornie, każe go wyszukać jutro... mówiła Lila, szczęśliwa, że tak boleśnie zadraśnęła pannę Kawską.

Gdy przybyli do folwarku i ludzie, oczekujący tylko na jej przyjazd, ruszyli nad staw z wózkim obładowanym siecią — zawołać kazała kucharza i rozporządziła obiad na pięć osób.

— Będiesz więc miała gości, Lilo? pytała Michasia.

— Rządca, jak zwykle i ojciec twój moja mała.

— Ojciec? przecież w Górówce nic mu nie mówiłaś?

— Przypomniało mi się w drodze, że przepada za zupełnie świeżemi rybkami, prosto z wody... pojedzie Józef stajenny, a pan Hube przybędzie wolancikiem i zanocuje.

— Więc i my chyba! wtrącił Kruszewski.

— Naturalnie — odrzekła panna Walter. Po dobrym obiedzie najprzyjemniejszy wypoczynek — złożymy preferansa, a Michasia nam tymczasem zagra co i zaśpiewa...

Klasnęła w rączki panna Hube.

— A to niezły figiel dla Joanki! ale czém się usprawiedliwiz przed nią, Lilo?

— Huraganem, śnieżną zawieruchą!

— Spodziewa się pani burzy?

— Ja nie; ale zapowiada ją wyborny barometr w mojej galerii; nie omieszkałam poradzić się tój wyroczeni.

— Ależ to znaczy zupełne zerwanie! szepnęła Michasia, po chwili zastanowienia.

— Tego się nieobawiam! pogniewa się i przeprosi za dni parę.

Pojechali patrzyć na ciekawy polów przez przereble.

(*Ciąg dalszy nast.*)

Robotnicy w Europie.^{*)}

— 03 —

(Les classes ouvrières en Europe.—Etudes sur leurs situation matérielle et morale
Par René-Lavollée. 3-me. édit. Paris, 1888.

D) Rosya.

Przemysł, rolnictwo i statystyka.

Najwydatniejszym znamieniem przemysłu ruskiego jest to, co by, podług p. R. Lavollée, można nazwać rozmaitością w jedności; jest to bowiem pod pewnym względem charakterystyka saméj Rosyi. W tém olbrzymiem państwie, wszystko się dotyka a nie zlewa, wszystko się trzyma oddzielnie a nie upodobnia. Rosyi tymczasem nie brak jedności. Jest nią rząd; dla tego, mówiąc o przemyśle, widzimy, że jest on organizowany przez prawo i przez obyczaje, na podstawie stowarzyszeń i w duchu patryarchalnym. Prawodawstwo przemysłowe, bardzo obszerne, chociaż dość pomięsane, hojne w rozporządzenia ścieśniające. Nie pozwala na budowę fabryki lub otwarcie zakładu, jeśli władza administracyjna nie zatwierdziła takiego przedsiębiorstwa, nie uznaje wolności pracy odosobnionej od związków cechowych i nie przyjmuje równości między robotnikiem i pracodawcą. Co do przedsiębiorców prywatnych, nie mogą oni otwierać fabryk, bez zezwolenia gubernatora, który nie zatwierdzi otwarcia, jeśli przedsiębiorca nie posiada patentu.

Jeśli przemysłowcy są ścieśnieni przez misterną siatkę administracyjną, rzemieślnicy i robotnicy fabryczni także nie są swobodni. Z małym wyjątkiem, w całej Rosyi wykonywający rzemiosło lub inną jaką pracę, musi się zapisać na listę cechu. Zadanie tych cechów jest prawem oznaczone: członkowie ich mogą albo sami wykonywać pracę, lub też wynajmować się, wreszcie przedsiębiorać roboty z własnych materyałów, lub też nakoniec uczyć rzemiosła czeladników. We wszystkich miastach, gdzie istnieją cechy, wzbroniono zwać się majstrem rzemiosła, kto nie był czeladnikiem i nie posiada na to świadectwa.

*) Ciąg dalszy. Zob. zesz. na m. lipiec r. b.

Po za temi urzędowemi regulami, inicjatywa osobista i zmysł stowarzyszeń, tworzyły wszędzie, nawet w szeregach najniższych robotników, stowarzyszenia robotnicze t. zw. „artele“, tak liczne i kwitnące.

Związki między ludnością rękodzielniczą lub wprost roboczą, podejmujące się wykonania jakiegś pracy, pod kierunkiem jednego wybranego z pośród siebie, który o warunki tej pracy umowę zawiera i za nią odpowiada — nazywają się artelami. Wyraz „artel“ ma bardzo szerokie znaczenie. Partya cieśli, murarzy, bednarzy. wychodząca z miejsca swego pobytu w celach zarobkowych, organizuje między sobą artel. Artele, podejmujące prace przemysłowe, tudzież mające związek z przemysłem, nazywają się „przemysłowemi“. Następstwem koniecznym każdej działalności musi być spożycie; wszystkie przeto artele, które mają przed sobą to właśnie zadanie, do grupy „spożywczych“ zaliczyć należy, do tych dwóch głównych zajęć człowieka, które dadzą się uważać jedynie za posiłkujące wytwór i spożycie. Do najświeższych w tym kierunku artelów należą „kredytowe“ i „ubezpieczeń“, które w dawniejszych czasach nie mogły być praktykowane, z powodu nierozwiniętych jeszcze warunków ekonomicznych.

Nie mówiąc o przeszłości arteli, przedstawimy ich dzieje z ostatnich czasów.

Okres między rokiem 1860—1870 można uważać za najważniejszy pod względem objawiającego się wszędzie prądu ku rozpowszechnieniu stowarzyszeń artelowych. Zniesienie poddaństwa zaprowadziło gospodarstwa ruskie na zupełnie odmienne drogi. Właściciel i włościanin ujrzeli się nagle w zupełnej od siebie niezależności, w całkowitem odosobnieniu, a nowa ta sytuacja przedstawiała się dla obydwóch stron, z wielu względów niedogodną. Wyjście z tego położenia ułatwiał im jedynie kredyt, a artel był formą, pod którą można było przeprowadzić rozliczne sprawy przez uregulowanie nadal wzajemnych stosunków. Skutkiem tego zwrócono się z całym zapałem do organizowania artelów. Kasy pożyczkowo-wkładowe, stanęły na pierwszym planie, raz dla tego, że świetne rezultaty ich działalności widziano w Niemczech, a powtóre dla tego, że kwestya przedstawiała się niesłychanie palącą; sama zaś organizacya kas łatwiejszą, aniżeli wszelkich arteli przemysłowych.

Pierwsza taka kasa urządzoną została we wsi Rożdżestwieni, gub. Kostromskiej w 1866 r. z inicjatywy tamtejszego obywatela Ługinina. Za danym przykładem poszło wielu. Do ministerjum dochodziło tyle podań o założenie takich kas, że w 1869 r. wyszło postanowienie, nadające prawo ministrom skarbu i spraw wewnętrznych, wydawania wprost od siebie decyzji na ich otwarcie, a Towarzystwa rolnicze: Moskiewskie i Petersburskie, wzięły sprawę tę tak żywo do serca, że w roku 1871 utworzyły z łona swego specjalny Komitet do spraw kredytowych i przemysłowych, którego zadaniem było czynienie możebnych ułatwień najszerszemu rozpowszechnieniu

owych kas pożyczkowych, pod firmą arteli. Usiłowania Komitetu na tej drodze daremnymi nie pozostały; widzimy bowiem, że po latach 14 przeszło 1,000 kas tego rodzaju operacje swoje prowadzi.

Zawiązywanie stowarzyszeń przemysłowych nie miało takiego powodzenia; chociaż i tu dosyć zrobiono. W 1870 założono artel serny w gub. Twerskiej, po nim powstawały inne; skład wyrabianych serów znajdował się w Petersburgu, a od 1879—1883 roku powstało takich arteli w różnych guberniach 30 ci. Kowalstwo także zwiększało swe artele. W gub. Twerskiej zorganizowano w 1871 roku 31 arteli kowalskich, w następnym pracowało w artelach 234 kowali, udzielone im pożyczki wynosiły 10,000 fr. obrót roczny przedstawiał sumę fr. 32,880, a czyste zyski fr. 16,000. Ale artele te trwały nie długo. Gwoździe wyrabiane odręcznie, bez należytego wykończenia, nie mogły współzawodniczyć z maszynowemi i niebawem nastąpiła likwidacya, po której wykazano znaczne długi.

Ziemstwa innych gubernii krzątały się także około założenia artelów w rozmaitych gałęziach drobnego przemysłu. Starania jednak pod tym względem pozostały w ogóle bez skutku. Kończyło się albo na samych projektach, albo też utworzone artele trwały bardzo krótko.

Zakładanie artelów w gospodarstwach wiejskich większą ma przyszłość przed sobą; w wielu miejscach włościanie, za inicjatywą i przy pomocy obywateli, zakupują lub wydzierżawiają grunta, obrabiają je na własny rachunek i następnie dzielą się zbiorami. Co raz częściej też po wsiach organizują się artele rękodzielnicze lub przemysłowe. W wielu guberniach uprawa roli i sprzęt dokonywa się w drodze entrepryzy. Zjawia się w pewnej porze roku naczelnik artelu i zawiera umowę, a skoro czas nadchodzi, sprowadza swoich towarzyszków, donajmuje obcych ludzi, o ile okaże się tego potrzeba i wykonywa każdą robotę po kolei: orze, sieje, zbiera, kosi, młóci i gotowy plon za umówione wynagrodzenie oddaje. Istnieją także artele rybackie i myśliwskie, artele oddane stałej pracy w jednych miejscowościach, jako to: tkackie, kowalskie, folusznicze i t. p.

Najwięcej stosunkowo rozpowszechnione są artele w takich rodzajach zajęć, które ani szczególnego uzdolnienia, ani też kapitałów nie wymagają; artele łązienników, garbarskie, drwali, wreszcie artele burłaków, holujące statki. Te ostatnie, od czasu jak po rzekach zaczęły kursować parowce, zmniejszają się liczebnie z każdym rokiem. Nie obce są artele i drobnemu handlowi; urządzają je między sobą wędrowni kramarze, roznosiciele po większych miastach gazet, tudzież przedmiotów spożywczych i użytkowych. W ogóle w Rosyi posługuje się artelami 59 oddrębnych rodzajów przemysłu.

Zajmiemy się jeszcze organizacją artelów, z której lepiej poznamy ich działanie i znaczenie.

Jeżeli podjąć się mająca praca jest zwyczajną, krótkotrwałą i nie wymagającą nakładów, organizacya artelu następuje szybko.

Przeciwnie się dzieje, jeżeli praca przedstawia się w odmiennych warunkach.

Organizacya artelów nowszego pochodzenia nie odbywa się w prosty sposób. Formalności są pod tym względem rozmaite, w miarę tego, jakie funkcye spełniać ma artel i czy te zgodne będą z wymaganiami instytucji ziemskich, miejskich i państwowych. Kwalifikacye, jakie artele od członków swoich wymagają, tyczą się: płci, pokrewieństwa, wspólności miejsca zamieszkania, tożsamości stanowiska społecznego lub fachowego uzdolnienia, siły fizycznej, moralności, wszelkich ubocznych obowiązków. Obowiązki członków artelu są następujące: stowarzyszony winien pracą przykładać się do ogólnego dobra, przy zapisywaniu się do artelu składa pewną sumę na t. zw. „wkupne“ którego wysokość można oznaczyć od 25 do 1,600 rs.; jednocześnie z wkupnem, członek wchodzący płaci tak zwane „wstępne“, najwyżej 100 rs., obok tego 30 — 70 rs. na ogólne ugośzczenie, światło do obrazu i artelny inwentarz. Członkowie artelu mogą brać od starosty zaliczki na rachunek spodziewanych zarobków jak niemniej oczekiwać pomocy na wypadek choroby. Następnie każdy stowarzyszony może brać udział w zarządzie, o ile do tego przez wybór ogółu powołany zostanie.

Wystąpienie stowarzyszonych ze związku w jednych artelach następuje bardzo łatwo, w innych zaś rozmyślnie bywa utrudniane. Występującemu po 6 miesiącach nie służy już prawo do zwrotu wniesionych opłat i rachunek z nim reguluje się inaczej.

Co do władzy wykonawczej, to wiele artelów obchodzi się bez zwierzchniczej władzy, inne znów są takie, w których owa władza tworzy się niejako sama przez się, jednocześnie z organizacyą artelu. Na czele artelu stoi starosta, którego obowiązki bywają rozmaite. W artelach, w których jeden tylko starosta stoi na czele władzy, działalność jego jest rozleglejszą. W artelach giełdowych władza zarządu koncentruje się w kilku osobach, ze starostą na czele, który w robotach udziału nie przyjmuje, a głównie oddany jest sprawom po za obrębem arteli. Kontrola nad czynnościami organów wykonawczych w artelach opiera się na takiej organizacyi, która postępowanie władzy wykonawczej ma ciągle na oku. Prawnym organem władzy wykonawczej są ogólne zebrania członków; faktycznie jednak owa władza znajduje się często w rękach osób, sprawujących urzędowe obowiązki. Przedmiotem narad na zebraniach mniejszych są głównie roboty, często jednak rozpatrywane są na nich rozmaite skargi. Obecność na tych zebraniach każdego członka jest bezwarunkowo wymagana. Wszelkie inne zebrania mają zadanie specjalne: na pierwszym z nich, odbywaném w oznaczonych miesiącach, przeglądamy się rachunki i dokonywa podział zarobków, na drugim uskuteczniąją wybory. Brak materyałów nie pozwala nam wykazać liczebnie, jakie rzeczywiście stanowisko zajmują artele w rozmaitych gałęziach przemysłu. To jedynie pewne, że w większych ogniskach prac

przemysłowych nie znajdują one dla siebie zastosowania. Nie zorganizował się za ich inicjatywą i wyłącznym udziałem żaden zakład fabryczny, żadna droga żelazna, żadne większe przedsiębiorstwo. Praca zbiorowa choćby setek jednostek, którym zbywa na specjalnym uzdolnieniu i funduszach, nie podobnego nie podjęcie i nie przeprowadzi. Pomimo zatem istotnej w ludzie rosyjskim skłonności do łączenia się, którą szwed Friszgauf uważa jako cechę charakterystyczną, utrzymując, że chłop rosyjski nigdy w odosobnieniu nie będzie, a jeżeli nie połączy się z najbliższym artelem, to sam go zorganizuje. Artelom, powiada p. Isajew, można wróżyć pewną przyszłość w drobnych jedynie gałęziach przemysłu, gdzie ani większych nakładów, ani wyższego uzdolnienia nie potrzeba; chociaż w tak nawet szczupłym zakresie, będą one długo jeszcze, podobnie jak obecnie, paraliżowane przez współzawodnictwo przedsiębiorców z robotnikami najemnymi. Ciesle na przykład, którzy w związkach artelowych mogliby bardzo właściwie brać na siebie budowę domów po miastach, nigdy się tём nie zajmują i jedynie spotykamy ich przy wykonywaniu niewielkich robót, które nie zapewniają im znaczniejszych zarobków. Dzieje się to zaś dla tego, że starostowie artelów, mieszkając na wsi i przybywając do miast razem z gromadami na lato, nie umieją sobie wyrobić stosunków dla pozyskania roboty z pierwszej ręki. Przytem nie mają odpowiednich funduszy, któreby im pozwalały utrzymać się przez dłuższy czas własnymi środkami, czekać na zapłatę; wtedy kiedy antreprenery na tym punkcie przedstawiają pożądaną zwykle przez właścicieli dogodność, bo należności swoje rozkładają najczęściej na raty.

Toż samo powiedziećby można i o innych artelach rzemieślniczych, którym utrudniony kredyt i coraz większe użycie maszyn, zastępujących pracę ludzką, dobrej przyszłości nie rokuje. Wreszcie artele przy giełdach komorach i drogach żelaznych, które także pod pewnym względem do przemysłowych zaliczyć należy, tracąc właściwy swój charakter, zamieniając się w jakieś związki monopolistyczne, w których większą rolę odgrywa kapitał aniżeli praca. Te wszystkie okoliczności, jak niemniej coraz szerszy rozwój towarzystw akcyjnych, ściągających ku sobie całe masy posiadaczy drobnych kapitałów, spowodują niezawodnie, że sfera działalności artelów w przemyśle zéjdzie niebawem do bardzo szczupłych rozmiarów.

Jak spieszny jest rozrost tych banków, następujące cyfry wykażą mogą:

	1873	1884
Ilość banków. . . .	162	1,165
„ stowarzyszonych.	14,000	183,000
Kapitał akcyjny. . .	187,000 rs.	4,995,000 fr.

	r. 1873	r. 1884
Kapitał rezerwowy.	21,000 fr.	410,000 fr.
Pożyczki.	363,000 „	3,450,000 „
Depozyty.	106,000 „	3,131,000 „
Obieg.	4,813,000 „	61,393,000 „
Zyski.	34,000 „	796,000 „
Zaliczki.	1,100,000 „	20,577,000 „
Średnia zaliczek.	47 „	117 „

W roku 1884 straty nie przenosiły 0,008 na 100 kapitału; zyski netto rozdzielone dały 9^o/_o.

Wiele jest typów banków akcyjnych; dużo z nich, subwencyonowanych przez państwo i przez ziemstwa, znajduje się pod opieką administracyjną. Pożyczki członkom nie mogą przewyższać półtora raza wysokości wkładu; lecz za pomocą kaucyi solidarnych mogą otrzymać 150—300 rs. zaliczek, tj. trzy do sześciu razy wartość ich akcji.

Stosunki rolnicze w Rosyi warunkują się klimatem, naturą, stosunkiem ziemi do ludności i położeniem ekonomiczném. W miejscowościach np. położonych przy większych miastach, przy kolejach lub wodnych komunikacyach, ludność, (zarówno mężczyźni jak i kobiety) wychodzi na zarobek i tym sposobem tworzy się na daném miejscu brak rąk roboczych, skutkiem czego nie można należycie uprawić ziemi za pomocą odpowiedniej ilości najmu i musi się prowadzić gospodarstwo połowiczne. Jest to system, którego nie można porównać ani z dzierżawą ani z najmem. Dzierżawę właściciel oddaje za oznaczonym czynszem i dochód ma pewny, przy systemie zaś połowicznym właściciel nie może wiedzieć, jaka część zysku na niego przypadnie i kiedy ją odbierze, gdyż mowa tylko o połowie urodzaju.

Drugą oznaką połowicznego systemu jest to, że zbiory i uprawa ziemi dopełnia się przez włościan miejscowych, którzy albo dzielą na części przestrzeń gruntu lub też na całym obszarze wspólnie gospodarują i to naturalnie swoim systemem, co tamuje wszelki postęp a gospodarstwa, trzymające się tego systemu, na długie czasy niszczy.

Przy często zdarzającej się w rolnictwie praktyce dwóch czynników jednocześnie, przypomina nam stosunki Irlandyi, choć tamtejsi połownicy większe z tego systemu zyski otrzymują.

W rolnictwie ruskiem nie ma pojęcia o osobistej własności ziemi, zwłaszcza między włościanami; za właściciela jej uznaje się każdego członka, który uważa się za osobistość, mającą prawo eksploatować pewną część ziemi.

Urzeczywistnienie tych praw spełnia się zwykle w różnych formach i są między nimi takie, których charakter zupełnie przypomina gospodarstwo połowiczne. Tak np. spółnicy niekiedy użytkują z łąk, będących własnością wsi, sprzątają razem siano i dzielą się niém; takim sposobem spółkowe i połowiczne syste-

my, różniące się jeden od drugiego, mają pewne wspólne oznaki takiego mianowicie rodzaju, że można je nazwać źródłem niektórych nawyknień narodu, przyzwyczajeniem wykonywania czynności w oznaczony sposób i dla tego, mówiąc o połowicznem gospodarstwie, należy zauważyć, że konieczność jego wywołana została nie tylko położeniem rolnictwa, nie posiadającego kapitału obrotowego, ale i nawyknięciami narodu, wychowanego w praktyce spólnej własności, której początek istnieje w warunkach przyrody, klimatu, w zagęszczeniu ludności i stosunkach ekonomicznych.

Zdarza się często, że włościanie niektórych miejscowości, otrzymawszy na własność działki ziemi, starają się o usunięcie osobistego władania i o przejście do spółki, a kupujący majątki zaprowadzają w nich nie kolonialne, ale ogólne gospodarstwo. Przyczyna w tém leży że wpływy przyrody wywierają na życie ludzi takie objawy, które gdzie indziej nie mogłyby mieć miejsca. Surowy klimat, olbrzymie stopy, lasy, błota, torfowiska, oddziałując na małe zaludnienie Rosyi, dotkliwie dają się odczuwać nie tylko podczas trzaskających mrozów, ale i na wiosnę i w lecie, a walka z temi surowymi warunkami przyrody, nie możliwa dla jednego człowieka; dla tego, jak widzieliśmy, ludzie starają się skupiać.

W obec takiego położenia ludzie zainteresowani sprawą gospodarstw włościańskich, dla ich ulepszenia proponują takie reformy: a) wprowadzenie ulepszeń w gospodarstwach włościańskich nie jest możliwe bez jednoczesnego rozwinięcia przemysłu, obrabiającego surowe produkty i bez przedsięwzięcia rzemieślniczych, skutkiem czego b) ulepszone gospodarstwa, potrzebujące dla swego istnienia zwiększenia ilości ludzi, służących mu gorliwie, jednocześnie żądają, by ilość ludzi pośrednio mu służących, była o wiele liczniejszą od tej, przy pomocy której prowadzi się dzisiejsze małe — dochodne i często rabunkowe gospodarstwo; c) samo przejście do gospodarstwa ulepszanego, pierwsze ku niemu kroki (staranniejsze zajmowanie się hodowlą, przygotowanie i wywożenie większej ilości nawozu, lepsza uprawa i t. p.) wymagają od robotnika zwiększenia pracy, a tém samem skrócenia czasu, poświęcanego ubocznej robocie; jedno tylko wprowadzenie do gospodarstw narzędzi i maszyn rolniczych potrzebuje obecności na miejscu robót i kowala i stolarza i innych rzemieślników, gotowych w każdym czasie, na pierwsze zażądanie, przyjść z pomocą tym, którzy uszkodzili narzędzia lub wszelką inną rzecz, potrzebną w gospodarstwie; e) spełnienia najpierwszego zadania ulepszanego gospodarstwa. — Zwrot pobranych pierwiastków z ziemi, wymaga, żeby przemysłowe przedsiębiorstwa, obrabiające surowe produkty, nie daleko były od ziemi, z której wyszły rośliny, bo jeśli nastąpi scentralizowanie browarów, gorzelni, mleczarni i t. d. w wielkich miastach, szkodliwe dla gospodarstwa odpadki z przedsiębiorstw, nie pójdą na jego użytek i przepadną bez śladu, lub też stanowiąc będą wygodę bliżej położonych miasta miejscowości. Ze względu na powyższe okoliczności, można na pewno utrzymywać, że kwestya rozwoju gospodarstw

włościańskich nawet w gęsto zaludnionych guberniach, mały ma związek z pytaniem o wysiedlanie się włościan w mało zaludnione miejscowości, i przedewszystkiem dążyć należy do rozwiązania zadania co do normalnego rozdzielenia między ludnością danąj miejscowości pracy rolniczej, rzemieślniczej i obrabiającej produkty surowe.

Można słusznie wnioskować ze stanu socyalnego i moralnego Rosyi, że przemysł ruski, pomimo swęj wyższości w niektórych gałęziach, jest jeszcze w niemowlęctwie i że jeśli robotnik ma pewne kwalifikacye przemysłowe, Rosya nie jest jeszcze potęgą rzeczywiście przemysłową. Ilość robotników zajętych w przemyśle rękodzielniczym, jest o wiele znaczniejsza, aniżeli by się spodziewać można, chociaż w porównaniu z ogółem ludności może się wydawać niewielką. Na 91 milicjónów ludności w 1884 r., rachowano, że wielki przemysł obejmował:

W przemyśle górniczym i metalurgicznym.	Robotników.
„ leśnym.	366,000
„ garbarskim.	35,000
„ cukrowniczym.	65,000
„ roślin oleistych.	55,000
W różnych przemysłach włóknowych.	20,000
	<hr/>
	490,000
	<hr/>
	1,031,000

Ogólna suma produkcji, z wyjątkiem rzemiosł, doszła w 1881 roku 180,000,000 fr., co stanowi 20 fr. na osobę; cyfra to nieznaczna w obec innych krajów. Głównemi przemysłowemi punktami, pod względem ich działalności są: Petersburg, Moskwa, Warszawa, Łódź, za niemi idą, Perm, Moskiewska gub. i okolice wielkich miast jak Odesy, Kazania, Rygi, Tweru.

Wyroby wełniane stanowią jedną z ważniejszych gałęzi przemysłu. W 1882 r. znajdowało się w Rosyi fabryk przędzalnych (wełna) 60, tkackich 312 i sukna 510. Produkcya tych zakładów oceniona była na 114 mil. fr. Najlepsze są wyroby fabryk w Moskwie, Łodzi, Tomaszowie i w okolicach Kalisza.

Fabryki wyrobów z jedwabiu, do niedawnego czasu liczyły 283 zakładów, produkujących za 24 mil. fr. Dla wyrobu lepszych gatunków jedwabnej materyi, sprowadza się jedwab z Francyi i Prus.

Lniane wyroby produkują się w średnich i niższych gatunkach, z wyjątkiem Królestwa Polskiego gdzie istniejące fabryki, prócz tych dwóch gatunków, dają towar pierwszego gatunku. Są jednak dążenia, wskazujące, że przemysł ten się podniesie. Do niedawna przywożono przędzę lnianą z zagranicy, dziś przemysł lniany tak się już podniósł, że produkcya miejscowa może len używać do wyrobu gatunków cienkich.

Fabryczna obróbka konopi, bardzo nieznaczna, czesanie i przędzenie konopi uskutecznia się rękami.

Ze wszystkich przemysłów ruskich, najważniejsze miejsce zajmuje przemysł bawełniany, którego produkcya w 1881 r. stanowiła

360 mil. fr. Fabryk tych istnieje znaczna liczba w Rosyi i w Królestwie Polskiem. Bawełniano-przędzalne przedsiębiorstwo, rozpow szechnione w guberniach Petersburskiej i Moskiewskiej, (liczą w Rosyi 65 fabryk i 140 mil. produkcji, a w Królestwie Polskiem 20 fabryk z produkcją do 20 mil. fr.) Bawełniano-tkacką produkcją liczą na 120 mil. fr. w 895 zakładach w Cesarstwie, i 20 mil. fr. w fabrykach Królestwa.

Porcelanowe, fajansowe i szklane wyroby, gałęzie przemysłu, który i pod względem jakości i pod względem ilości bardzo małe ma znaczenie. Główne szklane przedsiębiorstwa koncentrują się w gub. Włodzimierskiej, Orłowskiej, Razańskiej, Petersburskiej, a w Królestwie w Warszawskiej. Wyrób zwierciadeł źle się przedstawia; przy braku techników dobrych, ochrona celna nic nie zrobiła.

Garbarnie, stanowiące ważną gałąź przemysłu, produkują około za 60 mil. fr. Wiele z nich jednak wyrabia tylko skóry surowe, które wywożą za granicę a ztamtąd wracają do kraju jako wyrobione, lub w różnych wyrobach użyte. Wyjątek stanowi tu kilkanaście garbarni w gub. Moskiewskiej i Petersburskiej, oraz w Królestwie Polskiem, gdzie garbarnie dają produkt wyrobiony.

Przemysł tabaczný wzrasta znacznie; plantacye tabaczne zajmują do 60 tys. dzies., zbiór 6 mil. pud., wywóz za granicę czyni 3 mil. fr. Przemysł metalurgiczny jest ogromny w swęj produkcji. Do Niżno-Nowogrodu przychodzą rzeką Kamą a potem Wołgą produkty kopalń, położonych wzdłuż gór Uralskich. Ta strefa odosobniona zawiera prawie wszystkie bogactwa mineralne Rosyi: żelazo, ołów, platynę, złoto i t. p. Złota rocznie produkują za 28 mil. fr. Przemysł ten tworzy rodzaj kolonii, rządzących się kodeksem specjalnym. Koncesya na każdą kopalnię wydaje się z uposażeniem jęj w grunt zalesiony i w pewną ilość ludności; obowiązkiem koncesyonariusza jest płacić podatki, żywić robotników, utrzymywać kościół, szpital i szkoły. Zarobki robotników nie przenoszą dziennie 45 ct.

Przemysł cukrowniczy, powstały z końcem zeszłego stulecia, doszedł obecnie do bardzo poważnych rozmiarów. Obecnie pod uprawą buraków znajduje się do 200,000 dzies., z których zbiór wynosi do 18 mil. berkowców. Główne fabryki cukru istnieją w południowo-zachodnich guberniach.

Sadło do niedawna było przedmiotem eksportu, a chociaż skutkiem konkurencyi Stanów Zjednoczonych wywóz jego się zmniejsza i w ostatnich czasach wynosi 9 mil. fr., nie jest to jednak złem, ponieważ produkt ten zawsze znajdzie w kraju zużycie w fabrykach świec łożowych, mydła i świec stearynowych.

W ogóle, o ile wywóz surowych produktów bardzo często zaznacza brak dostatecznego rozwoju danęj gałęzi przemysłu, w której może znaleźć zużycie, o tyle przywóz tych produktów nieznaczny, świadczy, że przemysł miejscowy dobrze się rozwija.

Od 1820 r. przemysł ruski zaczął się rozrastać, ale brak technicznego wykształcenia, w produkcjach przemysłu ujemnie się zaznaczał. Z końcem wojny krymskiej zaczyna się nowa era przemysłu. Doświadczenie nauczyło, że nie patrząc na bogactwa, otaczające państwo, to ekonomiczne położenie kraju znajduje się w bardzo nieprzyjaznych warunkach; że w razie wojny ograniczenia lub usunięcia stosunków z zachodnią Europą, kraj jest pozbawiony możliwości zaspakajania wielu potrzeb, że domniemana siła ekonomiczna pobudzała w społeczeństwie tylko uprzedzenie przeciwko tej sile, odsuwając je od drogi, po której należało iść, jeśli się chciało osiągnąć ekonomiczną samodzielność. Niebawem spostrzeżono te ekonomiczne niedostaki i to dało silny bodziec rozwojowi przemysłu, powstawały fabryki i zakłady, a kapitał krajowy coraz szerszy brał w nich udział. Niektóre fabryki rozszerzyły i ulepszyły swoją produkcją, a prócz tego powstały inne. Co się tyczy drobnego przemysłu, stanowiącego pierwotną formę działalności przemysłowej, to przyznać trzeba, że on znajduje się, w dobrém położeniu. Rozwojowi tego przemysłu sprzyja znaczny popyt nabywców na proste i tanie wyroby. Obecnie w niektórych gałęziach przedsiębiorstw przemysł drobny konkuruje z fabrycznym, np. odnośnie do drobnych metalicznych wyrobów, przy których ręczna robota jest nieodzowna. Liczne gałęzie drobnego przemysłu powstały i powstają pod wpływem fabrycznego przemysłu i na odwrót, liczne poważne gałęzie przemysłu fabrycznego, zawdzięczają swe powstanie drobnemu przemysłowi.

Statystycznych wykazów nie podajemy, dla tego, że statystyki przemysłowej, zasługującej na wiarę, brakuje w Rosyi. Rzemieślnicy i robotnicy ruscy przechowali dotąd tradycje wędrowne, zamiłowanie w podrózach i przenoszenia się częstego z miejsca na miejsce, co utrudnia poszukiwania statystyczne. Niezależnie od licznej klasy dekarzy, ceglarzy, cieśli, mularzy, stolarzy, i inni rzemieślnicy mają zwyczaj przybywania w lecie do miast, a powracania w zimie do domu. Zrozumieć łatwo, że klasyfikacja takich robotników narządzałaby wielkie wątpliwości.

Inna jeszcze przyczyna wpływa na trudności przy układaniu statystyki przemysłu ruskiego. Nigdzie linia demarkacyjna między rolnictwem i przemysłem nie jest mniej dokładnie odznaczona; nigdzie znajomość różnic między pracą rolniczą a pracą przemysłową nie jest mniej rozpowszechnioną jak w Rosyi. Drobny przemysł w Rosyi odgrywa rolę ważniejszą, aniżeli w innych krajach Europy. Surowość klimatu, skazując ludność do bezczynności w zimie, skłoniła ją do zajęcia się robotami mechanicznymi. Z drugiej strony, im więcej rozwój wielkiego przemysłu był paraliżowany przez brak kapitału i nadmiar rozporządzeń, tém więcej przemysły domowe zdołały się obronić konkurencji fabryk, wszędzie indziej zbyt groźnej. Drobny przemysł ruski przetrwał w ten sposób wieki ze swym charakterem rolniczym i patryarchalnym; dopiero w naszych czasach zmieniają się te stosunki na korzyść wielkiego przemysłu.

W kraju tak obszernym jak Rosya, w którym warunki ekonomiczne zmieniają się wybitnie z jednej do drugiej prowincyi o cenie zarobku nie można podać żadnych dokładnych wskazówek, któreby się mogły stosować do całego państwa, a tém mniej chwalić się, że z zaznajomienia się ze szczegółami doszliśmy do poznania sprawy wymienionej. Należy się więc ograniczyć na zebraniu wiadomości co do cen za robotę w różnych miejscowościach płaconych.

Wynagrodzenie pracy rolniczej, jest bardzo rozmaite, odnośnie do pojedynczych okręgów. W prowincyach bałtyckich wieśniak żonaty, pracujący u właściciela, zarabia rocznie gotowizną 350 fr. Robotnik bezżenny, pracujący w tych samych warunkach, zarabia rocznie 450 fr. Robotnik, pracujący u włościanina, otrzymuje 300 fr. Dzień roboczy w lecie płaci się 60 ct. w zimie 40 ct. Robotnicy zgodzeni rocznie, otrzymują wynagrodzenie częścią w pieniądzu, częścią w produktach ziemi, lub też część w pieniądzu, część w gruncie. Posiadają zwykle kilka sztuk bydła i konia, które chodzą na pastwisku dworskiem. Na południu Rosyi robotnik z koniem bez życia, podczas żniw zarabia 2—2 50 fr., bez konia 60 ct. Robotnik rolniczy może średnio zarabiać od 30 do 50 ct.; dostaje przytém żywność, której wartość można ocenić na 10—15 ct. dziennie.

W fabrykach bawełnianych pod Moskwą zarobki wynosiły dla mężczyzn 60, a nawet 80 fr. miesięcznie. Dla kobiet 16—30 fr., dla chłopców 5—8 fr., dla dziewczyn 10—16 fr. W fabrykach tkanin konopnych wynagrodzenie pracy jeszcze mniej wynosiło. Robotnik otrzymywał maksimum 30, minimum 20 fr. miesięcznie, kobieta 15—20 fr., chłopak 10—16 fr., dziewczyna 8—10 fr.

Robotnicy przemysłu wełnianego także nie mogą chętnie się swym losem. Zarobek miesięczny robotników, najwyższy sięgający 120 fr., zniżał się do 40; kobiet 20—30 fr., chłopców 10—20 fr., dziewczyn 12 fr. Najlepiej wynagradzanymi pomiędzy robotnikami byli pracujący w przedzalniach, otrzymujący 80 fr. przeciętnie; kobiety w warsztatach tkackich zarabiają 50 fr. miesięcznie.

Robotnicy hut szklanych, pomimo trudności wyjątkowych, niebezpieczeństwa ich zajęć, wynagradzani są po cenie, która wszędzie indziej byłaby uznana za śmieszna: giserzy pobierają po 60 fr. miesięcznie, a polerujący, wydymacze szkła i t. d. od 16—24. Wreszcie w papierniach robotnicy otrzymują 20—30 fr. miesięcznie, kobiety 12—16 fr., nadzorcy i podmajstrowie 20—30 fr.

Ta nadzwyczajna niskość zarobków, kompensuje się pod pewnym względem taniością życia w prowincyach centralnych Rosyi. W prowincyach nadgranicznych, a zwłaszcza w prowincyach nadmorskich ceny żywności są wyższe a z niemi i zarobek podniesiony.

W Królestwie Polskiem zupełnie inne stosunki panują, zarobki wyższe, odżywianie się lepsze. W takim np. przemyśle metalurgicznym, dzień pracy płaci się w Królestwie jak następuje:

Na dniówkę (10 godz.) od sztuki.

Robotnicy odlewów snycerskich	2,60 do 4,15 fr.	5,10 do 6,75 fr.
Ich pomocnicy	„ 65 „ 1,55 „	„ 95 „ 1,95 „
Giserzy miedzi	„ 70 „ 4,15 „	„ 70 „ 7,05 „
Kowale	2,60 „ 3,10 „	4, „ 4,50 „
Ślusarze.	1,75 „ 1,90 „	2,25 „ 2,55 „
Tokarze.	2,25 „ 4,15 „	4,05 „ 6,85 „
Majstrowie przy maszynach . .	2,05 „ 3,60 „	3,30 „ 5,45 „
Majstrowie przy masz. rolniczych	1,15 „ 3,16 „	1,15 „ 4,90 „
Stolarze i wyrabiający modele .	2,05 „ 4,15 „	2,90 „ 5,10 „

W Rosyi przemysł każdorocznie sprowadza z północy pewną ilość robotników, godząc ich na sezon letni i płacąc 150—250 fr. stosownie do uzdolnienia. Robotnicy nędznie mieszkają, bo w szopach, żywią się kapuśniakiem i chlebem, mimo to, gorliwie pracują i wszędzie są poszukiwani.

Długość dnia roboczego również jest zmienna jak cena zarobków. Na północy zwykle 13 godzin, w Królestwie Polskiem 10—12 godzin, nad Donem 14 g. Jeśli długość dnia roboczego w Rosyi jest znaczną, zato ilość tych dni jest mniejsza. Święta, których ilość o wiele jest większą aniżeli w kościele katolickim, zajmują robotnikom 90 dni w roku, licząc w tém niedziele; do pracy pozostaje więc 276 dni. Ta wielka ilość świąt jest przyczyną drogości robotnika w południowej Rosyi; utrzymują oni, że gdyby mogli pracować przez sześć dni w tygodniu, ustąpiłoby część z zarobków.

W zakończeniu tych uwag powiedzmy jeszcze, że nigdzie przemysł nie był tak zabezpieczony przed konkurencją, jak w Rosyi; ale ta protekcyja miała swe niedogodności, bo producenci, obdarzeni przywilejami, mało dbali o poprawę swego przedsiębiorstwa, o powiększenie produkcji. W Królestwie Polskiem przemysł w inny sposób się organizował. Odrazu rozwinęli go przemysłowcy niemieccy, a chociaż obce te siły nie zbyt pożądanym były nabytkiem, to jednak i krajowe siły za danym przykładem zwróciły się do przemysłu z niezaprzeczonem powodzeniem. Pośrednio rozwój takiej Łodzi, wpłynął i na energiczniejszą działalność przemysłowców w Cesarstwie, a zwłaszcza w okręgu Moskiewskim.

Budżet robotników ruskich.

Budżet w życiu robotnika ruskiego, tak się przedstawia.

Weźmy np. wydatki nieuniknione na życie. W sąsiedztwie wielkich miast lud żyje dobrze; robotnik z okręgu miejskiego na żywność wydaje 40 fr. miesięcznie, mieszkanie kosztuje go 4—5 fr. miesięcznie, nie mówiąc tu o wielkich miastach. W innych prowincjach

cyach Rosyi, robotnik pędzi nędzne życie, a żywność kosztuje go 8—9 fr. miesięcznie i składa się z kartofli, chleba razowego i czasem wódki. Ceny artykułów pokarmowych nie są zbyt wysokie; lecz pewne okoliczności wpływają peryodycznie na podrożenie żywności. Tak np., w zimie artykuły pokarmowe sprzedają się o 8 do 10% wyżej, aniżeli w lecie.

Robotnik ruski wydaje stosunkowo więcej na ubranie, co jest następstwem klimatu. Ubiór nie jest wykwintnym: gruba koszula, ściśnięta w pasie i spadająca na kolana, czapka—często bez butów, oto jak się ubiera robotnik w lecie, przytém nosi zarzutkę z grubego sukna, by się zabezpieczyć od zmiennych wpływów atmosferycznych. W zimie nosi buty, czapkę futrzaną, rękawice futrzane i kożuch.

Mieszkania robotników, zwłaszcza w mieście, tak samo są wadliwe jak żywienie i ubranie. Robotnicy w miastach mniejszych mieszkają w domach brudnych, a ich mieszkańcy grzeszą nieczystością, szkodliwą dla zdrowia;—śmiecia wszelkiego rodzaju leżą przed domem i w podwórzu. woda nie ma odpływu. Te mieszkania tak niedostateczne, często niebezpieczne, nie mają nawet tej zasługi, by były tanie. Na południu, wynajęcie nędznego domku kosztuje 175—250 fr. Rzemieślnicy miast i robotnicy wielkiego przemysłu, ani lepiej ani taniej nie mieszkają. Niektórzy z nich wprawdzie zamieszkują domy przy fabrykach, lecz ich zarobki są zmniejszone w stosunku ceny mieszkania, a gościnność fabryk zwykle jest opłakana. Łóżko z siennikiem, na którym spi osób ile się tylko zmieści, bez kołdry—oto urządzenie w zimie; w lecie wszyscy spią na świeżem powietrzu. Co do robotników fabrycznych, jednoczą się w grupy, artele, a ilość ich jest odpowiednią rozmiarowi izb; mieszczą się po 5, 10, 15, 20 osób i żywią na koszt wspólny. Każdy artel najmuje kobietę do gotowania i wyznacza skarbnika, który odbiera część zapłaty z kasy każdego robotnika na kosztą żywienia. To urządzenie tak oszczędne, również jest szkodliwe. Mieszkania składają się z izb zimnych i wilgotnych, lokatorowie pomieszani bez względu na płeć, spią jedni przy drugich, bez poduszek i kołder.

Urządzenia te musiały wywołać smutne rezultaty. Nie ma kraju w Europie, gdzieby większa była śmiertelność dzieci, a średni wiek życia tak niski jak Rosya.

Położenie robotnic i wieśniaczek w Rosyi także jest złe. Skazane są one na najcięższą pracę, brutalnie się z nimi mężowie obchodzą a nawet macierzyństwo nie ma dla nich powabu. Przy porodzie najmniejszej opieki nie mają, a w trzy dni po położu idą już do roboty.

Stan ten niewątpliwie się zmieni, bo już w ostatnich latach, niektóre przedsiębiorstwa przemysłowe odczuły to położenie i przedsięwzięły środki zapobiegające. Przy fabrykach cukru urządzono apteki i przyjęto felcerów, a kilka z nich utrzymuje szkoły dla dzie-

ci. W r. 1880 otworzył w Petersburgu J. S c h a w dla robotników swojej fabryki wyrobów bawełnianych; są inne żłobki np. w Petersburgu dla dzieci robotników, pracujących w papierni rządowej. Pewna liczba fabryk otworzyła kasy przezorności; spotykamy także kasę przezorności, której fundusz nagromadza się ze składek robotników. W Królestwie Polskiem, kilku bogatych przemysłowców założyło szpitale dla swoich robotników; ziemię i budynki dali właściciele, robotnicy zaś ponoszą koszt kuracyi, płacąc po $\frac{1}{2}$ do 1% od zarobków. Przy kilku zakładach istnieją szkoły, jedne bezpłatne, drugie ze składek robotników i pryncypałów. W ogóle w Polsce położenie robotników o wiele jest lepsze aniżeli w Rosyi, co przypisać należy gorliwemu zainteresowaniu się społeczeństwa kwestyą robotniczą.

Koszt żywienia się robotnika ruskiego średnio można oznaczyć: mężczyzna 16 fr., kobieta 12 fr., dziecko 5 fr. na tydzień. Bezzenny, wydaje 25 fr. na tydzień, kobieta bezzenna 16 fr., nakoniec robotnicy, którzy stale w jednej miejscowości przebywają, wydają jeszcze mniej, zwłaszcza po wsiach; utrzymanie jednego mężczyzny z mieszkaniem, opałem i życiem, kosztuje miesięcznie 25 fr. Mogliby więc robić oszczędności, gdyby pracowali gorliwie i nie przepijali zarobków.

Stan moralny robotników ruskich.

Znajdują się w Rosyi doskonali robotnicy zagraniczni, których państwo, wielkie kompanie i główne przedsiębiorstwa sprowadziły, wynagradzając ich pracę na cenę złota. Rząd i prywatni, wyzyskawszy pracę, wykształcenie i talent zagranicznych robotników, starają się obecnie pozbyć ich, jako niepotrzebnych. Rosyanie przyswajają sobie dewizę Karola Alberta: „*Russia fara da se*“. Nie zna czy to, by potępiali nauki mistrzów zagranicznych, przyjmują je owszem przyjaźnie, lecz skorzystawszy ze wskazówek, spieszą się rozstać z nauczycielami.

Po za robotnikami zagranicznymi, najlepszymi robotnikami w państwie są Polacy i Finlandczycy. Robotnik polski, pracowity, wstrzemięźliwy, posłuszny i szanujący pracodawców, wyuczył się z przykładu Niemców praktyki różnych przemysłów; jest on bardzo inteligentny, ma zdolność w zastosowaniu wzorów widzianych i pomimo niezupełnego wykształcenia specjalnego, produkuje artykuły dość dobrego gustu i pracy wykończonęj, a na wystawach wyroby robotników polskich częstokroć wyżej stoją od fabrykantów ruskich. Wreszcie, co jest wielką zasługą robotników polskich, to ich poszanowanie dla praw istniejących i przywiązanie do pracodawców. Co do robotników finlandzkich, to mogą oni być uważani za najlepszych, nietylko jako rzemieślnicy, ale jako ludzie. Robotnik ruski, jak wszyscy słowianie ma żywość umysłu, uczy się prędko,

zręczność w wyrobach ręcznych znaczną; lecz pomimo tej inteligencji i bystrości przyrodzonej, brak specjalnego wykształcenia wstrzymuje jego rozwój. Naturalnie, wina to nie jego, ale prawodawców, którzy nie dorosli jeszcze do pojęć, wykazujących znaczenie stosunków, w których kapitał i praca zgodnie z sobą idą. Usiłowania dotychczasowe nie wielkie dały rezultaty. Niedobrym także objawem życia robotnika ruskiego jest pijaństwo, które go ciągle odsuwa od warsztatu.

Błędy te uważamy za przejściowe, témbardziej, że dziś nawet robotnik ruski posiada przynioły, które częściowo wynagradzają jego wady. Przedewszystkiem są robotnicy ruscy bardzo religijni. Rano, skoro tylko wstanie i nim zacznie jaką robotę, żegna się, klęka, całuje ziemię kilkakrotnie i odmawia modlitwy z wielkiem nabożeństwem. Nigdzie jak w ludzie ruskim nie spotykamy większego przywiązania do związków rodzinnych, nigdzie poszanowanie władzy nie jest tak powszechne i bezwzględne. Idee rewolucji, które gdzieindziej opanowały miasta, nie przeniknęły głębiej w Rosyi. „Muzyki“ są nieświadomi, surowi, czasem nawet gwałtowni i groźni, ale zachowują niewzruszenie przepisy wiary i miłość rodzinną.

Zapoznawszy się z położeniem Rosyi, wspomnimy jeszcze o kierunkach obecnie panujących w kwestjach szeregienia trzeźwości, zorganizowania drobnego przemysłu, wreszcie uregulowania stosunków między pracodawcami i najmitemi wiejskimi.

Idee formułowane za granicą przez Le Playa, Hitzego i Vogensanga, zyskują nie tylko zwolenników w Rosyi, lecz, co donioslejsza dla jej życia społeczno-gospodarskiego, coraz więcej zaczynają się oblekać w ciało. Tak np. niedawno idea trzeźwości, długo pielęgnowana w sercach miłośników ludu, przedzierzgnęła się w zatwierdzone przez rząd petersburskie „Towarzystwo wstrzeźliwości“. Instytucja ta była marzeniem Pobiedonoscowa i on do jej utworzenia głównie się przyczynił. Zadaniem bractwa trzeźwości jest przeciwdziałanie pijaństwu za pomocą lecznicy dla pijaków, jadłodajni, herbaciarni, czytelnicy, rozpowszechniania książek treści moralnej, pogadanek, zabaw bez trunków upajających i za pomocą kółek wstrzeźliwości.

Trudno uwierzyć w cudotwórczą własność słowa moralizatorskiego, które ma być w postaci książek i pogadanek przeważnym środkiem oddziaływania. Właściwie mówiąc, Towarzystwo trzeźwości zamierza walczyć z dwoma żywiołami: z organicznym popędem człowieka północy, warunkowanym, być może, własnościami klimatu, ale i z jedną najważniejszych pozycy dochodów państwowych. Zaiście, dziwne położenie: przez ascetyzm do wyzwolenia od wpływów klimatu i podatku pośredniego. Zadanie nad siłę, jeśli pierwiastki sektciarstwa religijnego nie zostaną wezwane do pomocy. Inaczej naj-

istotniejszą i napożyteczniejszą stroną bractw pozostaną lecznice dla alkoholików. W ten sposób cała działalność zakrojona na zbyt szeroką skalę, sprowadzona zostanie do właściwej miary, do opieki nad inwalidami warunków społeczno-klimatycznych.

Jeśli troska państwa o byt drobnego przemysłu, czyli „hustarów“ w Rosyi, staje się głębszą, nie drzemie też interes wielkokupecki i usiłuje przy rozpalonych drobnych ogniskach produkcji swoją upiec pieczę. W Petersburgu, w kółku osób mających stosunki ze światem kupieckim, mniej więcej inteligentnym, powstała myśl założenia centralnego składu wyrobów drobnoprzemysłowych. Obliczono, iż kapitał niezbędny na ten cel, około 100,000 rubli, powstać winien z udziałów. Przedsiębiorstwo ma się zupełnie wyrzec żywiołów filantropijnych, a oprzeć się na czysto kupieckich zasadach. Towarzystwo ma w różnych miejscowościach Rosyi skupywać wyroby hustarów wszelkiego rodzaju, wypłacać wytwórców gotówką i sprzedawać te towary od siebie za skład. Skład petersburski ma się zwać centralnym; w przewidywaniu zaś rozwoju przedsiębiorstwa, projektują filie po miastach pomniejszych. Projektodawcy spodziewają się osiągnąć cele następujące: przyciągnąć do stolicy wiele różnorodnych a mało znaczących wyrobów drobnego przemysłu chłopskiego, przez co jakością i taniością mógłby on z czasem współzawodniczyć z rzenieśnikami stołecznymi, oraz nawiązać między spoźycami a hustarami stały i trwały stosunek i tą drogą zmusić tych ostatnich do śledzenia popytu publiczności i stosownie do jej wymagań urozmaicać wyroby. Właściwie cel da się prościej wyrazić: wciągnąć hustary w szersze koło wymiennych rynków wewnętrznych, pobudzić tym sposobem drobny przemysł chłopski a w trakcie tego, tytułem pośrednictwa, zapewnić sobie premium za tyle ofiar i poświęceń.

Widząc ten zamiar wdzierstwa wielkiego kapitału w sferę drobnego, przeciwnicy tego projektu pragną zagrozić mu drogę za pomocą swojego projektu arteli składowych i wytwórczych. Istotnie oba te środki mogą dążyć ku jednemu celowi: — ku zapewnieniu hustarom zbytu, którego brak najbardziej powoduje w kraju zastój tego rodzaju produkcji, tylko, że drugi z nich, wykrojony z programatów Le-Playowskich, na razie pożądanym byłby dla drobnego przemysłu, szczególnie w połączeniu z zamierzonym przez rząd bankiem dla niego i chroniłby skutecznie od wyzysku kupieckiego. Ale bardzo być może, iż przy coraz większym wzmaganiu się ducha przedsiębiorczości w kupcach i przemysłowcach ruskich, plan pierwszy przedź zostanie urzeczywistniony.

Stosunki ekonomiczne Rosyi wysunęły w ostatnich czasach na porządek dzienny sprawę dysproporcji popytu do podaży pomiędzy rolnikami-przedsiębiorcami, a najmitami wiejskimi. Z jednej strony istnieje wielka uprawa roli, potrzebująca dużo rąk roboczych

z drugiej minimalne gospodarstwa chłopskie wypychające tysiące jednostek po zarobek w świat szeroki. Tymczasem skutkiem braku w Rosyi instytucji, powiadamiających o stanie rynku pracy, zdarza się często, iż dwie kategorie ludzi—pracodawcy i robotnicy, poszukują się wzajemnie, nie znajdują się i odbiegają od siebie wprost w przeciwnych kierunkach, ogromnie na tём tracąc. Tak np. w przeszłym roku zdarzyło się, iż podczas gdy wielkie rolnictwo w pewnej części kraju z powodu braku rąk drżało o los zagrożonej przez kraje zamorskie renty, nieopodal dwóch stacyj kolei Łazowo-Sewastopolskiej zgromadziło się aż 5,000 najmitów wędrownych, którzy przyszedłszy z Krymu na zarobek, nie mogli go tutaj znaleźć. Usiłowano też usunąć ten chaos. Inżenier Batalin np., radził zobowiązać stacye dróg żelaznych do pośredniczenia w najmie robotników. Projekt ten jednak pozostał pobożnym życzeniem, bo miał na myśli tylko interes jednej strony.—„Cesarskie Towarzystwo wolno-ekonomiczne“, dla zbadania położenia rynku robotniczego podjęło się zebrać dane o warunkach i sposobach najmu robotników rolnych w stosunku do miejscowości, terminów i t. p., ale tego niedosyć. Według ostatnich wiadomości, ma tam wkrótce odbyć się zjazd przedstawicieli ziemstw i dróg żelaznych w celu opracowania środków, dążących do wyrównania nieprawidłowo rozmieszczających się sił roboczych.

Niektórzy ekonomiści podają taki projekt: Ponieważ zapotrzebowanie robotników wiejskich jest zależnym od stanu pól i łąk, to niezbędnym jest, by miejscowości, wysyłające najmitów, zawczasu znały w ogólnych zarysach rozmiary popytu na siłę roboczą. To zaś z łatwością dałoby się uskuteczyć, gdyby zarządy ziemskie, lub gdzie ich brak, instytucye zastępcze, zechciały możliwie najczęściej dostarczać kancelaryom gminnym niezbędnych wiadomości. Ponieważ najemnicy mają zwyczaj udawać się na zarobek gromadami i w pewne określone granice, zarządy gminne, wydające paszporty, mogłyby bez trudności informować stacye kolejowe oraz inne zakłady o liczbie robotników, zamierzających iść na zarobek. Między popytem więc a podażą, łatwo mogłoby dojść do bilansu. Co się zaś tyczy wypadków, gdzie w pewnych miejscowościach skupia się za dużo robotników, a w innych brak ich jest zupełny, zarządzić temu mogłyby raz na zawsze ogłaszane w każdej gubernii wiadomości o ruchu robotników, liczbie ich i wysokości płacy.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA

Poetyczna wędrowka Felibrów prowansalskich po Gaskonii. — „En Voyage“, pośmiertna publikacja Wiktora Hugo. — Pomniki grobowe w Panteonie Wiktora Hugo i Mirabeau. — Zakłady naukowe w Stanach Zjednoczonych, przez Piotra Conbertin. — Spór Harlemu z Moguncją o wynalazek druku. — Zmarła pani Ackerman. — Kongres naukowy w Limoges. — Lamenaïs jako polityk i miłośnik sztuki. — Powszechny aliens naukowy. — Przewodnik po Paryżu i wybrzeże Normandzkie p. Chmielińskiego. — „Astra“, powieść królowej rumuńskiej. — Medal ofiarowany doktorowi Gałgowskiemu.

Nie raz już w kronice naszej, mówiliśmy o usiłowaniach południowych Francuzów, do wywalczenia sobie praw decentralizacyjnych, nasamprzód pod względem języka. Pamiętają oni, że tym językiem *d'oc*, śpiewali niegdyś Trubadurowie, że pieśń ich, przebiegając Alpy i Pireneje, roznosiła po świecie chwałę Francji. Później, kiedy skutkiem wypadków dziejowych i przewrotów społecznych północ przeważyla nad południem, kiedy na gruzach feudalizmu powstało wielkie jednolite państwo, a Paryż stał się głównym jego ogniskiem i zneutralizował w sobie całą siłę Francji, kiedy nakoniec, w północnym języku *d'oi* zrodziła się słynna literatura i roztoczyła cywilizacyjny wpływ na wszystkie ludy Europy, w ówczas to, język Trubadurów przyrósł do strzechy wiejskiej, pozostał mową nieokrzesanych rolników i pasterzy. Ale przetrwała w nim iskra tlejąca pod popiołem. Od czasu do czasu zjawiali się lirnicy; tchnieniem piersi rozdmuchali ją w słabszy albo silniejszy płomyk. Dzięki im, iskierka nie zagasała. Wreszcie przed laty pięćdziesięciu — pod wpływem nowych prądów, budzących z uspienia ideę narodową, wystąpił Gaskończyk Jasmin z pieśnią, której dźwięki dobiegły do Paryża. Wkrótce po nim, grono francuzkich śpiewaków uderzyło w strony rodzinnej liry. Najsłynniejszy z nich, genialny Mistral, utworzył epopeję (Mirellę), arcydzieło poezji ludowej.

Zawiązało się wtedy towarzystwo tak zwanych Felibrów prowansalskich, pod przewodnictwem Mistrala, Roumanila i Aubanela, poczęło coraz żarliwiej domagać się praw dla języka naddziadów,

który podźwignęli z upadku i podnieśli na nowo do godności literackiej. Centraliści paryscy, jak wiadomo, wystąpili t \acute{e} m silniej przeciw Felibrom, że d \acute{z} enia ich na polu j \acute{e} zyka i literatury, podczas wojny 1870—1871 roku, sprzeczne byly z og $\acute{o$ lnym interesem Francyi. Napr $\acute{o$ no Mistral ogłaszał i wierszem i proz \acute{a} , że Felibrowie nie maj \acute{a} na myśli separatyzmu, że kochaj \acute{a} Francj \acute{a} jako wsp $\acute{o$ ln \acute{a} ojczyzn \acute{e} , ale zarazem umilowali macierzysty sw \acute{o} j j \acute{e} zyk, pragn \acute{a} zdobyć dla niego prawo obywatelstwa przez wprowadzenie go do wykład \acute{o} w szkolnych.

Sp \acute{o} r dot \acute{a} d nie rozstrzygni \acute{e} ty; zaznaczamy dzi \acute{s} tylko nowe fazy w t \acute{e} j wa $\acute{z$ nej sprawie. Centraliści nie ust \acute{e} puj \acute{a} kroku, Felibrowie nalegaj \acute{a} coraz to natarczywiej. Znale $\acute{z$ li oni pomoc w południowcach, zamieszkałych w Paryżu. Ci, przed laty kilku założyli towarzystwo zwane C i g a l l e (koników polnych), złożone z g $\acute{o$ l \acute{s} nych literatów i artystów; co rok odbywaj \acute{a} zjazdy z Felibrami, spraw \acute{e} ich popieraj \acute{a} dzielnie w stolicy. Zabiegom ich niew \acute{a} tpliwie zawdzi \acute{e} cza Mistral wielk \acute{a} nagrod \acute{e} 10,000 fr., otrzyman \acute{a} swie $\acute{z$ o od akademii napisów, za dokładny słownik j \acute{e} zyka langwedockiego, dzieło wytrwałej trzydziestoletniej pracy, pod tytułem T r e s o r d u f e l i b r i d g e.

Przewodnikiem Felibrów paryzkich (cygalian) jest obecnie znany w dziennikarstwie Sextius Michel, mer XV cyrkułu. Na ostatni \acute{e} m zebraniu w Sceaux pod Paryżem, wypowiedział wyraźnie program towarzystwa.

„Opuściliśmy, rzekł, ziemię rodzinn \acute{a} , ale piastujemy j \acute{a} w sercu nasz \acute{e} m. Ziemia rodzinn \acute{a} ! w tych słowach mieści się cały swiat myśli i uczuć!

„Dać ukochać współziomkom, odbudować w razie potrzeby, obyczaje, zwyczaje, j \acute{e} zyk naszych południowych prowincyi, oto nasz cel, nasz program.

„Co do wielkich zagadnień decentralizacyi artystycznej i literackiej, te postawione dzi \acute{s} , wi \acute{e} cej niż kiedykolwiek na porz \acute{a} dku dziennym, od dnia kiedy minister oświecenia wyrzekł pamiętne słowa w Montpellier“.

Słowa te powtórzyliśmy w zeszl \acute{e} j kronice nasz \acute{e} j, najwa $\acute{z$ niejszym przecie \acute{z} objawem tego decentralizacyjnegokierunku, jest rządowy projekt utworzenia dwudziestu kilku uniwersytetów po prowincyach i nadania im praw mniej wi \acute{e} cej niepodległych, to najwa $\acute{z$ niejszy krok rządu dzisiejszego; wyższe umysły widz \acute{a} w t \acute{e} m zupełn \acute{a} transformacy \acute{a} Francyi. Spostrzegłszy zwrot decentralizacyi we wszystkich prowincyach, rząd postanowił wzi \acute{a} ść inicjatyw \acute{e} w t \acute{e} j sprawie, aby mógł ni \acute{a} sam pokierować. Nie wiadomo dot \acute{a} d, jak daleko centraliści posun \acute{a} się w ust \acute{e} pstwach, w ka $\acute{z$ dym razie sprawa podniesiona pr \acute{e} d \acute{z} ej czy p $\acute{o$ źniej musi wydać owoce.

Opr \acute{o} cz corocznych zebrań w Sceaux pod Paryżem, Felibrowie i Cygalie odbywaj \acute{a} co dwa lata zbiorowe w \acute{e} drowki po r $\acute{o$ żnych

stronach południowej Francji. Ostatnia uroczystość przed dwoma laty, odbyła się w miastach Orange, Nîmes i Avignon. W tym roku przypadła kolęj na miasta gaskońskie i bearneńskie u podnóża Pirenejów. Prezydentem wyprawy mianowany Sextius Michel.—Przed ostatnią zmianą gabinetu, minister oświecenia Pallieres uposażył towarzystwo sumą 4,000 fr., na pomniki dla poetów i artystów gaskońskich, których Felibrowie zamierzali uczcić w rodzinnych miejscach. Poetyczna ta pielgrzymka trwała dni jedenaście od 6 do 17 sierpnia.

Rozpoczęli ją Felibrowie od miasta Agen, gdzie przed pięćdziesięciu laty poeta perukarz Jasmin przypomniał światu, że południowa Francja była ojczyzną Trubadurów, że język d'oc, którym oni śpiewali, drga jeszcze pełnym życiem. Imię Jasmina jest też przedmiotem czci Felibrów, widzą w nim śpiewnego skowronka, zwiastuna rychłej wiosny.

Nowe badania pokazały, że na dwieście lat przed Jasminem żył tu inny bard, nieodrodny Gaskończyk, władający zarówno dzielnie muszkietem jak i piórem. Był nim Franciszek Courtet, dziedzic ziemi Prades blisko Agen. Oddany od młodych lat rycerskiemu rzemiosłu, śmiały muszkietier walczył przeciw Hiszpanom w Pirenejach pod chorągwią Henryka IV, chwile spoczynku poświęcał poezji. Nie szukał on chluby z literackiego zawodu, pisał w tajemnicy pastorałki i ulotne zwrotki—językiem francuzkim i gaskońskim. Niktby dziś nie wiedział o tych utworach, gdyby ich syn nie wydał po śmierci ojca w końcu XVII wieku.

Mimo to pcezye Courtet'a utonęły w niepamięci razem z imieniem autora. Dziś dopiero wydobyto z ukrycia te utwory, pełne wdzięku, woni i miejscowego kolorytu. Felibrowie uczcili poetę pomnikiem w Agen. Odsłonięto w obec nich ten pomnik; przedstawia on muszkietera w kapeluszu z pióropuszem i w wielkim koronkowym kołnierzu. Sextius Michel wygłosił zasługi barda, który przez lat czterdzieści służył wiernie Francji.

Tegoż dnia po uczcie, orszak z muzyką wojskową na czele przyciągnął do domu Jasmina. Jest tam dziś jeszcze sklepik perukarza, uczczony firmą poety; lubo oddawna przeszedł w inne ręce przystąpiono do wmurowania tablicy marmurowej, z napisem, że tu żył i umarł ulubiony śpiewak.

Wyuczywszy się rzemiosła perukarskiego, Jasmin w osmnastym roku życia pojął żonę, założył własny sklepik; pełen radości śpiewał szczęście swoje w udatnych zwrotkach. Śmiały, jak każdy Gaskończyk, wypowiadał je chętnie, a piękną deklamacją umiał podnieść ich wartość. Chciwy nauki prosił o radę ludzi świątłych, którzy się nim chętnie zajęli. Pod ich kierunkiem pracował wytrwale nad wyrobieniem języka, zepsutego oddawna w ustach ludu. Rymy jego brzmiały coraz to dźwięczniej; wkrótce pozyskał rozgłos, zapraszano go do pierwszych domów. sam prefekt okazywał mu względy, przedstawił go ministrowi Dumon, rodem z Agen, podczas pobytu jego w mieście.

Dumon zwrócił uwagę literatów paryskich na utwory gaskońskiego poety. Powołano go do Paryża. Tu uznanie pierwszych krytyków, jak Juliusz Janin i Sainte Beuve, otworzyło mu wstęp w progi salonów arystokratycznych, wprowadziło go nawet na pokoje królewskie. Rzewne powiatki jego, zaprawne pełną swobody werwą: *Slepa z Castel Cuelle*, *Marta obłąkana* i inne, poruszyły do głębi słuchaczy, odkryły przed nimi świat nieznan; poeta odmalował im dożynki, sianozęcie, odpusty i pobożne pielgrzymki, słowem całe życie ludu, pełne różnorodności i barwy miejscowej; pokazał im serca silnym tętnem bijące pod świtą wieśniaczą, dał poznać przyszłość, spoczywającą w tym prostym ludzie. Obsypywano go oklaskami, akademія uwieńczyła jego poezję: ofiarowano mu tysiąc franków dożywotniej pensji.

Po tych tryumfach, Jasmin rad powrócić do Agen, próżno namawiano go by zamieszkał w Paryżu, ani chciał o tём słyszeć. Własny domek z białymi ścianami, ogród i winniczka za miastem, wystarczyły mu całkiem do szczęścia. Nie myślał wypuszczać z rąk brzytwy, pracował i śpiewał, a co więcej, posiadał, jak mówił, kapitał, którego nie spali ogień i nie zabierze woda, owe tysiąc franków dożywotniej pensji. W oczach własnych był on bogaczem.

„Żaden też bogacz, dodał w końcu p. Blade, nie sypał tak hojnie jałmużną, nie otarł tyłu łez, nie nakarmił tyłu złąknionych. Cyfry poświadczą o tём. We wszystkich miastach i miasteczkach, gdzie panuje język langwedocki, powtarzał raz po raz odczyty, z których dochód oddawał ubogim. W ciągu trzydziestu sześciu lat, od 1825 do 1861 roku, zapisano dwanaście tysięcy podobnych zebrań, które przyniosły w przecięciu po 1,500 fr., co czyniło razem półtora miliona.

„Jasmin patrzył na życie roz pogodzonem okiem, a kiedy przyszedł kres ostatni, spojrzął w oblicze śmierci z głębokim spokojem mędrca, z wiarą i nadzieją chrześcjanina. Miasto Agen wyprawilo mu wspaniały pogrzeb, wzniosło mu spiżowy pomnik, a imię swego poety-perukarza przechowuje w sercu jak drogocenny klejnot“.

Z Agen Felibrowie późno w noc przybyli do Montaubau. Ludność miejscowa przyjęła ich z pochodniami, przy muzyce i biciu dzwonów. Nastąpiło nazajutrz uroczyste przyjęcie w akademii. Złożono potём wieniec przed pomnikiem malarza Ingres, zrodzonego w Montaubau, zwiedzono kościoły, gdzie są obrazy mistrza, i muzeum, obejmujące jego najcenniejsze utwory, w ścianę rodzinnego domu wmurowano tablicę marmurową.

Z tą towarzystwo pospieszyło do miasta Auch. Słyszał tu przed trzema wiekami poeta gaskoński Wilhelm Salustiusz de Bartas. Współczesny Ronsarda, współzawodniczył z nim o pierwszeństwo, utworzył własną szkołę. Hugonota surowych obyczajów, ze zgrozą patrzył on na odrodzoną literaturę pogańską, której wpływ zgubnie oddziałal na rozprzężony dwór Waleczyuszów. Wbrew panującym

prądom, utworzył epopeję biblijną p. t. „Tydzień“. Idąc w ślad za księgą genezy, opowiada siedmiodniowe stworzenie świata; kreśli piękne obrazy świeżo rozkwitłej przyrody. Epopea ta miała trzydzieści wydań, rzecz niesłychana w owych czasach. Tłumaczono ją na rozmaite języki. W Niemczech znalazła szczególny rozgłos; Goete podnosi ją wysoko, wyraża się z uwielbieniem o francuzkim poecie, stawiają go w pierwszym rzędzie pisarzy XVI wieku.

Bartas pisał w trzech językach: łacińskim, francuzkim i langwedockim, przebywał za młodu na dworze królowej Nawarry, Joanny. W jednym poemacie przedstawił trzy muzy: łacińską, francuzką i gaskońską, występujące do konkursu, każda deklamuje językiem swoim, wieńce wymowy i poezyi otrzymała muza gaskońska.

Walczył zawzięcie Bartas podczas wojny domowej przy boku Henryka IV; z zapalem opisał bitwę pod Iwry, w której brał czynny udział. Umarł wcześniej, skutkiem ran odniesionych.

Szkoła poety upadła z nim razem; imię jego, ośmieszone przez Malherba, stało się przedmiotem pogardy, nakoniec poszło całkiem w niepamięć. Felibrowie wydobyli z zapomnienia rycerza-poetę; wzniesiony staraniem ich pomnik odsłonięto w Auch z wielką urocznością.

Z tą orszak wędrowny pociągnął do Tarbes, gdzie nastąpiła inauguracja pomnika Teofila Gautier, zrodzonego w tém mieście. Pamięć tego krytyka, poety i romansisty, zbyt żywa jeszcze w narodzie, nie potrzebowała rehabilitacyi Felibrów. Pomnik spiżowy wykonała córka poety, zuana zarówno w literackim i artystycznym świecie, Judyta Gautier, z współudziałem Henryka Bouillon. Sypnęły się wieńce, mowy i poetyczne zwrotki, połączone z grzmotem oklasków.

Nastąpiła potém w Tarbes inna uroczystość: rozdanie laureatom nagród zdobytych na konkursie poetycznym. Poeci od podnoża Alp i Pirenejów nadesłali na ten konkurs trzy tysiące pieśni w różnych narzeczach języka langwedockiego, wymowne świadectwo jak silnie prąd poetyczny rozbudza się w południowej Francyi.

Nie brakło w żadnym czasie poetów między Gaskonami, ale podziw ich swojskiej liry, dobiegał tylko do ucha bratnim prowansalom, nie przedarł się nigdy za Loarę. Paryż nie wiedział o nich. Felibrowie postanowili wyrwać z niepamięci tych śpiewaków, uczcić ich gorącym słowem, imiona ich wyrzyc na marmurze. Z Tarbes puścili się w góry, zatrzymali się w Bigorre, osadzie, słynnej z uzdrawiających wód siarczanych. W tutejszych termach pomieścili trzy tablice: wyrzyc na nich imiona Sintras, Nobida, Alfred Roland, przypominając będą potomnym śpiewaków, których pieśń pozostała żywa w ustach ludu.

Ztąd podróżni przez cieniste wąwozy, przedarli się do Saint-Savin. Uczcili tu pomnikiem Cypryana Despourrin, prostego górala, najslawniejszego z lirników gaskońskich. Wyspiewał on mnóstwo

pieśni wesołych i smutnych zarazem, sam tworzył do nich melodye, popularne dotąd pomiędzy gaskonami.

Na przyjęcie Felibrów, wystąpili tu gromadnie górale bearnęscy w stroju białym, w wielkich kapeluszach z pękiem czerwonych wstążek, uzbrojeni w góralskie kije, po przedzie szli pasterze w białych beretach, z torbą futrzaną, zawieszoną przez ramię, przytupując głośno sabotami. Wszystkie sztuki łączą się z sobą; tancerze uczcili poetów. To bractwo balladynów pirenejskich istnieje w Saint-Savin, od czasów Karola Wielkiego. Tradycyjny ich taniec nosi cechę głębokiej starożytności, kobiety nie biorą w nim udziału. Igrzysko to raczej bojowe, niżli zwyczajne płasy. Dwa szeregi uderzają na siebie, pierś spotyka się z piersią, kij o kij uderza z łoskotem, do taktu z niemniej oryginalnym chórem śpiewaków pirenejskich.

Wieczorem przybyli Felibrowie do Pau. Władze miejscowe przyjęły ich w zamku, u kolebki Henryka IV. Nastąpiły mowy na cześć króla, który pozostał drogim narodowi mimo przewrotów politycznych i społecznych. Pamięta mu Francya, że ukochał lud wieśniaczy, że przywrócił porządek w kraju rozprężonym za Walezyszów, że powziął pierwszy myśl sfederowania państw europejskich, genialną myśl, która prędkiej czy później rozbroi ludy i przywróci im stały pokój.

W bliskości Pau w Oloron, Felibrowie przy mowach przeplatanych muzyką wzniesli pomnik Ksaweremu Novarrot, przezwanemu Beranżerem bearnęskim.

Ostatni dzień zbiegł wędrownym poetom w San-Sebastien, poza obrębem Francyi. Tu Alkad, otoczony magistratem i orszakiem sług błyszczących od złota, przyjmował Felibrów z pompą hiszpańską. Wieczorem na cześć ich miasto wyprawilo walkę byków. Wstrzymujemy się od opisu tych harców barbarzyńskich, ulubionych po dziś dzień, ze wstydem cywilizacyi, którą wiek nasz u schyłku się przechwala! Czy słuszne te przechwałki, niech odpowie na to arena paryzka, stercząca jak widma u bramy lasku bulońskiego, niech odpowiedzą grzmiące poklaski tłumów niesytych wrażeń, ilekroć krew ubroczy tę arenę, sarkających na to, że w Paryżu ostatni pocisk w pierś ofiary, wymierzony bywa za sceną, a nie przed ich krwi chciwem okiem!

Gra to niebezpieczna, łatwo w niej zasmakować. Jeden z literatów, obecnych w San Sebastian, Anatol Frame, malując ohydne widowisko, sięga myślą w czasy upadku społeczeństwa rzymskiego.

„Nie jednego, mówi on spotkać może to, co spotkało młodego Alybiusza, przyjaciela Augustyna świętego. Przebywał on w Rzymie dla nauki prawa; dnia jednego towarzysze pociągnęli go gwałtem do amfiteatru. Siadł na ławie, przysłonił oczy ze zgrozą; nagle powstaje wrzawa, młodzian porwany ciekawością rozmyka z wolna powieki. W tej chwili runął na ziemię ugodzony śmiertelnie gladyator.

„Zaledwie, że Aypiusz zobaczył krew, mówi św. Augustyn, pożera ją oczyma. Odtąd nie odwraca już od niej wzroku, patrzy na nią z upodobaniem, poi się czarą piekielnych furji; sam nie wiedząc o tém czuje rozkosz na widok owych dzikich zapasów, upaja się wonią krwawego mordu. Nie ten to już człowiek, jakim był za przybyciem. Rozmilowany do szalu w barbarzyńskich igrzyskach, nigdy ich odtąd nie opuszcza. Żarliwszy od tych, którzy go pociągnęli, on sam pociąga drugich“.

Wielka to nauka dla społeczeństwa, cheiwego coraz to nowych, coraz to silniejszych wrażeń, a tak pysznego ze zmateryalizowanej cywilizacji, godnej ostatnich czasów Rzymu!

Szczęściem objawia się i tu reakcja. Dowodem jęj owa poetyczna pielgrzymka Felibrów prowansalskich łącznie z paryzkimi cygaliami, podjęta z miłością w celu podania ręki bratnim Gaskonom, ożywienia pamięci zapomnianych lirników i uczczenia domowych tradycyi.

Wydawca Quantin, ogłosił tom szósty pośmiertnych publikacyj Wiktora Hugo, pod tytułem: „W podróży: Alpy i Pireneje“. Obie te podróże do dalekiej należą przeszłości. Pierwszą, po Szwajcaryi, odbył poeta w r. 1839. Wrażenia z niej rzucił dorywczo w listach do żony, bez zakreślonego systematu. Czy poeta myślał o ogłoszeniu drukiem tych wspomnień, trudno to dzisiaj wiedzieć. Są tam obrazy świeże, kreślone lekkim piórem, są obok nich inne pełne erudycyi, jak np. rzut oka z wierzchołka Rigi na malowniczą przestrzeń gór, błyszczących jezior i cienistych wąwozów. Patrząc na te olbrzymie zwały granitowe, pod których zasłoną Helweta oparł się obcym najazdom i wywalczył nakoniec niepodległość, Wiktor Hugo kreśli cały bieg dziejów tego zabytku ziemi, podnosi wszystkie odwieczne legendy, przyrosłe do tych epok, wskrzesza pamięć Winkelridów, Tellów i stu innych dzielnych zapaśników, wylicza wielkie ich czyny i ofiary, aż do czasu, kiedy uwolnionszy kraj od Burgundów, Szwabów i Rakuszan, bitne zastępy szwajcarskie zamieniły się w garść Kondotierów, wytaczały krew w obcej sprawie i stały się symbolem wiernęj służby—o czém świadczy w Lucernie sławny Lew Torwaldsen.

Ale nie samą przeszłość Helwetów ogarnia Hugo ze stromych szczytów Rigi, orliem wzrokiem patrzy z tąd w przeszłość. Posłuchajmy co mówi:

„Byłem tam, marzyłem, bo i któzby nie marzył—i cztery olbrzymy historii europejskiej staowały przed okiem wyobraźni mojęj, z czterech stron wspaniałego krajobrazu: Annibal w Alpach Allobrogów, Karol Wielki w Alpach lombardzkich, Cezar w Engadinie, Napoleon na górze Ś-go Bernarda.

„Poniżej na dolinie, w głębi parowu, miałem przed sobą Küssnach i Wilhelma Tella.

„Rzym i Kartago, Niemcy i Francya, uosobione w czterech kolosalnych postaciach, patrzyły na Szwajcaryą, uosobioną w wielkim człowieku! Tam wodzowie i samowładcy, tu pasterz, zapaśnik niepodległości!

Obok tych poważnych antitez, spotykamy dziwne wybryki wyobraźni. Zapisujemy dla osobliwości, co Wiktor Hugo mówi o alfabecie. Zdaniem jego wszystkie głoski pochodzą od hieroglifów: były to niegdyś malowane znaki, dotąd zachowały pierwotny swój charakter.

„Czy uważałeś, mówi on, że Y jest głoską szczególnie malowniczą. Drzewo, to wyraźny Y, dwie zbiegające się drogi, to Y, spływ dwóch rzek Y, głowa osła i wołu Y, lilia na łodydze Y, człowiek na modlitwie z wyciągniętymi ku niebu ramionami, to także Y.

„A wyobraża dach, a zarówno uścisk dwóch przyjaciół, którzy podają sobie ręce. D wyobraża plecy. B plecy na plecach, czyli garb, C, to księżyc na nowiu, F szubienica, G myśliwski róg, H fronton gmachu, z dwoma basztami, I z kropką, machina wojenna, wyrzucająca pocisk, L noga, M góra, N wrota zamknięte ukośnym drągami, O słońce, S wąż, T młot, U urna, X dwie szpady na krzyż złożone, kto w bitwie zwycięży nikt nie wie, ztąd X u algiebrzystów, znak niewiadomy, Z błyskawica, t. j. Bóg.

„Ztąd wniosek, że społeczeństwa ludzkie, świat, człowiek cały jest w alfabecie. W nim znajdujemy obraz wszystkich nauk i sztuk wyzwolonych. Alfabet, to źródło żywej wody.“

Genewa smutne wrażenie sprawiła na podróżniku. Nie może jej przebaczyć, że mając u stóp błękitny Leman, a przed oczyma Mont—Blanc, spowity błyszczącym w słońcu śniegiem, naśladuje niezgrabnie Paryż. Z Genewy puszcza się do Marsylii, przepływa Rodanem do morza Śródziemnego. Widok rzeki, rozlanej szeroko, przy ujściu żółtej, mętniej, błotnistej, smutne budzi w nim myśli. „Kilka dni temu, pisze, widziałem ją, jak wypłynę z Lemanu jasna, przezroczysta, błękitna, istny szafir!

„U Lemanu Rodan, to krzepki młodzieńiec, u morza to starzec zgrzybiały. Tam widział tylko góry swoje, tu przebiegł brudne miasta, Bóg daje mu śnieg, ludzie dają mu błoto.

„Co to jest żyć i szamotać się bez ustanku. Biedny Rodan kpiął, ryczał, pochłaniał rzeczulki i potoki, rozkruszał skały, zrywał mosty, włókł za sobą ciężary, karmił miasta, odbijał w sobie słońce i kłęby chmur, aż ten, co żartko wybiegł z Lemanu, teraz ociężały, spokojny, ginie w otchłaniach morza Śródziemnego. Tu spotyka znów błękit, rozpostarty szeroko, oświecony blaskiem południowego słońca. Grób tak podobny do kolebki, lecz wielki, niezmierny“.

Opis drugiej podróży w Pireneje, szersze zajmuje ramy. Odbył ją Hugo w r. 1843. Są to już nie wyjątki z listów, ale notatki kre-

ślone dorywczo w albumie, przeplatane mnóstwem własnoręcznych rysunków.

Wesoło wyjeżdża z Paryża dyliżansem. Kolej żelazna w tych czasach była mu osobliwością, łączyła zaledwie Paryż z pobliskimi miastami. Poeta wybornie charakteryzuje dyliżans. To wierny, mówiący, obraz narodu, z jego konstytucją i rządem. Tak samo jak w państwie, są w nim trzy osobne działy: arystokracja zajmuje część przednią (coupé), mieszczaństwo zasiada w pośrodku, lud w ostatniej rotundzie. Na koźle po nad wszystkimi podnieśli głowę marzyciele, artyści (les déclassés), ludzie stojący po za obrębem społeczeństwa. Wyrazem prawa jest konduktor, pomawiany częstokroć o samowładztwo. Ministrowie, to pocztylioni, zmieniający się na każdej stacji. Kiedy wóz zanadto przepełniony ładunkiem, to jest kiedy społeczeństwo przekłada interes materialny nad dobro ogólne, przeciążony wóz psuje się i grozi katastrofą!

W trzydzieści godzin, Hugo przebiega trzysta kilometrów.

— Chceciez wiedzieć, pyta, co widziałem? w jakiej postaci przedstawiali się oczom moim miasta i okolice? jakie plony zebrałem na polu historyi, sztuki i poezyi? Odpowiem w kilku słowach.

Etampes, to wielka baszta, ledwie dostrzeżona w pomroku. Pocztylioni mówią pomiędzy sobą: „Straszny znów wypadek na drodze żelaznej, wagony wyskoczyły z szyn, mnóstwo ludzi zabitych, my przynajmniej nie wyskoczymy!“

„Orlean, to lichtarz ze świecą na okrągłym stoliku; błada dziewczyna nalewa chudy rosół. Blois, to most z obeliskiem Pompadury. Tours, to szeroka ulica, a w niej wielki zegar, wskazujący dziewiątą rano. Poitiers, to kaczka z brukwią, węgórz duszony, kura, sałata i poziomki. Angoulême to latarnia oświetlona gazem. Tak wygląda Francya widziana z dyliżansu. Cóż to będzie, gdy popatrzymy na nią z wagonu kolei żelaznej!“

Loara nie zachwyca podróżnika, przechwalono ją, mówi, do zbytku. Woda żółta, rozlana szeroko, wybrzeża płaskie, gdzie rzucić okiem mnóstwo topoli—ot i cała Loara. Z pomiędzy wszystkich drzew, jedna tylko topola głupią ma jakąś minę. W wyobraźni mojej krajobraz, złożony z topoli, przedstawia się jak tragedia klasyczna, pisana wierszem aleksandryjskim!“

W Bordeaux poeta zatrzymuje się dłużej. Tu szuka starych pomników, świadków ubiegłej przeszłości, lecz znaleźć ich nie może.

— Jako, woła ze zgrozą, Cezar August zbudował wam świątynię, czyście ją rozwalili! Julian wznosił pyszny amfiteatr, w oczach waszych rozsypał się w gruzy; Klowis obdarzył was pałacem, zgłiszcza jego porośły dzisiaj trawą; Karol VII postawił wam zamek najezony basztami, dziś z niego kupa zwalisk. Rozdzieram po jednej karty starodawniej księgi waszej, burzym sami, co wieki zbudowały!

„Szaujemy pomniki i księgi, mówi dalej, tam tylko żyje przeszłość, gdzie bądź indziej ona umarła! Owa przeszłość, to cząstka

nas samych, najważniejsza może. Fala co nas peha naprzód, prąd żywotny, co wzbiera w żyłach naszych, wszystko to czerpie siłę w przeszłości. Czém drzewo bez korzenia? czém rzeka bez źródła? czémże lud bez przeszłości?"

Rzecz dziwna, tak przed laty czterdziestu przemawiał poeta, który miał zburzyć tyle tradycyi, sponiewierać tyle kart w księdze dziejów, wprowadzić w umysły taki zamęt, tak skrzywić sumienie narodu. Ten zagrobowy głos pięknie dzwoni, po tylu dysyonansach, jakimi pobrzniwała lira poety w ciągu ostatnich lat dwudziestu!

Poeta zwiedza Bajonnę, zatrzymuje się w Biaritz, potem w San-Sebastian. Widok oceanu czaruje go, myśl jego unosi w nieskończoność. Chciwy coraz to nowych wrażeń, wdiera się w wąwozy Pirenejów, przebiega wsie i miasta hiszpańskiej Biskai i Nawarry. W kilku rzutach pióra, wsparty o krawędź skały, kreśli dorywczo obrazy miejsc i ludzi, pełne życia, zaprawne barwą oryginalną. Skory do uniesień, ubolewa nad losem tylu istot, przyrosłych do ziemi, obojętnych na wszelkie piękno.

„Są, mówi on, ludzie poniekąd rozumni, których nie zachwycić nie zdoła, którzy wobec arcydzieł sztuki lub cudów przyrody, rzekną ci pogardliwie: „Zawsze jedno i jedno“ Dla tych zimnych racjonalistów, czémże jest morze? to brzeg płaski, lub nastroszony rzędem skał, a dalej błękitno-zielony pas, stykający się z jednostajnym widnokregiem; czém Ren? to góry i zwaliska, powtarzające się bez ustanku, czém katedra? to strzelista wieżycza, a koło niej łuki i szkarpy i okna kolorowe; czém las? to drzewa, a za nimi znów drzewa, wiecznie jedno i jedno!

„Biedne niedolegi! nie wiedzą, jaką to ogromną rolę odgrywają i w przyrodzie i w sztuce owe drobne szczegóły: powietrze, słońce, pora dnia, pora roku! w nich leży tajemnica życia i różnaitość stylu“.

Wszystko zajmuje poetę: z zachwyceniem przygląda się krajobrazom, z ciekawością zwiedza kościoły i monastery, wchodzi w progi chaty wieśniaczej, prowadzi rozmowy z ludem, bada jego zwyczaję: „moje życie, mówi, ubiega tu między wykrzyknikiem i znakiem zapytania“. Dodajmy tylko, że jeśli piękna przyroda wyrывa zwykle wykrzyk z piersi poety, przybytki Boże pobudzają go do znaku zapytania. Widzimy z zalem, że tenże sam Wiktor Hugo, który przed chwilą podnosił ważność tradycyi, stanął już na pochyłej a niebezpiecznej drodze zaparcia się wszystkiego, co niedawno jeszcze uszanował.

Podróż, rozpoczęta wesoło, miała się skończyć w okropny sposób. Wracając do Paryża zatrzymał się na wyspie Oleron. Dzikie, błotniste wybrzeża, przenikają duszę jego śmiertelnym smutkiem. „Wyspa ta, mówi, wygląda w oczach moich, jakby olbrzymia trumna, położona na morzu. Księżyc w pełni świeci nad nią jak pochodnia grobowa“.

Na tém kończą się wrażenia poety. Poniżej czytamy dopisek, dodany obcą ręką:

8 Września Wiktor Hugo zapisał te słowa:

„Czułem jakby śmierć w duszy.—Wyspa przedstawiła mi trumnę“.

Nazajutrz poeta ucieka z tój wyspy złowrogiej, przybywa do Rochefort. Czekając na odjazd dyliżansu, wchodzi do kawiarni, żąda piwa, spostrzega na stole świeży dziennik.

W tój chwili naoczny świadek widzi, jak blednieje, jak przyciska rękę do piersi, zrywa się od stołu, szalonym krokiem wybiega poza miasto.

Dziennik opowiedział katastrofę zaszłą w Villequiers.

Na pięć dni przedtém, 4 września 1843 r. córka poety, Leopoldina, utonęła pływając łódką po Sekwanie. Od pół roku zaślubioną była z Karolem Vacquieres. Płynęli oboje, mąż nie mogąc ocalić młodej żony, wołał umrzeć z nią razem. Pogrzebano ich w Villequiers, zamknięto w jednej trumnie.

Nieszczęśliwy ojciec powrócił spiesźnie do Paryża. Albumik, zapisany w podróży, zachował na pamiątkę dla siebie i rodziny. Nie przeznaczył go widocznie do druku, ztąd myśli i obrazy dziwnie w nim poszarpane. Nie brak tu jednak życia i oryginalnych spostrzeżeń. Czyta się więc przyjemnie.

Grobowy pomnik Wiktora Hugo, zatwierdzony został na koniec, pracuje nad nim rzeźbiarz Rodin. Przeznaczono mu miejsce po prawej ręce wewnątrz Panteonu, w dawniej kaplicy N. Panny. Kompozycja to bardzo oryginalna. Na złomie skały, zachodzącej w morze, siedzi poeta zadumany, u stóp jego rozbijają się fale; słucha głosu trzech symbolicznych postaci, ugrupowanych za nim. Jedna z nich w pośrodku, z dzikiem i gniewnym obliczem, podnieca go do satyrycznej chłosty, druga swobodna, rozkoszna, uśmiechnięta, wyobraża poezją wschodnią (orientalki), trzecia uosabia całą lirę poety. Piękny to pomnik, w stylu greckim, ale pytamy czy odpowiedni dla zaciętego wroga klasycyzmu?

Naprzeciw tego pomnika stanie inny, poświęcony pamięci Mirabeau, wykonany dłutem Izembert'a. Wyobraża słynnego oratora na trybunie. Po za nim wymowa w postaci niewieściej dodaje mu natchnienia. Trzy inne symboliczne postacie tworzą grupę poniżej trybuny. Pierwsza wspaniale przybrana, trzyma w ręku koronę, z podziwem i trwogą chwyta słowa wybiegające z ust mówcy. Ta przedstawia królewskość. Druga młoda, zaledwie przysłonięta lekką draperyą, zwraca się ku trybunie, słucha z uniesieniem, gotowa ująć trąbę i rozgłosić po świecie zasłyszane słowa; ta wyobraża Wolność. Trzecia zapisuje sztyletem w wielkiej księdze słowa zbiegłe z ust mówcy, to Historia. Całość ugrupowana artystycznie.

Wkrótce wszystkie wewnętrzne ściany Panteonu pokryte będą wielkimi obrazami; przedmiotu do nich dostarczyły poetyczne podania z dziejów Francji, nacechowane duchem religijnym. Jedną seryą obrazów z życia Ś-ój Genowefy—wykonał Pivis de Chavannes; Clovisa pod Tolbiako, gdy ujrzał krzyż promienisty wśród obłoków, odmalował Blanc; Seryą Ludwika Ś-go, Aleksander Cabanele; Dziewicy Orleańskiej, Lenepreux, Karola Wielkiego Levy, Męczeństwo Ś-go Dyonizego, Bonnat. Nad nową seryą pracuje obecnie Meissonnier, przedmiotem jęj napad Hunnów z Attylą na państwo gallo-rzymskie.

Wspomnieliśmy w zeszłej kronice naszęj, o zamierzonęj reorganizacji uniwersytetów francuzkich. Sprawa ta żywo zajmuje zarówno rząd dzisiejszy jak i opinią publiczną. W celu zaprowadzenia projektowanych reform, ministerjum oświeccenia wyprawia misye naukowe do rozmaitych krajów Europy, a nawet za ocean do Stanów Zjednoczonych, aby poznać dokładnie zagraniczne instytucye.

Taką to misyą naukową spelnil w roku zeszłym w Ameryce Piotr de Coubertin, raport jego tylko co wyszedł z druku. Ciekawy to, pelen zycia opis podróży. Z Nowego-Yorku p. Coubertin udał się do Kanady, zwiedził uniwersytet w mieście Quebec. Z tamtąd pośpieszył do Chicago; z biegiem Mississipi puścił się do Stanów Południowych, wreszcie przez Columbię, Washington i Richemond powrócił na miejsce, zkąd rozpoczął swój objazd.

W urzędzeniu wyższych zakładów naukowych, uderzyła go przeważnie strona praktyczna, szczególny wzgląd na wyrobienie sil fizycznych przez ćwiczenia gimnastyczne wszelkiego rodzaju. W Cambridge pod Bostonem, profesor antropometrii, rozmiernia torsy uczniów, sledzi wszelkie zbroczenia i przez metodycznie prowadzony ruch muszkularny wraca kształt ciała do normalnego typu.

Ze względów sanitarnych, gmachy uniwersyteckie wznoszą się prawie wszędzie za obrębem wielkich miast, na wolném powietrzu, nad rzeką, otoczone drzewami. Młodzież, zgromadzona dla ukończenia nauk, przedewszystkiem uczy się zycia, zupełnej też używa swobody. W Cambridge trudni się domowym zarządem, pilnuje porządku. W Amherst uczniowie biorą udział w szkolnej radzie obok zwierzchników fakultetu; wybierają z pomiędzy siebie dziesięciu młodych senatorów, których obowiązkiem utrzymywać ład i przyzwoitość.

Wszystkie te uniwersytety, nie zależne całkiem od rządu, powstały z ofiar publicznych i noszą nazwiska założycieli. Niektóre z nich bogato uposażone. Milionowi dorobkowiec, z których jedni w młodości smarowali koła parowozów, drudzy w Chicago handlowali trzodą chlewną, doszedłszy do zamożności synpeli dolarami. Niejaki Lynk założył na górach skalistych szpcepyszne obserwatorium; drugi

znów Cornill, który sam niczego się nie nauczył, zmuszony od dziecka pracować na kęs chleba, wzbogaciwszy się własną pracą, założył w Itace uniwersytet dla ubogiej młodzieży. Tysiąc czterysta uczniów pobiera tu bezpłatną prawie naukę. Milionowy filantrop Hopkins ufundował uniwersytet w Baltimore, Teslam w Nowym Orleanie. W tym ostatnim zakładzie tysiąc stu uczniów zapisało się na wykład medycyny. Te amerykańskie instytucje nie obejmują wszystkich fakultetów, w wielu z nich zaniedbany wydział literatury.

Zachodnia część kraju, gdzie niedawno Irokezy koczowały na brzegach jezior, pragnie usilnie dogonić Amerykę wschodnią. W uniwersytecie Anu-Arboi w Stanie Michigan, pracuje zawzięcie pięć tysięcy uczniów. Tu na wydziale medycznym kwitnie szczególnie dentystyka. „Wyobraźmy sobie, mówi podróżnik, ogromną salę, a w niej z jakie pięćdziesiąt fotelirozkładanych; młodzi dentyści, operując bezpłatnie szczęki, wprawiają sobie rękę. Profesor przechodzi od jednego ucznia do drugiego, daje rady, czyni spostrzeżenia. Kobiety pracują także w klinice. Nauczycielka obznajmiona z dentystryką łatwiej znajdzie miejsce w rodzinie amerykańskiej.

W kanadyjskiem mieście Ottawie, znalazł p. Coubertin wzorowo urządony uniwersytet, obejmujący cztery fakultety: literatury, nauk ścisłych, inżynierii cywilnej i handlu. Zajął go szczególnie wydział handlowy; opisuje go też szczegółowo: „W głębi ogromnej sali wznosi się katedra, przed nią ustawione są rzędem ławki. Do koła idzie niższa ściana z desek, a w niej urządzone okienka, nad każdym okienkiem napis: u b e z p i e c z e n i a, k a s s a, p o c z t a, t e l e g r a m i t. p. Tu uczniowie prowadzą najściślej, wszelkie obroty handlowe, jak gdyby byli naczelnikami spółek, dyrektorami banków, agentami kompanii dróg żelaznych i t. p. Mają osobne bilety bankowe po pięć, dziesięć i dwadzieścia dolarów, z napisem „Bank uniwersytecki w Ottawie“. Ruch tu ogromny, jedni kupują, drudzy sprzedają papiery, inni ogłaszają kursa, depesze, wypadki na morzu, bankructwa i inne przygody. Szkoła ta pod zwierzchnictwem braci zakonnych, wydaje wielkich finansistów i śmiałych przedsiębiorców, którzy, dzięki praktycznej nauce zdobywają później miliony.

Sześćsetletni jubileusz Gutenberga, przypadający tego roku w Moguncyi, obudził silną protestacją ze strony holenderskiego miasta Harlem. Odwieczny to spór dotąd nierozstrzygnięty, a który nigdy zapewne ostatecznie rozwikłanym nie będzie. Podczas kiedy Hess z Moguncyi ukazuje z dumą przybyłemu cudzoziemcowi pomnik Gutenberga, promotora nowożytnej cywilizacji, z niemniejszą dumą Holender z Harlemu prowadzi turystę do posągu Laurentego Jansona Kostera, pierwszego wynalazcy okularów. Zdania samychże uczonych Holenderów podzielone były w tym względzie. Van der Linde

w krytycznym dziele wziął sobie za cel zniszczyć legendę o Kosterze, gdy tymczasem inny erudyta, Hessius, wystąpił silnie z obroną narodowej tradycji. Dowody jego przekonały Holendrów i we wszystkich podręcznikach szkolnych wynalazek druku przyznany Kosterowi.

W czasopiśmie „*Unsere Zeit*“ podniósł właśnie tę sprawę Teodor Wenzelburger; przytacza nasamopszód podanie, zapisane w *Historii prowincyi holenderskiej* przez Hadryanusa Juniusa.

„W roku 1440 żył w Harlem bogaty mieszczanin, nazwiskiem Laurenty Koster; dni świąteczne spędzał w pobliskich lasach. Bawił się wyrzynaniem liter z kory buków i przynosił je wnuczkom. Za powrotem do domu łączył jedną literę z drugą, napuszczał je atramentem, a potem kładł na arkusz papieru. Tym sposobem od drukował parę linii z wielką uciechą dzieciak.

Twórczy umysł tego człowieka spostrzegł odrazu jaki pożytek może osiągnąć z wynalazku swego. Z pomocą zięcia Tomasza Picteszoon, sfabrykował gęsty i tłusty atrament, zwykły bowiem rozlewał się zbyt szybko. Tym sposobem drukował całe arkusze.

„Widziałem, mówi Junius, te próby zarówno jak i pierwszą książkę, wydrukowaną w ten sposób. Było to dzieło nieznanego autora: *Peter speculum salvationis nostrae*. Karty drukowane były po jednej tylko stronie, potem zlepiane razem. Później Koster wyrabiał litery z ołowiu i cyny; rozgłos o nim poszedł na kraj cały; kupowano jego książki, hojnie płacąc za nie.

„Ale niebaczny wynalazca wziął do pomocy robotników, co spowodowało jego zgubę. Niejaki Jan Faust, wtajemniczony pod przysięgą, w sposób odlewania i układania liter, korzystając z chwili, kiedy rodzina obchodziła święta Bożego Narodzenia, uciekł i zabrał z sobą cały przyrząd. Udał się najprzód do Amsterdamu, następnie Kolonii, nakoniec osiadł stale w Moguncyi, gdzie z pracy swojej zbierał obfite plony. Wiadomo, że w roku 1442, wydrukował księgę *Alexandri Galli Doctrinale*, literami, których Koster używał już w Harlem“.

Po takiej legendzie następują krytyczne uwagi Wenzelburgera. „Gdyby, mówi on, Junius był naocznym świadkiem opowiadanych faktów, sprawa byłaby osądzoną, zwycięstwo Kostera niezaprzeczone. Ale sto dwadzieścia lat upłynęło od kradzieży Fausta do czasu, kiedy analista holenderski pisał kronikę swoją. Przynosi on świadectwo z trzeciej ręki. Słyszał to, o czem pisze od starego nauczyciela szkoły, Mikołaja Gaal; ten zaś powziął wiadomość od jednego z towarzyszy Kostera. Był nim introligator nazwiskiem Cornelis, który w późnej starości rad przypominał szczegóły dotyczące cudownego wynalazku, opowiadał ze łzami o kradzieży dokonanej w święta Bożego Narodzenia. Sypiał, jak mówi, w jednej izdebce z niegodziwym Faustem.

Otóż znaleziono w archiwach miasta Harlem akt zéjścia Cornelisa. Robotnik ten umarł w r. 1522; przypuściwszy, że żył lat dziewięćdziesiąt dwa, byłby zaledwie dziesięcioletnim chłopcem w roku 1440, kiedy Faust uciekł do Moguncyi.

Opierając się na tych cyfrach, krytyk pisma „*Unser Zeit*“, podaje w wątpliwość legendę harlemską; może być, że niesłusznie, bo dziesięcioletni chłopiec, mógł przecie pamiętać wypadek tak wielkiej wagi, a czemużby zresztą nie miał umrzeć stuletnim starcem? Wenzelburger jednak nie odrzuca stanowczo tradycyi. „Opowieść Juniusza, mówi on, tak dokładna w prostocie swojej, że trudno przypuścić, aby Coster nie drukował ksiąg w Harlem; idzie tylko o to, czy te pierwotne druki dawniejsze są od Biblii mogunckiej.

Przychodzi tu na świadectwo ustęp z kroniki kolońskiej Jana Stumff, analisty z XV wieku. Mówi on o początkach sztuki drukarskiej, według tego, co zasłyszał od Ulryka Zeli, który pracował pod kierunkiem Gutenberga.

„Sztuka drukarska, utrzymuje kronikarz koloński, wynalezioną była w Moguncyi, ale pierwsze wzory tego wynalazku przyszły nam od Holendrów. Są to grammatyki Donata, drukowane w ich kraju.

Owe grammatyki Donata istnieją dotąd w liczbie dwudziestu jeden egzemplarzy, rozrzucone po wielkich bibliotekach. Na żadnej księdze nie ma daty, ani nazwiska miasta, gdzie wydaną była, rzecz więc pozostała w wątpliwości.“

Kiedy Niemcy toczą spór z Holendrami o kolebkę drukarstwa, świeże odkrycia księdza Requin w archiwach Awinionu rzucają nowe światło na pierwszy początek wielkiego wynalazku. Autentyczny dokument pokazuje, że w miesiącu lipcu r. 1444, złotnik Prokop Waldfoghel, rodem, z Pragiposiadał czcionki ruchome z cyny i przyrządy drukarskie, należące do ucznia z Awinionu, nazwiskiem Manaud Vital, rodem z Dax w Gaskonii, i z nim razem wykonywał sztuczne pismo, według znanego im sposobu. Inny akt z r. 1446, wymienia dwóch innych wtajemniczonych współników, jeden z nich był uczniem z Trewizy.

Autor krytycznej rozprawy słuszny ztąd wyprowadza wniosek: „Sztuka drukarska, mówi on, nie należy do wynalazków jakiegoś genialnego człowieka. Od roku 1440 odkrycie to leżało, rzecz można, w powietrzu. Była to sprężyna, bez której geniusz ludzki nie mógł się już objąć: Koster, Waldfoghel, Gutenberg, pracowali razem, w tym samym czasie.

Czy żaden z nich nie wiedział o pomysłach współzawodników? tego nikt nie odgadnie, ale rzecz godna uwagi, iż ludzie różnych narodów, podjęli jednocześnie wielki pomysł. Obok holendra Koster a i niemca Gutenberga, widzimy złotnika z Pragi, osiadłego w Awinionie, i dwóch uczniów Gaskonów i tego Fausta niewiadomego pochodzenia, który uniósł tajemnicę z Harlem do Moguncyi. Alboż

to owego Fausta nie miesza tradycya z naszym czarnoksiężnikiem Twardowskim? Zbiór tytu narodowości, nadaje początkom druku dziwnie kosmopolityczny charakter, ztąd chwała z wynalazku drukarstwa nie należy do tego lub owego miasta, ale jest zbiorową zdobyczą danój epoki, zdobyczą, która przyniosła najwyższy zaszczyt ucywilizowanym ludom.

W pierwszych dniach sierpnia, zmarła w południowej Francyi pani Ackerman, kobieta niezwyklego talentu i rozległej nauki. Jój poetyczne utwory, — jeśli godzi się nazwać je poezią — wytworne pod względem formy, to najsmutniejszy wyraz pesymizmu, nurtującego w dzisiejszém społeczeństwie.

Przed laty kilku pani Ackerman ogłosiła swoje wspomnienia. Opowiada w nich, że kiedy była dzieckiem, pieszczoty rodziców przyjmowała ze wstrętem, gdyż nie wiedziała jak na nie odpowiedzieć. — Wychowana w zaciszy wiejskiej, od lat najmłodszych uciekała od ludzi; na świat i życie spoglądała z pogardą. Długie chwile spędzała w cienistym zakątku ogrodu; tam siedząc na murawie, przyglądała się komarom, mrówkom a szczególnie ulubionym sobie stonogom. Z trudnością nauczyła się czytać, katechizm dziwnie ją przestraszał. Kiedy później pleban wykładał jój zasady nauki chrześcijańskiej, słuchała go z wyteżoną uwagą, ale po skończonym wykładzie, straciła całkiem wiarę i nigdy nie miała jój odzyskać. Pragnęła usilnie dostać się do Berlina, przysłuchiwać głośnym w te czasy tamtejszym uczonym i filozofom. Wcześniej osierocona mogła uczynić zadosyć tym pragnieniom. Zamieszkała w Berlinie, w domu rodziny utrzymującej stosunki z licznym gronem aczonych; poznała tam Aleksandra Humboldta, Warnhagena, Jana Millera i wielu innych koryfeuszów nauki.

Umysł jój przybrał wcześniej charakter pesymistyczny. Znajomość, a następnie związek małżeński z uczonym filologiem i utopistą Ackermanem, bardziej jeszcze utwierdził ją w tym kierunku. Od najmłodszych lat pisywała wiersze, w smutnych zwrotkach lubiła wylewać gorycz z serca, ale surowy Ackerman wcale nie wiedział o tych próbach młodzieńczych. „Mój mąż, zapisała w pamiętniku, nie byłby scierpiał, aby żona nosiła suknię wyciętą, tembardziej zabroniłby jój ogłaszać wiersze. Według niego pisanie dla kobiety, znaczy to samo, co ubiór nieprzyzwoity, z tą tylko różnicą, że bardziej ubliża skromności odkrywanie serca niż ramion“.

Po dwóch latach pożycia, mąż umarł, wdowa powróciła do kraju, wkrótce potem osiadła stale pod Niceą. Obrała za mieszkanie opuszczony klasztor dominikański, ukryty w cieniu drzew oliwnych. Zbudowała tam wieżę, z kąd widok ogarniał szerokie fale morza Śródziemnego i śnieżne wierzchołki Alp piemonckich. Tam przebyła lat czterdzieści cztery w zupełnej samotności, zagrzebana wśród książek. Pamięć męża nie wstrzymała jój od wierszy, pisała je też

bez ustanku. Czasami zaglądała do Paryża, były to jak mówi jęj wakacye. Słuchała wtedy wykładów w kollegium francuskim; otoczona szczupłem gronem literatów, prowadziła z nimi filozoficzne rozmowy. Do tych wybranych należał znany krytyk Anatol France.

„Nosila zawsze w kieszeni, mówi on, swój autobiograficzny dzienniczek, czytała nam go chętnie, powtarzała przed nami własne wiersze, rozprawiała wiecznie o sobie.

„Mogę być zuchwałą w moich spekulacyach filozoficznych, mówiła nieraz, ale za to byłam zawsze nadzwyczaj surową w postępowaniu. Łatwo to pojąć. Namiętne tylko uniesienia popychają nas do nierozwagi, a ja znam tylko porywy umysłowe“.

„Jak ci wszyscy, którzy długie chwile spędzają w samotności, ilekroć znalazła powolne ucho, nagradzała sobie czas stracony, słowa płynęły z jęj ust, niby wezbrany potok. To wielomostwo schłostała ostro znana literatka pani Angoult. „Spodziewałam się, rzekła, znaleźć orlicę, znalazłam tylko srokę“. Pani Ackerman dowiedziała się o tém, nieraz ze śmiechem powtarzała te sarkastyczne słowa“.

Surowa dla siebie, nieprześląganą była dla drugich, szczególnież tej dla kobiet. „Byłem raz świadkiem, mówi France, jak odtrąciła od siebie sześćdziesięcioletnią towarzyszkę lat młodych, za to, że siedząc przy kominku, podała z uśmiechem szczypcę siwemu jak gołąb starcowi.

„Ilekroć żenił się kto z jęj znajomych, rozpaczała nań jego losem. Małżeństwo w jęj oczach było największą klęską. Człowiek ożeniony — był człowiekiem zgubionym. „Zastanów się tylko, ostrzegała nas; kobieta najuczciwsza nawet idzie za popędem instynktu, drzę na myśl do czego doprowadzić to może“. A jednak, rzecz dziwna, ta bezbożna purytanka, przepadała za poezją Musseta, pełną szalu i miłosnych uniesień. Piękna forma tęg poezyi, budziła w nięj mimowolny zachwył“.

Nie będziemy tu rozbiierać poetycznych utworów pani Ackerman. Pióro wzdryga się na powtarzanie tych przekleństw, rzucanych wbrew Stwórcy lub ślepym losom. „Cały ród ludzki, to zdaniem jęj bohater oplakanego dramatu, odgrywającego się wiecznie, w obec przyrody obojętnęj, dramatu bez końca, bez nadziei, tonącego w nicestwie“. W około tego tematu krążą wszystkie jęj filozoficzno-poetyczne zwrotki, kreślone wierszem wytwornym i potoczystym.

Ci, dla których piękna forma jest alfą i omegą poezyi, podnoszą talent pani Ackerman. Zwolennicy Hartmanna, Schopenhauera i budystańskiego nihilizmu, zbyt liczni dziś niestety, obsypali ją grzmotem poklasków. Mimo to — imię jęj nie stało się wcale popularnym, żadna jęj zwrotka nie utkwiła w pamięci współczesnych.

„Wiara i miłość silnięj mówi do mnie, niż mędrca szkiełka i oko“. Według tych słów wielkiego poety ogół wybiera ulubieńców swoich; ostatnim wyrazem jego estetycznych pojęć: „mięj serce i patrzaj w serce“!

Kiedy Paryż wyludnia się podczas skwarów letnich, kiedy ustają wystawy, spoczywają teatry i Akademie, życie przenosi się wtedy w głąb kraju, odbywają się po miastach naukowe kongresy. Miejscem takiego kongresu było w tym roku miasto Limoges, położone nad Loarą w środkowej Francji.

Rzecz to godna uwagi; dopóki komunikacje utrudnione były wewnątrz kraju, Paryż skupiał w sobie całą żywotną siłę Francji; dziś przeciwnie, odkąd najdalsze przestrzenie zbliżyły się do głównego ogniska, pokonane siłą pary i elektryczności, każda prowincja pragnie żyć własnym życiem, zbiera skrzętnie miejscowe pamiątki i odwieczne tradycje, buduje pomniki zasłużonym swym synom, słowem usiłuje uwydatnić własny indywidualizm i wyswobodzić się z pod jarzma centralizmu, niwelującego wszystko na jedną modłę.

Podczas gdy u podnóża Pirenejów, Gaskończycy odkrywali przed gronem wędrownych Felibrów skarby pamiątek, ukryte w miastach, wioskach i górach swoich, mieszkańcy Limoges ukazywali z chlubą uczonym gościom kongresowym bogactwa nagromadzone u siebie długą pracą i wytrwałością. Stawili im przed oczyma słynną ceramikę limuzyńską, wyższą od sewrskiej, dzięki doskonałej glinie, jakiej nie posiada cała Francja. W wydziale agronomicznym dali im poznać wzorowo urządzoną majątność p. Tisserand de Bort, b. ministra, który puste landy bez wartości, w ciągu czterdziestu lat przemienił w kwitnącą oazę, za co zdobywa medale konkursowe na wszystkich wystawach rolniczych.

Pochlubili się niemniej Limuzyni przypomnieniem jednego z pierwszorzędných chemików tego wieku, uczonym Gay-Lussac, któremu rodzinne miasto zbudowało pomnik: odsłonięto go właśnie podczas kongresowych uroczystości.

Rozbierano między innymi na kongresie pytanie najżywiej obchodzące dziś Francją, przerażoną zbyt małym przyrostem ludności. Ekonomisci postanowili bądź co bądź przeprowadzić prawo, wzbraniające stanowczo pracy nocnej po fabrykach, zarówno dzieciom jak i matkom. Higienisci ze swęj strony zalecają budowę domów pełnych słońca i powietrza, w którychby robotnik mógł znaleźć w kółku rodzinném miłe wytchnienie po tygodniowej pracy.

Kongres nie pominął też folkloryzmu. Jeden z członków urządził u siebie koncert ludowy, powołując z okolicy grono śpiewaków i śpiewaczek. Wiesniacy limuzyńscy zachowują wiernie domowe obyczaje, śpiewają w narzeczu miejscowém o mnóstwo pieśni, przygrywając sobie na kobzach. Pierwotne te instrumenty, obciążniętę kozią skórą, sięgają epoki starożytnych Celtów. Z tych pieśni, wyspiewanych na świętą nutę, jedna poruszyła szczególniej słuchaczy, dajemy ją w przekładzie.

Z wojny wraca żołnierz młody,
Wesół spieszy do zagrody.

W drzwi swój milój zakolacze
Sługa krząta się i płacze.

— „Kędyż ona“? — „Dziś ją rano,
W chłodnej ziemi pogrzebano“.

Zadrzał żołnierz, co tchu skoczy,
Niech przekona się na oczy.

Na cmentarzu stoi chwilę,
Coś porusza się w mogile.

Pękła bryła ziemi świeżej,
Patrzy... w trumnie ona leży.

Cicho leży, jakby spała,
Jak brzask dzienny taka biała.

— „Podnieś główkę, dziewczę moje,
Ucałujmyż się oboje“.

— „Twoje słowo— bańka pusta.
Czyż się zbiegną nasze usta.

„Z moich barwę ziemia pije,
Twoje wonne jak lilije.

„Patrz na suchą moję rączkę,
Zdém złocistą z niéj obrączkę.

„Dać ją młodéj. Strzeż cię Boże.
Szydziłaby ze mnie może.

„Daj ją wdowie, niech nieboga
Za mnie modli się do Boga.

Rzewne pieśni limuzyńskie pokazują lud z innéj zupełnie strony, niż go Zola przedstawił w ohydnej powieści *Ziemia*, w której tak znieważył biednych wieśniaków.

Melodye tych pieśni ściągnęły też uwagę znawców. Obecni na kongresie muzycy, znaleźli w nich odwieczne tony celtyckie, pomieszane z kościelną nutą śpiewanych dotąd średniewiecznych kantyczek. Wpłynęły tu niemniej dźwięki grecko-lacińskie, pozostałe z czasów rzymskiego panowania a nawet odrębne tony arabskie, przyniesione ze wschodu przez krzyżowców. Wszystko to razem szarmonizowało się w pieśniach limuzyńskiego ludu i nadało im oryginalny charakter.

Imię Lamenaïs'go, znane i u nas ze stosunków jego z Mickiewiczem, wielki zdobył rozgłos we Francji przed laty czterdziestu. Ten gorący niegdyś katolik, przyjaciel Montalemberta, utalentowa-

ny tłumacz Dantego, później apostata, obsypany poklaskiem jednych, ścigany chłostą [drugich, poszedł nakoniec w zapomnienie. W tych czasach dopiero Juliusz Simon, przypominając ludzi, którzy odegrali czynną rolę po upadku lipcowej monarchii, w roku 1848, naszkicował żywo tę charakterystyczną postać.

Lamenais był wtedy członkiem zgromadzenia narodowego. Gdy ukazał się w izbie, oczy wszystkich zwracały się ku niemu. „Nie górował on nad innymi, mówi Simon, był to mały, chudy człowieczek; ubrany czarno, na pół po księżemu, jak wszyscy ci, co nosili niegdyś sutannę, twarz miał szpetną raczej niż piękną, białą, pociągłą, nos długi, oczy przenikliwe. Siadał wysoko w górze po lewicy, przyglądał się przez szkiełko kolegom i publiczności zebraną w sali. Zawsze sam, nie rozmawiał z nikim; jeśli go ktoś zagadnął zbywał go krótkim słowem. Otoczony jakąś ponurą atmosferą, nie dopuszczał nikogo do siebie.

„Ten człowiek powołany do izby, mimo woli własnej, przez głosowanie powszechne, wybrany jako wolnomyślny filozof i jakobin, nie był ani jednym, ani drugim. Niegdyś legitymista, katolik, kapłan, naczelnik ultramontanów, w katolicyzmie przeszedł sam kościół, w papieżu samego papieża. Nie mogąc poprowadzić kościoła wytkniętą przez siebie drogą, postanowił go zniszczyć. Walczył przeciw niemu jako ksiądz, gdyż został zawsze księdzem, nawet po apostazji. Burzył wszystko, zatrzymał się tylko przed Bogiem.

„W izbie liczył on wielu nieprzyjaciół, z jednej strony Lacordair'a i Montalembert'a, biskupów, wreszcie protestanta Coquerela, z drugiej strony liberałów różnych barw i odcieni. Nie był w stanie przemawiać z trybuny: trudno posądzić go o bojażń, raczej namiętny szłał dławil mu głos w piersi za każdym wystąpieniem.

„Czując że nie może być nowym Mirabeau ani Dantonem, chciał poprzestać na roli Siyesa. Napisał projekt konstytucyi, bez względu na nowe idee i potrzeby nowych pokoleń. Projekt upadł: odczuł to boleśnie Lamenais, obwiniał zgromadzenie narodowe, że mając go nie zdoła. Odtąd zamknął się w uporczywem milczeniu: obecny zawsze walkom parlamentarnym, spokojny napozór wśród najburzliwszych sporów, składał w głąb serca nienawiść i oburzenie. Straszliwy to był człowiek, gotów stosownie do czasu, rozpalać stosy, lub wlec ofiary pod gilotyne; obok tego czuły na ludzkie cierpienia, równie gwałtowny w litości jak i w gniewie.

„Po dwóch miesiącach oczy wszystkich odwróciły się od niego, on przecież pozostał w miejscu, poglądał przez szkiełko na obecnych, zawsze milczący i ponury, zimny na pozór, w głębi serca kipiący wściekłym gniewem“.

Od izby prawodawczej przechodzi Simon w progi domowe, bada Lamenais'go w prywatnem życiu, opowiada co słyszał z ust słynnego malarza Ary—Scheffera.

Razu jednego wyobraził sobie Lamennis, że jest wielkim miłośnikiem sztuki malarskiej i niepospolitym jej znawcą. Począł zbierać obrazy i urządzać galeryę, chciał ją zapełnić arcydziełami pierwszych mistrzów. Handlarze, dowiedziawszy się o tém nacierali go bez ustanku. Zbiory wzrastały z dniem każdym. Pyszny z nich właściciel ukazywał je tylko wybranym, których estetyczne pojęcia sądził według zapachu, jaki okazywali na widok jego niezrównanych arcydzieł. Obojętnych oddalał niezwłocznie, pochwały pseudo-znawców dały mu słodkie złudzenie, że posiada wspaniałe muzeum.

W tych czasach widywał codziennie Ary-Scheffera, który malował jego portret. Łatwo pojąć, jak mu szło o uznanie takiego mistrza. Mówił mu ciągle o swoich Poussin'ach i Welazquez'ach, ale wielki malarz nie spieszył się z obejrzeniem galeryi, znał bowiem drażliwość kolekcjonistów, szczególnie zaś Lamennis'go, który w niczem nie znosił zaprzeczenia. Tłómaczył się jak mógł brakiem czasu, wreszcie musiał ustąpić.

W dniu umówionym przybywa Ary-Scheffer, idąc postanawia chwalić wszystko, o ile pozwoli na to uczucie godności artystycznej. Lamennis przyjmuje z uniesieniem upragnionego gościa. Otwiera przed nim drzwi sanctuaryum; wprowadza mistrza uroczyście, przez kwandras pożera go oczyma. Czeką na wykrzyk podziwu, lecz Ary-Scheffer milczy, w oczach jego nie dopatrzeć iskierki zapachu.

„Zimny Holender pomyśli w duchu Lamennis, ale czekajmy jeszcze, zobaczymy“.

Obchodzą galeryę, zatrzymują się przed każdym płótnem. Krew kipi w żyłach Lamennis'go, z oczu jego sypią się błyskawice: nazwiska mistrzów wymawiał zrazu tryumfalnie, nagle ochryplił, zabrakło mu tchu w piersi. Ary-Scheffer milczy jak zakłętý.

Skończył się wreszcie przegląd. Malarz spogląda na drzwi, radby niecie, odetchnąć swobodnie, ale grzeczność nie pozwalała na to. Z drugiej strony: jakże tu kłamać, on do tego nie nawykł. Chwilę stoją obaj na przeciw siebie, ten dziwnie pomięszany, tamten kipiący gniewem.

— „No i cóż?“ zagadnie ostro Lamennis.

Ary chce odpowiedzieć, ale słowo kona mu na ustach.

— Tak, rozumiem pana, zawoła sarkastycznie właściciel, ja nie znam się na niczem, biorę za arcydzieła ładajakie gryzmoły. Ale kiedy trudno nam mówić o sztuce — to mówmy o pieniądzech. Ile pan oceniasz moje zbiory?

Zdziwiony zapytaniem Ary-Scheffer waha się z odpowiedzią. Lamennis nalega coraz natarczywiej.

— „Ile warta galerya moja? powiedz pan bez ogródki“.

Zniecierpliwiony malarz ogarnął wzrokiem salę.

— Ramy, rzeczce, nowe, w stanie dobrym, licząc metr po tyle a tyle, warte do dwóch tysięcy franków.

— Precz ztąd! zawoła Lamenaïs ochrzypłym głosem i ukazał drzwi sali.

Malarz odszedł—odtąd nigdy się nie widzieli.

Istnieje tu od lat kilkunastu, międzynarodowe towarzystwo pod tytułem „Alliance scientifique universelle“ (powszechne zjednoczenie naukowe). Założył je Leon de Rosny, prezes towarzystwa etnograficznego w Paryżu. Członkowie „Zjednoczenia“ rozproszeni po wszystkich częściach świata, przystępują w tym roku do wyboru nowego prezydenta. Wybór ten powtarza się co lat pięć; w ostatnich latach prezydował profesor de Rosny, przed nim piastował tę godność zmarły senator Carnot.

W ciągu krótkich lat istnienia swego, „Zjednoczenie“ naukowe okazało się nadzwyczaj pożytecznym, wielką też zapowiada przyszłość. Pobudkę do jego zawiązania dały skargi uczonych. Nie jeden z nich przedsięwziął daleką podróż w celu poszukiwań po bibliotekach i muzeach zagranicznych i zacerpnienia na miejscu wiadomości od pracowników w tymże samym zawodzie. Przybywa do miasta, szuka korespondentów swoich, — napróżno!... ten nieobecny—tamten zajęty, inny chory! Potrzeba mu objaśnień; dają mu fałszywe lub niedokładne. Idzie do muzeum, konserwator na wakacjach, kołacze do biblioteki, — zamknięta, nie podobna mu wydobyć potrzebnych dokumentów.

Wiadomo, że konsulaty handlowe istnieją po wszystkich wielkich miastach. Na wzór tych rządowych instytucji p. Leon de Rosny powziął myśl ustanowienia konsulatów naukowych. Jako prezydent Towarzystwa etnograficznego od lat trzydziestu, utrzymywał on stosunki z uczonymi całego świata. Przedstawił im swój projekt; na to wezwanie większa ich część zaciągnęła się do nowój organizacji. W wielkich ogniskach ustanowiono generalne delegacje, w mniejszych mianowano korespondentów. Co więcej „Alians“ zadecydował, dla ułatwienia pracy uczonym badaczom urządzić przy wstępie do najdalszych krajów naukowe forpoczty, zwane *delegations stationnaires*, złożone z światlejszych tubylców lub kolonistów, obznajmionych dokładnie z miejscowością.

Takie stacye istnieją już nawet w zapadłej Afryce i w Ameryce północnej, przy ujściu rzeki Makenzie pod 66-tem stopniem szer. jeogr. Inne powstają w Laponii, w Szpitzbergu, w Tybecie, w Manczuryi, u Kafirów, w Gwinei, na przylądku Horn, w Polinezyi, słowem na całej kuli ziemskiej. Ledwie zrodzona instytucya, kolosalne przybiera już rozmiary. Wkrótce niebędzie tak pustego zakątka, gdzieby uczony przybysz nie znalazł ręki życzliwie podanej ani gościnnego dachu nad głową.

Towarzystwo znalazło potężnych opiekunów. Bogacz jeden, zamilowany w nauce, pisze do p. de Rosny: „Dla czego ziomkowie wasi tak się ociągają z exploracją Kaukazu? Mój dom, moja służba, konie i powozy, wszystko to czeka na ich przyjazd“. Hojniejszą okazała się królowa Rumuńska, Carmen Silva, przyrzeka bowiem bezpłatną podróż po Rumunii wszystkim uczonym, zaleconym przez towarzystwo.

Na czele „Aliansu“ stoi prezydent i dwóch vice-prezesów. Rada centralna nie ma stale określonego miejsca. Ogniskiem jej od lat trzynastu Paryż. Jeśli z nowym prezydentem główna rada zostanie gdzie indziej przeniesioną, w Paryżu ustanowioną będzie prosta delegacja „Aliansu“.

W literaturze francuskiej coraz to częściej spotykamy imiona ziomków naszych. Pan Jabłoński wydał świeżo pierwszy tom badań nad armią francuską w pasmie wieków. Pan Bielawski naukowemi pracami o „Auverni“ zjednał sobie uznanie i tytuł członka akademii w Clermont-Ferrand. Pan Stryjewski z archiwów miasta Grenoble wydobywa razporaz pozostałe rękopisma po znanym powieściopisarzu Henryku Bayle (Stendhal), jednym z promotorów realizmu w literaturze: wydał już jego pamiętniki. P. Podhorski znalazł rozgłos między Felibrami. P. Nagorski od dramatów przeszedł do dziennikarstwa, p. Wodziński oprócz powieści wydał życiorys Chopina, Pan Rzewuski wystąpił w teatrze i na polu krytyki literackiej. Nie będziemy dziś oceniać tych prac rozmaitej wartości, powiemy tylko o pełnych talentu przewodnikach pana Chmieleńskiego po Paryżu i Normandzkich wybrzeżach.

P. Chmieleński znany tu pod pseudonimem Constant de Tours umie z niezwykłym talentem ożywić i zobrazować, opisywane przez siebie miejsca. Album jego poświęcone Paryżowi, zdobne rysunkami w liczbie dwustu, prawdziwym jest skarbem dla turysty. Nie wdaje się autor w erudycyjne badania, te zostawia specjalnym podręcznikom, niczego przecież nie pomija cokolwiek zasługuje na uwagę, co wyciska na miejscowości charakteryczne piętno. Ukazuje po kolei kościoły, szpitale i szkoły, rozmyka drzwi muzeów i bibliotek, daje poznać każdy gmach historyczny i przemiany jego w pasmie wieków, każdy nowy i dawny teatr— zatrzymuje się przed każdym pomnikiem, oprowadza po skwerach, ogrodach i cmentarzach. Co nas szczególnie uderza, to obraz życia paryżkiego, skreślony jaskrawo, nieraz wesołym zaprawny humorem. Przebiega autor z turystą wszystkie zakątki miasta tranwajem lub omnibusem—parowym statkiem na Sekwanie lub też koleją obwodową. W długim szeregu rodzajowych obrazków, maluje życie tutejsze w najrozmaitszych jego objawach, to na przedmieściu arystokratycznym S-o Germana, to na

błyszczących bulwarach, to w starem gnieździe mieszczaństwa u bramy św. Dyonizego, to w gwarliwym świecie przekupek na wielkiem targowisku, to w gwarliwszej dzielnicy Jacińskiej, w tłumie przyszłych prawników i medyków pod cieniem odwiecznej Sorbony, to u warsztatów robotniczych na przedmieściu S-o Antoniego, to w ciemnych zaułkach gałganiarzy i żebraków. Wszystkie te obrazki powleczone właściwym kolorytem, tchną pełną życia prawdą a staranna ilustracja tem silniej wraża je w pamięć czytelnika.

W innym albumiku, równie ozdobnie wydanym, p. t. z Hawru do Cherburga, pan Chmieleński przebiega malownicze wybrzeża normandzkie. Wyborny to przewodnik dla tego rojowiska, co wygnane z wielkich miast letnim skwarem, pragnie orzeźwić pierś żywotnem tchnieniem oceanu. Higieniczne względy, a w części moda przepędzenia lata nad morzem przeistoczyły całkiem od pół wieku wybrzeża Normandyi. W ubogich niegdyś osadach rybackich, wyrosły niby z pod ziemi wytworne wille, hotele i kąpielne zakłady. Szereg tych zakładów bardzo długi, rozmaitość ich wielka. Do każdego z nich wprowadza autor, idąc za tym przewodnikiem, turysta wie, gdzie się zatrzymać, gdzie szukać odpowiedniej sobie przystani. Tym, którzy pragną gwaru i silnych wrażeń stawia przed oczy Havre, ukazując olbrzymie statki transatlantyckie, wpływające do portu, gorejące światłem elektrycznem, oznajmione zdała przeraźliwym pogwizdem syreny. Obok tych czarodziejskich pałaców nawodnych, inne jakże odmienne, przyplływają z Hamburga; przewożą do Ameryki tłumy dobrowolnych wygnańców w łachmanach, ulaknionych pracy i chleba!

Przed oczyma niesytych zabawy turystek, roztacza autor stacją Trouville, pełną blasku i wytwarności. Miłośnikom sportu ukazuje Danville, uprzywilejowaną arenę barców konnych. Archeologom zaznacza średniowieczne miasteczko Dives, z kąd Wilhelm Zdobywca pomknął z chmarą Normandów na podbicie Anglii, i odwieczny gród Caen, pełen pomników naukowych. Spokojnym rodzinom, szukającym zdrowia i ciszy, zaleca szereg stacyi na wybrzeżu

Czasami jednak tę ciszę zamąci jakiś nadzwyczajny wypadek. Tak było w Lue roku 1885. W poranku rybacy spostrzegli łódź bez sternika i wiosła, zmierzającą do lądu. Był to olbrzymi wieloryb, długi dwadzieścia metrów. Z kąd przybył niewiadomo, fala wyrzuciła niezwygłego na brzeg morski.

W odwiecznem mieście Bayeux wskazuje znów autor ślady Wilhelma Zdobywcy. Muzeum tutejsze przechowuje ogromne płótno, na którem małżonka pogromcy, księżna Matylda, wyszyła różnobarwną wełną całą historią dokonanego podboju. Prawdziwa ta osobliwość — płótno długie na siedemdziesiąt metrów — obejmuje tyśiąc dwieście pięćdziesiąt figurek konnych i pieszych.

Zakończa autor opisem wojennego portu Cherburga. U przystani ukazuje konny posąg Napoleona I-go. Na granitowym postumencie wyryty napis: „Postanowiłem odnowić w Cherburgu starożytne cuda egipskie“. Cesarz w tradycyjnym kapeluszu lewą ręką wstrzymuje rącego bieguna, prawą podniósł w górę, wymierzył ją groźnie przeciw Anglii.

Pan Chmieleński, zachęcony uznaniem, jakie znalazły jego Albumy, przysposabia w tym roku nowy przewodnik po górach Auvergnii. O ile wiemy zamierza opisać w ten sposób wszystkie strony Francji od oceanu do morza Śródziemnego, od Alp do Pirenejów.

Wyszła świeżo z druku pod firmą Perin powieść królowej rumuńskiej (Carmen-Sylva), pisana w kollaboracyi z panią Krumholz, przełożona z języka niemieckiego. Tytuł powieści *A s t r a*. Rzecz się dzieje na Bukowinie, w zamożnym domu rumuńskim. Celem autorki było: wykazać loicznie szeregiem faktów, w jaką przepaść pogrążyć może rodzinę filozoficzna jednego z członków, która czyni człowieka nieodpowiedzialnym za własne czyny, dowodząc, że wola ustąpić musi przed potęgą uczucia. Dramat przeprowadzony z wielką siłą, walka uczucia z powinnością w sercu młodej kobiety oddana z głębokim poglądem psychicznym. Słowem: powieść cała doniosłością moralną przewyższa nieskończenie dzisiejsze francuskie utwory, w których badania psychiczne tak wielką odgrywają rolę.

Słynny okulista dr. Ksawery Gałęzowski otrzymał świeżo dowód uznania od Towarzystwa malarzy francuzkich. Prezydent tego stowarzyszenia wręczył mu bardzo piękny medal pamiątkowy, chlubne świadectwo posług lekarskich, oddawanych od lat wielu artystom.

Medal wyrobiony ze srebra (viel argent): po jednej stronie biust Barona Taylor, założyciela Towarzystwa, po drugiej wieniec z wawrzynu, wykonany płaskorzeźbą. W pośrodku napis: *Doktorowi Gałęzowskiemu świadectwo wdzięczności*. Wokoło wieńca inny napis: *Towarzystwo artystów, malarzy, rzeźbiarzy, architektów, rytmowników i rysowników*.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE

Marya.—Z dziejów boleści. Nowelle. Warszawa, 1890 roku.

Każdy kryptonim niecierpliwi krytykę. Oczywiście, utwór związany jest z człowiekiem jak owoc z drzewem; łatwiej nam sądzić o owocu gdy znamy drzewo z jakiego pochodzi. Częstość gatunek jest dobry, a owoc lichy; ano, to wypadek, dla wytłomaczenia którego szukamy przyczyn. Innym razem, na odwrót jakiś pojedynczy owoc tak nam zaimponuje smakiem, że nie znając drzewa, domyślamy się jakiegoś osobliwego gatunku,—aż i to wypadek. Jesteśmy i obecnie wobec podobnego zagadnienia. *Marya*, cóż to jest? Prawie tyle co nic, firma na giełdzie literackiej nie znana. Czy to gwiazda wschodząca, czy zachodząca? Przynajmniej kobieta. I to kto wie. Małoż się kryło kobiet pod znaki męskie? Słowem, autora nie znamy wcale. Są zapewne, co znają; ale trudnoż każdemu urządzić na swój pożytek policję literacką. Szanując i n c o g n i t o autorskie, zwracamy się więc jedynie do zasługi autorskiej złożonej w książce.

Są to tylko dwie, tak nazwane nowelle, z których pierwsza „Wyrobownicy pióra“ rozpoczyna od samego cechu, bo przedstawia lament nad stanem literackim. Jednego z męczenników tego stanu, spotykamy już na cmentarzu; z tym zatem sprawa krótka. Przeznaczony z natury i uzdolnienia do zawodu wyższego w ruchu umysłowym, złamał się pod ciężarem obowiązków rodzinnych: zamiast kroczyć po szerokim gościńcu dziejowym, jak sobie od młodości założył, zjechał na wyrobownika gazeciarskiego, dla chleba zapracował się na śmierć, osierocił rodzinę, a nadto dał powód nowemu męczeństwu.

Świetny bowiem jego pogrzeb, z wieńcami, mowami, muzyką, zawrócił głowę małemu chłopcu, synowi powązkowskiego grabarza. Tak mu się podobała cała ta parada cmentarna, że zapragnął zostać „wielkim człowiekiem“ (czytaj, literatem), ażeby mieć taki pogrzeb. Mrzonka ta była zgoła przeciwną zdaniu ojca, kulawy też Franek udał się pod opiekę starego żebraka, wykolejonego aktora, który jednak temu kandydatowi na wielkiego człowieka dostarczył środków

wykształcenia. Franek uczuwał w duszy wielki ogień poezyi; pomiędzy nauką obowiązkową i koropetycyami rzucał na papier myśli swoich tkanek, ale w miarę rozrostu duchowego, ciało jego słabło. Zdołał zaledwie zakochać się (przypadkowo, w córce owego zmarłego literata), wydrukować jeden tomik swoich poezyi, dobrze przez krytykę przyjęty,—i umarł, ale bez świetnego pogrzebu, o jakim marzył całe życie.

Nie wiem dlaczego, ale czytając tę biografię kulawego Franka, nie mogłem jój brać na seryo, ani powziąć sympatyj dla bohatera. Znałem wprawdzie, czy to między kolegami szkolnymi, czy później, wielu młodych chłopców, którzy bez środków, darli się przez życie, strzepy jego zostawiając za sobą, dla nabycia nauki—i często, niestety, padali ofiarą swój miłości i zapału; nie jeden jednak przebrnął i wyszedł zwycięzko. Taki tedy Franek nie byłby osobliwością, tylko pragnąłbym go mieć w innych warunkach, ażeby był rzeczywistym. Sympatyj nie obudza on dlatego, że mu autorka dała za popęd nie bezwiedną i instynktową miłość nauki, ale próżność. Pierwszym dlań popędem, w stanie zupełnej nieświadomości, była nie natura, co to małemu chłopkowi rękę przykładła do drewna by zeń wystrugał obraz Najświętszej Panny, ale widok łechcący miłość własną. W dorosłym to samo przeważa uczucie, nie znać po nim ażeby szedł za pożytkiem dla bliźnich, lecz za hołdem dla siebie. Nie jest to bodziec najszlachetniejszy, lubo częstokroć od działania nieodłączny. Zkąd inąd znowu, to wypromowanie nędzarza na człowieka wysoce ukształconego, w przedstawieniu autorki trąci cudownością. Gdyby wiedziała ile to rodzice zamożni ponoszą trudu i kosztu, ażeby obok wszelkich pomocy przeprowadzić chłopca przez pewną edukację, dopieroby zobaczyła, iż tylko na cierpliwym papierze można ją tak gładko przeprowadzić za pomocą żebraka, i to względnie do chłopca, który gdyby nawet nie był kaleką i suchotnikiem, nie wytrzymałby jednego roku takiego życia na jakie ona skazuje go przez lat kilkanaście.

A teraz, jakąż to idea tego utworu? Widać po nim, że autorka wtajemniczona jest w rozmaite szczegóły odnoszące się do „wyrobników pióra“. Życie pełne kłopotów, prywaty, niedostatek materialny,—wszystko to prawda niewątpliwa, równie jak to, na co ona główny kładzie nacisk; marnowanie sił wyższych na drobiazgi. Lecz co i kogo czyni autorka odpowiedzialnym za taki stan opłakany? Oto rodzinę! W ogóle zabrania literatom powołanym,—wchodzić w związki małżeńskie. Zona, a co za tem idzie, rodzina, dom,—są to te wrogi spokoju i dobrobytu, odrywające myśliciela od pracy właściwej i bezpośredniej, powoli wciągające go, dla zarobku, na drogę fabrykatów pióra. Więc cóż ma robić ten biedny literat, ażeby nie zszedł z drogi przeznaczeniu właściwej? Powinien poprzestawać na kochankach, jak czynią studenci paryzcy, albo zostać ascetą. Wybierajcie. Drugi raz już podobny głos przeciw rodzinie, a za literatami odzywa się

w belletrystyce naszój (Jeske-Choiński, „Kula u nogi“). Ależ to deklamacya! I literat jest wprzód człowiekiem społecznym niż pisarzem, a do wysokiego autorstwa rodzina nie przeszkodziła Mickiewiczowi i Kraszewskiemu, ani Maciejowskiemu i Bartoszewiczowi, mógłby coś o tém i Sienkiewicz powiedzieć i Korzon i Prus i Chmielowski i wielu innych. Poco więc ta przesada? A, że nas wszystkich (bo i o sobie nie zapominam), niebardzo świetnie uposaża literatura, to nie rodzina temu winna, ale ten nasz ukochany ogół, który prace poważniejsze odpycha, a za sieczką literacką przepada; i dlatego to stosunkowo lepiej wiedz się tym, którzy rzną sieczkę, niż tym co chodują ziarna. Spytajcie literatów niemieckich, czy im rodzina przeszkadza być filozofami, historykami, filologami, i t. p., czy im odbiera spokój i dobrobyt. Jeżeli się i u nas zmarnuje jaki wyższy talent,—lubo o takim wypadku nie słyszałem,—to nie rodzina temu winna, tylko lekkomyślna społeczność, lub nareszcie inne zgoła okoliczności, na co jednak autorka uwagi wcale nie zwróciła. Pomiedzy témi zmarnowanými najwięcej jednak znajdują się ci o zdolnościach anemicznych, nie mistrze powołani z góry, lecz prawdziwi „wyrobnicy pióra“, którym, jak owemu Frankowi, więcej chodzi o paradę, niż o wartość gruntowną.

„Wyrobnicy pióra“, prócz dość żywo nakreślonej figury wykołejonego aktora, a następnie żebraka, Jana, jest to utwór tak mizerny, iż obudził we mnie co do uzdolnienia belletrystycznego autorki wątpliwość, któraby pozostała, gdybym był nie przeczytał drugiej nowelli „Czarne rękawiczki“. Utwór to zgoła odmienny od poprzedniego. Tam autorka kreśliła ludzi z domysłu i powierzchownie. Rodzina i chata posługacza pogrzebowego, całe to otoczenie Franka, równie jak jego wychowanie i romans z córką literata, wszystko to zimna fantazyja, pozbawiona plastyki, oparta na jakiejś bardzo chyba przelotnej obserwacji, a przeto nie przemawiająca do czytelnika. Tu na odwrót, widać, że autorka zna dobrze świat, w którym się jej relacya obraca i głębiej sięga w naturę ludzi. Są to dzieje miłości, niby tak oklepane, ale, mówcie sobie co chcecie, surowi mentorowie literacy,—zawsze w powieści najpożądanwsze, zawsze nęcące jak wiecznie też sama, a wiecznie nowa zieloność lasów, szmer potoków, gra barw podświetlonych. Czém słońce dla natury, tém miłość dla człowieka; niedziw, że wszystko ciągnie do słońca, do miłości, do wiosny życia. Czy nie uważacie tego, czytelnicy, że im więcej tych barw wiosennych w powieści, tém ona was więcej do siebie przykuwa. Dlaczego? Bo to właśnie analogia z wiosną w naturze, z tym waszym zachwytem, z tém oczekiwaniem, z tą chwilą, która budzi fizyologiczne wrażenia najrozkoszniejsze. Niedługoby pożyła powieść zimowa, na tle starości, o wrażeniach ograniczonych i suchych, albo zgoła pozbawiona miłosnego słońca.

I tu oto, kiedy młody jeszcze człowiek, samotny w wigilię Bożego Narodzenia, w żałobnym usposobieniu, broni się przed jakimś

wspomnieniem, zakrywa oczy ażeby nie dostrzegł widma wyobraźni, czujemy interesującą zapowiedź tajemnicy serca i pytamy z zajęciem, dlaczego on tak odpycha to widmo, które jednak gwałtownie pociąga go ku sobie. Posłuchajmy go. — „Ta kobieta była przy mnie, — opowiada, — płonąłem pod jej spojrzeniem, słyszałem szelest jedwabnej jej sukni, czułem delikatną woń jej koronek, ona nachylała się ku mnie, jej gorący oddech mieszał się z moim .. w szalonej tęsknocie wyciągam ku niej ramiona, ona wolno, bardzo wolno wysuwa ku mnie swą rękę... Boże!.. ręka ta, czarna jak ręka szatana... ręka ta strojna w długą czarną rękawiczkę!.. Nie! nie chcę tej kobiety!.. nie chcę tej ręki!.. nie chcę tych oczów!.. nie chcę tego wspomnienia!.. Naprawdę! Czuje jak czarny wąż ten otacza moją szyję i ścisła mnie mocno na kształt żelaznej obręczy“. Musiała ta kobieta o czarnej rękawiczkce wiele zawinić młodzieńcowi, który ją dziś odpycha i przeklina, a jednak widocznie, pomimo iż mu złamała życie, kocha zapamiętała. Kto ona więc jest? i jaką rolę w tém rozdarciu serca odgrywa owa czarna rękawiczka?

Wszystko to ze szczegółami odbijającemi życie świata salonowego, zadługo byłoby opowiadać. Główny interes zwraca się na młodą kobietę, wdowę, niby jedną z tych uroczych a złośliwych czarodziejek legendowych, których zadaniem usadzać się na zgubę mężczyzn. Pełna demonicznych przymiotów, młoda, swobodna, zamożna pani Stefania, pociąga za sobą tłumy żądne wrażeń i z pośród motylów wirujących około jej piekielnego blasku wybiera sobie od czasu do czasu ofiarę. Czy stara się przy tym trybie zachować jakieś pozory chroniące część kobiecą? Bynajmniej, gra ona w otwarte karty, wszyscy ją mają za salonową wietrznicę, z której bucha żądza użycia wszelkich przyjemności i rozkoszy świata, w liczbie których i sensacyjne miłosne zajmują właściwe miejsce; wszyscy wiedzą, że jej uśmiech, czy łza, są tylko fałszywą monetą zalotności; nikt jej też z mężczyzn nie szanuje, w gronie poufnem młodzież nadaje jej ubliżające miano Stefki, ale to nie przeszkadza ubiegać się za nią. Magnetyczną siłą istot nastrojonych erotycznie wciąga ona w swą atmosferę nie tylko niedoświadczonych, ale i ostrożnych. Widzimy ją w powieści jak łamie życie młodego artysty, którego, pobawiwszy się czas jakiś jego uniesieniami, porzuca, pozostawiając na łup tęsknocie a następnie śmierci. Nie ten jednak wypadek stanowi sół opodania, byłby on zanadto pospolitym. Stefania ma się zmierzyć z przyjacielem zmarłego, Henrykiem, człowiekiem starszym i poważnym. Świadomy romansu przyjaciela, którego pogrzebał i opłakał, znał on doskonale wartość kobiety, która mu go porwała, tajemne bowiem ich schadzki odbywały się w jego mieszkaniu; dzięki tylce dyskrecyi przyjaciela i własnej, nie znał ani jej osoby ani nawet imienia. Za cały ślad tego stosunku pozostała tylko w jego mieszkaniu woń fijołków, snadź używana przez odwiedzającą. Dziwna rzecz jednak, lubo psychologicznie najprawdziwsza, Henryk, pomimo

calego wstrętu i pogardy jaką powziął dla tój nieznanomój, już wtedy miał do niój jakiś głuchy, niewytłumaczony pociąg, który autorka bardzo delikatnie zaznacza. Artysta prosił go przed śmiercią o odesłanie jój, przez pośrednictwo osoby trzeciej, pozostawionych raz na schadzce rękawiczek, co Henryk skutecznił tylko w połowie. Dlaczego nie rzucił tego przedmiotu przypominającego osobę wstrętną? Dlaczego, odsyłając jedną, zatrzymał dla siebie i starannie ukrył we własnym biurku, drugą rękawiczkę? Z tego nie tłumaczy on się inaczej, tylko:— „Nienawidziłem tój kobiety, nie mogłem myśleć o niój bez gniewu, a jednak nie chciałem się rozstać z przedmiotem, który do niój kiedyś należał!“ Rzecz na pozór błaha, ale tylko dla patrzących powierzchownie, w gruncie, takie drobne rzeczy są symbolami głębokich tajemnic serca. Przechowanie tego nędznego przedmiotu znaczy, że Henryk już był zajęty tą kobietą nieznaną, niewidzianą; znamionuje mistyczny z nią jego duszy związek. Czy tego związku nie można wytłumaczyć realniej? Czemu nie? Ta kobieta udzielała się jemu przez pośrednictwo trzeciego, jego wyobraźnia odczuwała zachwyty przyjaciela, on myślą uczestniczył w ich schadzkiach, których przebieg przenikał, może zazdrościł; następnie widział rozpacz przyjaciela; dawała mu wyobrażenie potęgi, która taką rozpacz pobudzić zdolna. Nienawidził, ale nienawiść sama świadczy przeciw obojętności; od nienawiści do rzucenia się na kolana czasami chwila tylko. W każdym razie samo przechowanie przedmiotu dowodzi, że Henryk nie jest tym zimnym mędrcom, dla którego rozum tylko prawem; ani ślamazarnym filistrem, obcym wszelkim poruszeniom natury subtelniejszej. To marzyciel wrażliwego serca.

Zapewne, gdyby Henryk zobaczył Stefanię bezpośrednio po katastrofie, nie obeszło by się to bez gwałtownego bicia serca; ale charakter mężki utrzymałby je na właściwym punkcie. Lecz on spotkał ją, jako zgoła nieznaną, dopiero w sześć lat później. Stefania nie jest wyzutą ze wszelkich uczuć człowieczeństwu właściwych. I na nią przypadają chwile refleksyi, wejścia w siebie, żalu nad życiem, którego wartość ocenia jój rozum. W jednę to z takich chwil spotkał ją, niewidziany, samotną w Krynicy, nocną porą na górze, kiedy przed statuą Najświętszej Panny, zamysłona, kajała się i westchnieniami wyrażała gorujące w niój na tę chwilę uczucia. Zjawisko to oddziaływało na duszę romantycznego młodzieńca, ale nie miało żadnych bezpośrednich następstw. Ponowiło się ono zimową porą w Warszawie, lecz w innej już postaci. Było to na publicznym balu, gdzie owa samotnica z Krynicy, błyszcząca całym wdziękiem światowej kobiety, rozlewała uroki razem z ogniami swych diamentów, otoczona gronem mężczyzn,—kobiety, oczywiście trzymały ją zdala od siebie. Tu Henrykowi okazała się ona w prawdziwym swym charakterze zalotnej wietrznicy, wylanęj na przyjemności świata. Przy osobistym poznaniu nie ukrywała chęci zwabienia go sobie, czemu też on pod urokiem nie opierał się bardzo; widocznie wyróżni

ła go nawet, tak, że niebawem filozof ten, liczący na swój charakter i rozum, sam nie wiedział kiedy dostał się pod wpływ czarodziejki, a pociąg nieprzezwyciężony, podsycany schlebaniem miłości własnej, wyrodził w Henryku optymistyczny pogląd na jej sprawy. Dla niego porzuciła ona wszelkie stosunki lekkomyślnie zawiazane, wykreśliła z postępowania wszystko co ubliża godności kobiecój, on jeden pozostał całym jej towarzystwem. A więc, rozumował sobie,—to tylko zepsute dziecko, które się pod dobrym wpływem poprawi; przez miłość da się poprowadzić na inne drogi, ukocha co kochania godne; będą szczęśliwi razem.

W tej myśli, i zbyt uczciwy ażeby stawać w roli szczęśliwego bałamuta, do czego postępowanie Stefanii zupełnie go upoważniło, Henryk ofiaruje jej swą rękę. Ale jakież bolesne jego rozczarowanie! Ona ją odpycha małżeństwo, to więzy; a ona nie może się wyrzec swobody, zerwania się za byle zachcianką. Im szlachetniej w imię miłości swój i ogniska domowego przemawia Henryk, tém ręką jej trzymana w jego dłoniach chłodnieje, a tém więcej czaruje go powabna postać. „Piękna pani chce miłości, lecz boi się niewoli i panią Stefką nazawsze pozostanie!“ Tak brzmiały ostatnie słowa jej stanowczej odpowiedzi. Wtedy to przychodzi na myśl Henrykowi porównanie tej kobiety z ową o czarnych rękawiczkach i losu swojego z losem przyjaciela. Tęższy charakter wstrzymuje go od poddania się kaprynowi, ale niemniej cierpi on na tém zerwaniu, szuka przedmiotu swych marzeń, goni skrycie w jego ślady. Przypadek nastęrcza mu sposobność ocalenia życia Stefanii i wykazania jej zarazem całej nikczemności stosunków dla których go poświęciła. I znowu następuje pomyślny zwrot w jej usposobieniu, dzięki przedłużonej chorobie, zwrot, który słabnie i znika razem z powracającym zdrowiem i niszczy bezpowrotnie wszelkie nadzieje Henryka. Aż nareszcie nieszcześliwy ten kochanek przekonywa się faktycznie, że ta, dla której serce jego tyle pracuje i boleje, jest właścicielką rękawiczki tak szczerlnie przechowywanej w jego biurku. Okropność!

Po tém odkryciu Henryk już nigdy więcej nie wróci do tej hańbiej kobiety, ale też i pogoda nigdy nie wróci do jego duszy. — „Nie dla mnie, powiada, już to spokojne domowe szczęście! Serce moje zabrane ręką istoty, która teraz wesoło buja po świecie. Na progu mego domu stoi czarna, wyniosła postać, której zapomnieć nie mogę i nie zapomnę nigdy!“

Streszczenie tej historii już do pewnego stopnia wykazuje jej wartość, autorce bowiem wypadki służą zarazem za materyał do rozbioru uczuć i charakterów ludzkich, tak, iż każde zdarzenie, każda sytuacja jest tutaj prawie zawsze symbolem nastroju psychicznego i dlatego, ażeby utwór autorki w należytem świetle przedstawić, żadnego niemal wypadku nie godzi się pomijać. Niema tu wreszcie nadzwyczajności żadnych, autorka starała się pozostać w granicach powszedniego biegu naszego towarzyskiego świata, coś niecoś zale-

dwie przypożyczając ze sfery romantycznej, a przeto nie dość łatwo wytrzymującej próbę rzeczywistości. W urządzeniu sceneryi są szczegóły stanowiące fundamenta budowy, a bardzo słabo motywowane. Autorce widocznie chodziło o powieściowy efekt „czarnych rękawiczek“, który na samym końcu zwłaszcza błysnąć miał niby bukiet fajerwerkowy. W tym celu potrzeba było ukryć przed Henrykiem, aż do imienia, osobę Stefanią, a coś mu jednak z niej pozostawić, zainteresować go ku niej. Naznacza ją więc schadzki z artystą Janem w mieszkaniu Henryka. Łatwiej napisać niż przypuścić podobną kombinację; i przyznam się, że zgoła jej w pospolitem życiu nie rozumiem, uważam nawet za zuchwalstwo w złym guście, propozycję tego rodzaju czynioną przyjacielowi, a łatwość w zadosyć uczynieniu jej za niezgodną z poważnym charakterem Henryka. Któż to z porządnych ludzi pozwala mieszkanie zamieniać na bezpłatne miejsce schadzki? Wreszcie dźnać się mogą rzeczy najmniej nawet przypuszczalne, tylko trzeba je przypuszczalnemi przez motywa uczynić. Taką jest też nadludzka dyskrecya Henryka. Tysiąc innych na jego miejsce nie wahałoby się zajrzeć w oczy tej istocie, która go pozbaawiła przyjaciela. Przeciw tej pokusie bronił się on honorem, dopóki i w niej przypuszczać mógł jakiś honor. Ale rzecz się zmienia, gdy po śmierci Jana odnosi rękawiczkę jakiejś rajfurce, miłośnej pośredniczce, pięknej pani. Jejmość ta pyta go: od którego to?... rozumie się, kochanka. Sam on sobie komentuje doniosłość tego zapytania, pyta się w duchu: wieluż więc ich było? Tu już potrzeba dyskrecyi nie ma racyi bytu, jedno słowo, a Henryk wiedziałby z kim ma do czynienia; kto wie, czy nie powinien wiedzieć. Tylko, że ta zbawienna ciekawość, podcięłaby zgoła skrzydła powieści, nie byłoby jej, uratowała ją dyskrecya prawie niemożliwa. Owoż fundamenta te grzeszą słabością; zamierzony zaś efekt rękawiczkowy chybia zupełnie; autorka nie potrafiła użyć go tak zręcznie i tajemniczo jak Hajota swojego „Wachlarza“, który istotnie dopiero w ostatniej chwili odkrywa wielką a najmniej oczekiwaną zdradę kobiety. Tymczasem tu, nietylko czytelnik z góry wie całą tajemnicę, ale przy niej domyśla się, iż „czarna rękawiczka“ przeznaczoną jest do odkrycia jej przed Henrykiem, następującego wtedy, kiedy on dawszy już zupełnie za wygraną, na tém odkryciu prawie nic nie korzysta, ani traci. Efekt byłby istotnie znaczący, tragiczny, gdyby Henryk ożenił się naprzód ze Stefanią, jak chciał, a po ślubie przyszedł do odkrycia, lecz autorka nie chciała go gubić. W takim razie, odkrycie mogła przyśpieszyć, zaraz po zjawisku w Krynicy, lub w jakiegokolwiek późniejszej okazji, a nie byłoby różnicy w efekcie.

Jakkolwiek rażą te niezgrabności techniczne, schodzą one jednak na drugi plan jeżeli zwrócimy uwagę na rzecz główną, czyli na istotę ludzi i rzeczy. Czy w tych, czy w innych warunkach możliwości, faktem jest, że ta kobieta bez serca, bez czci i wiary, wywiera urok stanowiący o życiu lub śmierci mężczyzn; kobieta nie mająca za sobą

nic prócz form cielistych i zalotności; kobieta, tém prawdziwsza, że niekoniecznie zła, mająca nawet chwile samokrytyki i żalu, lecz w gorączce próżności i zadowolenia popędów niższych, tracąca zmysł prawości i gotowa bezmyślnie posunąć się aż do zbrodni. Faktem jest że takie kobiety, bezpieczne dopóki trafiają na próżność męzką i cynizm sobie podobny, przynoszą nieszczęście w oddziaływaniu urokiem swym na charaktery naiwne i prawe, które łatwo ulegają ułudzie. Fakty te są tu zaznaczone ze znajomością zarówno natury kobiecej jak i męskiej, stopniowane i urozmaicone interesująco, tak, iż te „czarne rękawiczki“ śmiało uchodzić mogą za pewne studyum psychologiczne umysłu poważnego, a przewleczone pewną niecią poezji. Ze względu, że autorka jest nieznaną, a prawdopodobnie początkującą, uważaliśmy za właściwe szczegółowiej tę pracę jej roztrząsnąć.

Kaź. Kaszewski.

W roku 2000 (Looking Backward. 2000 — 1887). Powieść Edwarda Bellamy.—Tłomaczył z oryginału I. K. Potocki. Warsz. 1890, str. 332.

Bellamy Edward. W wieku XXI. Spolszczył K. O. R. Kraków 1890.

Każde stulecie miało swych marzycieli — idealistów, pragnących doprowadzić ludzkość do takiego stopnia rozwoju i doskonałości, aby, wedle słów Pisma, bez względu na rasy i obszary przez nie zajmowane, zamieniła się w jedną wielką owczarnię. Nie ma i cieuią ironii w tém powiedzeniu; bratnie zespolenie ludów pod skrzydłem jednej wiary, rządzących się jednemi ustawami, doprowadzonymi do zenitu rozwoju i ulepszeń na korzyść ogółu — poruszało i porusza dotąd nietylko mózgi półmędrków, ale i umysły niepospolite, — ludzi, którzy, gdyby ich władze umysłowe rozwijały się były prawidłowo, mogliby przynieść ludzkości nieobliczone korzyści, położyć niespożyte zasługi.

„Utopią“ też nazwać musimy książkę E. Bellamy'ego, która znalazła w języku polskim aż dwa i równoczesne przekłady: w Warszawie i Krakowie. Przekład p. I. K. Potockiego nie odstępkuje nigdzie od oryginału angielskiego; przekład zaś p. K. O. R. jest nieco uszczuplony. Nie znajdujemy w nim przedmowy od sekcji historycznej w uniwersytecie bostońskim z datą 28 Grud. r. 2000, (u I. K. Potockiego str. 1—7) oraz rozdziału, w którym bohater powieści objawia swoje poglądy na losy ludzkości, brak również końcowego ustępu i rozdziału, w którym przewodnik bohatera, dr. Leete, wyjaśnia mu położenie partyi robotniczo-politycznych w sprawie przełomu społecznego. W ten sposób czytelnik przekładu krakow-

skiego traci możność poznania przekonań autora, nacechowanych utopijnością, przypominającą Tomasza Morusa, kanclerza angielskiego za Henryka VIII o na początku wieku XVI-o, („Utopia“), Stefana Cabeta (ur. 1788—1856) z jego „Voyage en Icarie“ i w. i., którzy z imię dobra publicznego odwoływali się do filantropii i dobrych serc mieszczaństwa, zapominając do pewnego stopnia o interesach materialnych rozmaitych warstw społecznych. Tłumacz zapewnia, iż wszystkie opuszczenia, razem wzięte, wyniosą około 12—17 str.,—„uszczerpnięcie ilościowo nieznaczne, lecz jakościowo — pożyteczne“, na co się jednak zgodzić nie możemy już choćby z samego szacunku dla autora, którego pracy amputować nie mamy prawa.

W miarę wzrostu i rozwoju cywilizacji, a tḗm samḗm i poczucia godności osobistej w tłumach—rosło i niezadowolenie ich z dotychczasowych ustaw społecznych, w których ulepszenia pewne zółwim krokiem i w homeopatycznych dozach zaprowadzano; w miarę zaś coraz szerszego zastosowywania wynalazków w dziedzinie mechaniki i technologii w przemyśle, a tḗm samḗm obniżki wynagrodzeń za ręczną pracę i zmniejszenia zapotrzebowań rąk, które maszyny zastąpiły — wytwarzały się całe zastępy głodnych i bezdomnych, obarczonych rodzinami, które, bądź co bądź, wyżywić należało. Gdy nareszcie kapitał, zgromadzony w rękach garstki, solidaryzujących się ze sobą dla obracania nim spekulantów, przestał być środkiem zasilającym przemysł, rzemiosła, nauki, sztuki i t. p., a stawszy się środkiem ucisku, osaczył zupełnie nie tylko narody całe ale i rządy nawet i to tak dalece, iż może kłaść swe nieubłagane *veto* w każdej sprawie ogólnej doniosłości—tu i owdzie rozdrażnienie mas ujawniało i dotąd ujawnia się peryodycznymi wybuchami, po których tḗm silniej znów występowały żywiły reakcyjne.

Gdy propaganda, zachęcająca wprost do burzenia siłą społecznego porządku, okazała się niepraktyczną, bo liche zawsze przynosiła owoce — rzucono się do przedstawiania pożądanych ulepszeń w teorii — zaczęto opisywać społeczeństwo takie, jakieby socjalistyczni myśliciele widzieć i mieć chcieli.

Dla skutecznego zaszczepienia w tłumach nowych idei i pozbawienia ich suchości wykładu, weszło dziś w modę osłaniać je szatą fantastycznych opowieści, tak jednak pisanych, aby miały za sobą pozór prawdy i rzeczywistości. Wdzięczny sposób popularyzowania nauk ścisłych i budowania całego szeregu najśmielszych hipotez, na tle rzekomych, co raz to nowych wynalazków, przedsięwzięty przez głośnego Juljusza Verne'a, znalazł potem echo w gryzących satyrach, z których niepoślednie zajęła miejsce. „Paris en Amerique“ Robidy — praca z wielką werwą i talentem napisana.

Z powodu, że Ameryka, bądź co bądź, przoduje cywilizacji — ku niej tḗż zwrócili się naśladowcy owego satyryka — ku niej i E. Bellamy, którego najnowsze dzieło przyswoił nam p. Potocki i p.

Ale oto kilka wyjątków z treści:

Młody amerykańkanin bostończyk, Julian West, niemal w wigilią ślubu z Edythą Bartlett, cierpiąc na bezsenność, dzięki jakimś hipnotyzerowi, w sypialni, urządzonej pod drzewianym domem, wpiwnicy, zasypiał snem sprawiedliwego. Tylko służący Westa wiedział o sposobie budzenia pana i o jego tajemnicy. Ów bostończyk zasnął, miał rokoszne halucynacje i gdy nareszcie zbudził się, znalazł się w domu obcym, otoczony rodziną, jak się później dowiedział, lekarza Leete. Wytlómaczono mu, że właśnie, gdy kopano w ogrodzie fundamenta, natrafiono na sklepienie jego piwnicy (działo się to w r. 2000, zatem w 130 lat po zahipnotyzowaniu Westa) — że lekarz obudził go, i z ciekawością oglądał okaz człowieka z przed półtora wieku. Tu West, dowiedziawszy się, że jest niemal u siebie, zapytuje o mnóstwo rzeczy, dotyczących nowego społeczeństwa i dowiadyuje się, że społeczesne mu znikło bez śladu, wraz z instytucjami, formą rządu, armią, przemysłem, naukami a nawet z systemem monetarnym, wpływem kapitału, wyzyskiem pracy i t. p.

W r. 2000 w Bostonie i na całej ziemi, wszystko jest własnością wszystkich, praca obowiązkową — jej wytwory oparte na handlu zamiennym między magazynami *vulgo*, składami narodowymi, zasilanemi z fabryk narodowych i t. d. Zniesienie własności prywatnej usunęło chciwość i złagodziło obyczaje tak dalece, że $\frac{9}{10}$ zbrodni z końca XIX-go wieku nieznane są ludzkości, a part uaturalnie idealne ulepszenia i dobrobyt, o jakich my pojęcia nie mamy — żyje patryarchalnie: kobiety wychodzą za mąż z miłości tylko, z własnego wyboru, są czczone i szanowane, a pracują wedle sił, jak i mężczyźni, z wyjątkiem tylko chwil tych przypadłości, któremi je natura uposażyła. Autor przyznaje, że czasem zdarzają się występki, ale to są białe kruki tylko. Nad wszystkim panuje miłosierdzie bez granic — uszanowanie wzajemne godności ludzkiej w jednostkach i t. p. Szkoda tylko, że nie powiada, jak w 130 latach mogło to wszystko powstać z naszych stosunków — jakim sposobem setki milionów azyatów, afrykanów, australczyków, dzikich wyspiarzy i indyan amerykańskich, zdołano po szczeblach cywilizacji doprowadzić do takiego ukształtowania się we wzorowe społeczeństwo.

W r. 2000 rywalizacja w pracy i bodziec w niej, to wysokie poczucie honoru, marzenie o zaszczycie zasiadania w radzie najwyższej narodu, lub w delegacji międzynarodowej. I tu jest właśnie słaba strona pracy p. Bellamy — już bowiem sama ta rywalizacja wytworzyłaby nusiała też same niskie popędy co teraz, te same występki i zbrodnie.

P. Bellamy jest dowcipnym czasami, zawsze poprawnie się wyrażającym pisarzem, pełnym bujnej wyobraźni, ale o psychologii i fizyologii bardzo słabe ma wyobrażenie — zato posiada wielką zręczność w omijaniu drażliwych punktów wyjaśnień, które ów lekarz Leete

daje Westowi. Opisując mu np. na kilku zaledwie kartkach stanowisko kobiet, pomija zupełnie zadziwiające objawy fizjologiczne, jakie obecnie nauka w nich odkrywa — pomija cały szereg przypadłości czysto fizycznej natury, które tak ważną w czynach płci nadobnej odgrywają rolę — pomija też wogóle wpływy ras, warunków klimatycznych, stref na ziemi, słowem wszystkie czynniki zewnętrzne a stanowczo przeczy dziedziczności — usiłuje przekonać, że 130 lat wystarcza, aby ludziom nalać innej krwi w żyły, na podstawie innych pierwiastków i innych ciał chemicznych oprzeć ich cielesną budowę... A wszystko to nie przeszkadza autorowi, obok mrówczej, wspólnej pracy na rzecz ogółu, przedstawić nam tego idealnego (wedle niego) społeczeństwa, tonącego w krańcowym sybarytyzmie, ludzi pracujących umysłowo, zajadających się w narodowych „café restaurant“, urządzonych z wspaniałym komfortem, gdzie każda rodzina ma osobną jadalnię...

I tu także p. Bellamy zapomina, że gdyby wszystkie namiętności wyrwał z piersi swych bohaterów, pozarzynaliby się, walcząc tylko o połędwicę i stare, wytrawne winko, — że szeregowcy pracy, w tej wielkiej armii narodowej, ogryzając *szpondry i taty* wołowe i popijając wodę, choćby tak idealnie wolną od bakteryj jak nasza wiślana, gdy przemknie się przez Koszyki — to i tak jeszcze podusiłoby swych sierżantów, kapitanów i t. d., wiedząc, że zajadają w gabinetach bażanty i popijają Bordeaux lub Lafitte — tém bardziej, że te orgie żołądka odbywałyby się w imię równości i braterstwa.

Mimo to, książkę czyta się z zajęciem, szczególnie, gdy przy końcu znajdujemy znów chwilowy powrót w śnie do starego Bostonu, gdzie katechetyzowana przez Westa rodzina jego narzeczonej i zebrani goście, gdy przemawia do nich w imię Arkadyi XX-go stulecia — okrzykują go szaleńcem. Ten ostatni rozdział opowieści jest nieporównany i wspólnie z pierwszym okupuje pobieżność reszty i rozwiązywanie zagadnień ekonomiczno-społecznych w taki sposób, w jaki, wedle tradycji, Aleksander Macedoński obszedł się z węzłem gordyjskim. Piękny też jest ustęp o szybkości ludzkiego postępu, który autor kończy słowami: „Wszyscy ludzie rozsądni zgodzą się, że obecny stan społeczeństwa brzemienne jest wielkimi zmianami. Pytać się można jedynie, czy będą one ku lepszemu, czy też ku gorszeniu. Ci, którzy wierzą w szlachetność istoty ludzkiej, przechylają się ku pierwszemu pogładowi, ci, którzy przekonani są o zasadniczej jej ujemności, ku drugiemu. Co do mnie, to jestem zdania pierwszego. Looking Backward napisaném było w przeświadczeniu, że wiek złoty przed nami leży, nie zaś po za nami i że jest już niedaleko. Dzieci nasze ujrzą go z pewnością a i my nawet, dojrzali już mężczyźni i kobiety, jeśli nań zasłużymy wiarą naszą i dziełami.“

Wartość w dziełku mają: satyryczno wyjaśnienie (str. 11, 12, 13 i 14-ta) naszych stosunków ekonomicznych — i kazanie M. Bar-

tona, słuchane telefonami przez 150,000 słuchaczy (str. 270 i następne).

Przekład, względnie do trudności, jakie przedstawia składnia angielska, staranny; mimo to czuć można na każdej kartce, jak tłumacz walczył z niemi i niezawsze wychodził zwycięzko. Np. w trzynastu wierszach tylko na str. 78 spotykamy takie obrażające ucho wyrażenia: przyprawiło mię to o... *najistotniejsze*... nudności; mózg mój zdawał się... *tajać*; jeżeli *nie nadejdzie*... pomoc — ale pomoc... *nadeszła*; kiedym posłyszała jęk... *nie mogłam wytrzymać dłużej!*

Przeciw takięj polszczyźnie — stanowczo protestujemy.

G.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Status—quo w stosunkach międzynarodowych. Zjazdy monarchów.—Antyrządowe demonstracje w Portugalii, wywołane upokarzającą ugodą z Anglią w sprawie afrykańskiej. Rewolucya w Bellinzonie, w kantonie tessyńskim w Szwajcaryi. — Mermeix'a „Za kulissami bulanżyzmu (Figaro).—Listy hr. Paryża do senatora Bochera kompromitujący monarchistów.—Trudność porozumienia stronnictwa Staroczeskiego z Młodo-Czechami.—Ks. Sanguszko marszałkiem krajow. w Galicyi. Prof. M. Bobrzyński wiceprezesem galicyjskiej Rady szkolnej.—Zakończenie roku szkolnego w Imperatorskim Uniwersytecie w Warszawie dn. 11-o września r.b.—„O portret ks. Marka, karmelity“.—Statystyka kościołów katolickich i duchowieństwa katolickiego w cesarstwie i Królestwie Polskiem.—Statystyka katolicyzmu w Anglii.—Posiedzenie nadzwyczajne Tow. lit. im. Ad. Mickiewicza we Lwowie.—Poszukiwania archeologiczne p. Godfryda Ossowskiego na Podolu galicyjskiem.—Cenne wykopalisko dr. Henr. Schliemanna w Atenach.—Papyrusy znalezione w Egipcie z fragmentami dzieł Euripidesa i Platona.

W obec zamkniętych od kilku tygodni parlamentów i wakacyi głównych kierowników pracy dyplomatycznej zwolniał widocznie ruch życia politycznego w Europie, a opinia publiczna, pozbawiona zbyt długo bliższego zetknięcia się z organami, wpływającemi bezpośrednio na kierunek rozwoju stosunków międzynarodowych, znużyła się już zanadto fantastycznemi kombinacyami publicystyki, wybiegając często po za obręb sytuacji oddawna mocno ustalonéj. Powtarzające się zbyt częste zjazdy monarchów nie budzą ani obaw poważniejszych ani nadziei gorętszych, bo wszelkie próby jakiegokolwiek nowego ugrupowania potęg politycznych nie mają powodzenia tak, że trzeba wciąż wracać na drogę, wskazaną przez postanowienie trójprzymierza z r. 1879-o. Poza tém odzywają się jednak od czasu do czasu osobne poruszenia interesów państwowych, narodowych i społecznych, które nie są pozbawione interesu ogólniejszego.

Rozruch w kantonie tessyńskim w Szwajcaryi, przypisywany w pierwszej chwili niesłusznie zaborczym zamiarom Crispi'ego, został wprawdzie uspokojony; ale dezorganizując ustawę konstytucyjną skutki jego nie zostały jeszcze usunięte. Rozpędzenie przez stron-

nictwo liberalne konserwatywnego rządu kantonalnego, połączone z zamordowaniem jednego członka rządu prawowitego, uważać trzeba jako czyn buntowniczy, rewolucyjny. Zwierzchniczy rząd berneński, po przywróceniu porządku, powinien był wprowadzić napowrót dawniejszy legalny rząd kantonalny do jego władzy, a sprawcy poprzedniego zamachu publicznego powinni być uwięzieni i wedle przepisów konstytucji karani, poczem dopiero ludność kantonu przez swoje votum sprawę rządową rozstrzygnąć może. Tymczasem legalny rząd kantonalny nie przywrócony do władzy, sprawcy zamachu i mordu chodzą swobodni, a stronnicy rząd berneński układa się z nimi, jako ze stroną reprezentującą naród. Lekceważenie istniejącego prawa jest dla każdego państwa nader szkodliwe, a tym szkodliwsze w kraju takim, jak Szwajcarya.

Jeszcze nie była ucichła ruchawka szwajcarska, gdy wybuchły groźne dla monarchi portugalskiej manifestacje i demonstracje uliczne po wielkich miastach, jak Liczbona, Oporto i. i. Powodem tego w zasadzie antimonarchicznego poruszenia są zbyt uciążliwe warunki, narzucone Portugalii przez Anglią w ugodzie, mającej załatwić spór, wywołany przez politykującego generała portugalskiego Serpa Pinto w południowo-wschodniej Afryce. Anglia, korzystając z długoletniego zaniedbania rządu Portugalskiego w krajach afrykańskich, pozostawionych bez wszelkiej opieki rządu licbońskiego—poczytała te zastrzeżenie za niemające właściciela i postanowiła zabrać je pod swoje panowanie prawem *primi possidentis*, a to dla wyprostowania ogromnego szlaku, mającego połączyć angielski przylądek Dobrej Nadziei z napół już angielskim Sudanem egipskim. Zagrożony przez lorda Salisbury'go zbrojną akcją portugalski gabinet Pimentela, podpisał przedstawiony mu angielski projekt ugody, po wyżebraniu kilku mało znaczących ustępstw ze stron Anglii. Przedstawiony kortexom portugalskim układ ten do zatwierdzenia wywołał wielkie wzburzenie, wskutek którego ministerium Pimentela podało się do dymissyi, a król, poważną chorobą złożony, nie może znaleźć nowych ministrów. Wołanie o odrzucenie traktatu, zawartego z Anglią, przeniosło się z kortexów na ulicę; a chociaż ostatecznie Portugalia musi uleść przemocy angielskiej, ponieważ nie posiada sił dostatecznych dla obrony swoich kolonii. W obec rozbudzonych bezwzględnością Anglii umysłów w Portugalii, zapatrujących się pożądlwie na przewrót rzeczy w Brazylii, może łatwo runąć dynastia portugalska, ustępując miejsca Rzeczypospolitej portugalskiej, co nie pozostałoby bez wpływu na dalsze koleje dynastyi hiszpańskiej a w następstwie i włoskiej, bo idee republikanizmu mają obecnie wśród narodów romańskich dosyć licznych i to poważnych zwolenników.

Idej téj wyświadczył w ostatniej chwili nie małą przysługę hr. Paryża, który w ogłoszonym do senatora B o c h e r'a cynicznym liście w sprawie zbrodniczego znoszenia i łączenia się rojalistów

francuzkich z tak marną osobistością jak exjenerał Boulanger spisującą przeciw Rptéj z każdym, kto go płacił, skompromitował w najwyższym stopniu stronnictwa monarchiczne we Francyi. Nie mamy w tém miejscu dosyć swobody, aby gruntowniej zastanawiać się nad faktyczném i polityczném znaczeniem rewelacyi, które pan Mermeix ogłosił w dzienniku paryzkim „Figaro“ o „zakulisowych robotach boulanżyzmu“; ale na to każdy trzeźwo myślący polityk zgodzić się musi, że ten zakulisowy boulanżyzm jest bardzo smutną, bardzo brzydką ilustracją stosunków przewodniczących w dzisiejszej Francyi osobistości, bez różnicy stronnictw i obozów. W ostatniej chwili donoszą z Paryża, że 80 członków prawicy zamierza zerwać z polityką hr. Paryża i utworzyć grupę republikańsko-zachowawczą. Boulanger grozi Francyi ogłoszeniem odpowiedzi na czynione mu przez Mermeix'a zarzuty w książce p. t. „Prawdziwe kulisy bulanżyzmu“, gdzie jeszcze wielu innych krzykliwych republikańców ma być zdemaskowanych.

Z pomiędzy spraw austro-węgierskich najpilniejszą dotychczas zwracają na siebie uwagę usiłowania porozumienia się stronnictwa Staro-czeskiego z Młodo-czeskiém, które nie obiecują jednak pomyślnego skutku. Organ staro-czechów, praska „Politik“, zastanawiając się nad ważnością chwili dla normalnego rozwoju narodowości czeskiej, pisze: „Rozumiemy trudności, które stoją na przeszkodzie porozumieniu się obu czeskich stronnictw. Możliwoby je przewyciężyć, gdyby interesa stronnictwa zdołano poddać interesom narodu czeskiego, interesom dobra publicznego, interesom ogółu. Młodoczesi posiadają obecnie większość, a z czasem mogą jeszcze bardziej rozszerzyć wpływy swoje. Przypuszczać, iż Młodoczesi w tych warunkach zapanują nad swoją ambycją stronnictwą i nad prywatą, że odtrąciwszy od siebie prywatą osobistą na zawsze poświęcą się całkowicie na usługi narodu, byłoby wystawieniem ich na zbyt ciężką próbę. „Dzisiejsze położenie narodu czeskiego wymaga jednak téj próby. Od tego, czy Młodoczesi wyjdą szczęśliwie z téj próby, zawisła nie tylko pomyślność narodu czeskiego, ale i kwestya dalszego istnienia ich samych. Chodzi więc o lojalne porozumienie się obu stronnictw czeskich, co do wspólnej działalności w sprawie ugody z Niemcami. Widoki konstytucyjnego przeprowadzenia ugody stałyby lepiej, gdybyśmy ułożyli minimum naszych żądań, jakie chcemy postawić rządowi. Wprowadzenia do służby wewnętrznej czeskiego języka, jako urzędowego, nie dosyć przezornie oceniają Młodoczesi. Gdyby to nastąpiło, stworzylibyśmy protest i zapórę przeciw urzędowemu językowi niemieckiemu“.

W Galicyi przesilenie marszałkowskie zostało szczęśliwie zakończone. Cesarz Franciszek Józef przyjął dymisją Jana hr. Tarnowskiego i mianował marszałkiem krajowym Eustachego księcia Sanguszki (ur. 1824), który jako poseł nie usunął się od pracy w komisjach i umiał zawsze interes dobra ogólnego postawić ponad aspiracje stronnictwa lub prywatną i osobistą.

Prof. uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, autor rozgłosznej „Historji Polski w Zarysie“, poseł w sejmie krajowym we Lwowie i delegat do wiedeńskiej Rady państwa, p. M. Bobrzyński, został mianowany vice-prezesem galicyjskiej Rady szkolnej. Na podstawie osobnego rozporządzenia powierzono p. vice - prezesowi nietylko sprawy szkół ludowych i średnich, ale nadto udział w kierownictwie 5-go departamentu namiestnictwa, który obejmuje sprawy szkół przemysłowych, uniwersytetów, politechniki lwowskiej i wyższej szkoły przemysłowej w Krakowie. Zjednoczenie wszelkich spraw szkolnych trzeba uważać za środek bardzo pomysłny dla racjonalnego rozwoju szkół galicyjskich, zwłaszcza zjednoczenie w ręku tak światłego, z administracją szkolną gruntownie obytego, energicznego profesora. Stanowisko prof. Bobrzyńskiego jest nietylko nader zaszczytne i bardzo ważne, ale też nadzwyczaj trudne: otwiera się tu przed p. vice-prezesem nader szerokie pole jaknajważniejszej działalności, w ogóle bowiem, nawet wedle świadectwa miejscowych Dzienników Krakowskich, „w dziedzinie wychowania publicznego wypadnie niejedno naprawić, niejedno na inne zwrócić tory, a przedewszystkiem w cały organizm szkolny, który nie zdołał się jeszcze zupełnie otrząsnąć z dawniej rutyny biurokratyczno-pedantycznej, tchnąć éwieżego ducha, któryby go ożywił, a pracom jego i dążeniom zakreślił szersze widnokregi“. Dotychczasowa działalność prof. Bobrzyńskiego jest zupełną rękojmnią, że i na nowém stanowisku, przy swoich kwalifikacjach naukowych, jako obrońca „idei silnego rządu“, okaże nietylko dosyć woli, energii i inicjatywy, ale i nadto dużo bezstronności i obszerniejszego, górującego nad prowincjonalnym i politycznymi waściami poglądu.

Uniwersytet warszawski. W dniu 11-go września w uniwersytecie warszawskim, w obecności kuratora okręgu naukowego, odbył się akt zakończenia i zarazem otwarcia nowego roku akademickiego. Akt zagaił rektor uniwersytetu, radca tajny Ławrowski, zaznaczając, iż uniwersytet do czasu zatwierdzenia nowej ustawy otrzymuje rs. 15,000 zapomogi na powiększenie składu profesorskiego, oraz, że ministeryum oświecenia wyasygnowało rs. 400,000 na budowę nowego gmachu biblioteki, mogącej pomieścić około miliona tomów. Poświęciwszy gorących kilka słów wspomnieniu zmarłych profesorów: Barsowa, Łapczyńskiego, Neygebaura, Mikuckiego i kustosza Gabinetu Zoologicznego, Taczanowskiego, zakończył przemowę swą zwróceniem się do studentów, zwłaszcza nowowstępujących, o powinnościach studenta i koleżeństwie.

Profesor Azarewicz wypowiedział odczyt „O zachowywaniu praw“, następnie dziekan wydziału lekarskiego, prof. Czausow, odczytał sprawozdanie. Do uniwersytetu w ciągu roku 1889/90 uczęszczało 1,164 studentów, a mianowicie: na wydział lekarski 579,

prawny 389. fizyczno-matematyczny 143 i historyczno-filologiczny 53. Farmaceutów uczęszczało 108, wolnych słuchaczy 10. Ukończyło wydział prawny 87 studentów, lekarski 58, fizyczno-matematyczny 15 tu, historyczno-filologiczny 4-ch studentów, farmaceutów złożyło egzamin 36-ciu. Promowano na kursa wyższe 698 studentów, nie przystępowało zaś do egzaminów 280 studentów. Za nieopłacenie wpisu uwolniono z uniwersytetu 49 studentów i 31 farmaceutów, przestało uczęszczać na kursa 48 studentów, zmarło zaś 6-ciu.

O portret ks. Marka. W Nr. 26 i 27 dodatku literackiego do „Kraju“ podał p. Sulima wiadomość o portrecie słynnego zakonnika, znajdującym się w klasztorze oo. Kapucynów w Zakrocymiu. Na podstawie umieszczonego na rzeczonym portrecie podpisu, p. Sulima wysnuł wniosek, że o. Marek nosił właściwie nazwisko Jandowicz, a nie Jandołowicz, jak dotąd utrzymywano. Wiadomość i wnioski p. Sulimy wywołały następnie dyskusję w tym przedmiocie w Przeglądzie literackim „Kraju“. W dodatku mianowicie do Nr. 31 tygodnika petersburskiego Dr. Antoni J. zbija wywody p. Sulimy w sposób następujący:

„Pan Z. L. Sulima, pisze dr. Antoni J., targnął się na wyjęcie dwóch liter z nazwiska ks. Marka, na tej zasadzie, że pod portretem, дарowanym przez ks. biskupa Beniamina Szymańskiego oo. kapucynom w Zakrocymiu, wyraźnie tak st o i napisano. Z kolei zdaje taką sprawę z malunku (?): „jasny blondyn, z bujną złościstą brodą... włosy na czoło gładko przyczesane“ i t. d. Może to i portret jakiegoś ks. Marka Jandowicza, ale nigdy ks. Marka Jandołowicza — „przeora annopolskiego i plenipotenta prowincyi na wynalezienie nowych fundacyi zakonu karmelitańskiego, dawniej obserwancyi, czynnego podczas konfederacyi barskiej, bo ten ostatni nie nosił wcale brody, głowę stroił w tonsurę... Miałby się z pyszna ów promotor barski, gdyby się zwolennikom swoim w takim przebraniu, jak na portrecie wyżej wzmiankowanym, zaprezentował. Nie należy zapominać, że rzecz się dzieła w połowie XVIII w., na zdzieczalych kresach, zakolonizowanych przez ciemne tłumy drobiazgu szlacheckiego, dla którego forma znaczyła wiele, jeżeli nie wszystko.

Że ks. Marek używał nazwiska z dodatkiem dwóch liter, których go pozbawia p. Sulima, to nie ulega wątpliwości, na co złożyłem dowody w miejscu odnośnym („Zameczki podolskie“, wydanie drugie, 111, 188—195). Zdaje się, że własnoręczny podpis tego cudownego mnicha coś znaczy, a podpisów takich kilkanaście spotykałem w metrykach chrztów śnitkowieckiego kościoła (między 1764, a 1784), oddalonego o lekkie trzy milki od Baru, a gdzie — t. j. w Śnitkowie, pełnił ks. Marek kilku nawrotami obowiązki plebana „Frater Marcus Jandołowicz, Prior Residen. Barensis Carmelitan. antiq. Observantiae“ — zdaje się, że wyraźnie. Jeśli zaś p. Sulima zarzuci mi, że mógł być przeorem barskim jakiś inny ks. Marek Jandołowicz, nie ów znany w czasie konfederacyi barskiej, to mu odpowiem, że nie mógł być inny, tylko ten „historyczny“, gdyż karmelici barscy mieli tylko jednego jedynego przeora — ani przedtem, ani potem do obioru nowego zwierzchnika nie przyszło. Bo chyba dodać i to jeszcze należy, że właściwie karmelici w Barze klasztoru „de facto“ nie posiadali; ks. Marek przybył tu jako przeor annopolski i ple-

nipotent w 1759 r.—i otrzymał od jednego z dziedziców miasteczka, Antoniego Lubomirskiego, miecznika koronnego, przywilej na plac potrzebny pod budowę i pewne udogodnienia. Drugi współdziedzic—Franciszek Lubomirski, potwierdził nadanie brata dopiero w 1763 r. (Dokument ów „in extenso“ ogłosiłem w „Zameczkach“ l. c. 111, 163—167; oryginał na pergaminie znajduje się dziś u pana Władysława Górskiego, znanego zbieracza). I wówczas to zakonnicy przystąpili do budowy, nie doprowadzili jej jednak do połowy z racji zawieruchy barskiej; mury tak zostawione rozsypały się w gruzy, a ojcowie pobożni, nie mając się gdzie przytulić, pełnili w sąsiednich parafiach obowiązki proboszczów, tytuł zaś przeora, jaki nosił ks. Marek, był więcej honorowy...

Pomimo całej skromności, sobie przypisuję odszukanie istotnego nazwiska ks. Marka, „ja tę Amerykę odkryłem“! Dodam tu jeszcze, że spędziłem całe dzieciństwo w niedalekiej od Baru okolicy, w granicach gorącego kultu dla zakonnika; urodziłem się pod niską, ubogą, słomianą strzechą, gdzie tradycja i dłużej i żywiej się dochowała, więc dużo słyszałem o ojcu Marku od ludzi, którzy go znali, którzy do jego celi samotnej, w niedalekiej Berezówce odbywali pobożne pielgrzymki, którzy obok szkaplerzów zawieszali na szyi paciorki, pochodzące z jego różańca; posiadam nadto kilka „autografów błogosławieństwowych“, ręką pobożnego mnicha pisanych... Z opowiadań owych wielbicieli i z piśmiennych zabytków wysnuwam wnioski, że ks. Marek wcale światowcem nie był, a pod względem wykształcenia nie bardzo stał wysoko. Co do powierzchowności, był to człowiek drobnego wzrostu, szczuplej budowy, bo tak przynajmniej wyglądał na schyłku życia—przed zgonem; zgon zaś ten niewątpliwie nastąpił w początku niniejszego wieku, (a nie 1796 roku—jak to na owym wizerunku wyczytał p. Sulima); bo tak wyglądał jeszcze przed trzydziestu laty, w katakumbach horodyskiego kościoła, ciało jego nie uległo rozkładowi, spoczywało zaś w otwartej trumnie; lud w tém cudowność upatrywał, choć to było wynikiem pewnego stanu organizmu w chwili zgonu (odsetek wody i tłuszczów do miąższu doprowadzony), i geologicznych warunków gleby otaczającej... Powtarzamy raz jeszcze, gmin cudowność w tém upatrywał i odwiedzając popioły zakonnika, po kawałku drzewa z wieka zabierał.

Jakież ma znaczenie ów portret u oo. kapucynów w Zakrocymiu dotąd przechowywany? Powstania jego domyśleć się bardzo łatwo. Ks. biskup Szymański pragnął mieć wizerunek ks. Marka; malarz nieznan, chcąc pasterzowi dogodzić, wytwór własnej fantazyi mu ofiarował... wytwór, powtarzamy, własnej fantazyi, boć wizerunek karmelity inaczej wyglądać winien; opatrzył go fałszywym podpisem, mylną datą zgonu—nie ma więc, według naszego zdania, żadnego znaczenia, wobec tych nawet skąpych a pewnych faktów, które dotąd o tym natchnionym mnichu odnaleźć się udało“.

Pan Aleks. Jelski znów w dod. do N. 33 „Kraju“ przypomina, że „według opowieści uczonego Sobieszczańskiego, portret tego historycznego mnicha przechowywał się równie w murach karmelickich w Warszawie, na Lesznie i o ile wiem, był tam aż do chwili bieżącej.

Sądzę tedy, pisze p. Jelski, że porównanie tych dwóch konterfektów najlepiej może wyjaśniło autentyczność podobizny, tudzież ową kwestyą w rzeczy nazwiska ks. Marka, motywowanego znowu inaczej przez p. Sulimę (na zasadzie nadpisu na malowidle zakroczymskiem), niż się ono ustaliło w badaniach historyków naszych.

Gdyby ludzie dobrej woli z pod Zakroczymia i w Warszawie chcieli się zająć zdjęciem fotografii z obu wzmiankowanych portretów w celu badań stanowczych, w takim razie obowiązują się uiścić połowę kosztów“.

Do powyższej relacji, dodał „Przegląd Katolicki“ Nr. 39 następujące objaśnienie:

Rzeczywiście w murach klasztoru oo. Karmelitów na Lesznie, znajdował się portret o. Marka. Jako własność prywatna jednego z ostatnich prowincyałów tego zgromadzenia, darowany został jednemu z muzeów i dziś go w Warszawie nie ma, porównania przeto tego portretu z portretem zakroczymskim na razie przeprowadzić niepodobna. Zdaje nam się jednak, że dr. J. myli się naprzd co do rysów twarzy o. Marka. Od osób, które znały dobrze portret na Lesznie, czerpiemy wiadomość, że na nim o. Marek przedstawiony był istotnie z długą siwą brodą, wysokim czołem, wychudłą ascetyczną twarzą. Tonsurę zaś nosili wszyscy zakonnicy, jedni większą, inni mniejszą. Rzeczony portret był nadto nie jakimś malowidłem, lecz utworem niepospolitego pędzla, przez znawców wysoko cenionego; był nawet podobno wystawiany na wystawach artystycznych.

Myli się też dr. J., gdy twierdzi, że „pod względem wykształcenia nie stał wysoko“ o. Marek. Co innego bowiem mówi np. artykuł p. t. „Wiadomość o ks. Marku karmelicie, z opowiadania byłego konfederata barskiego zebrana w treść przez Feliksa Pawła na Jarocznym Jarockiego“, umieszczona w warszawskim Przeglądzie bibliograficzno-archeologicznym z r. 1881, Nr. 13 i 14.

Do powyższych głosów o portrecie ks. Marka przyłączył się też dr. Józef Bieliński, który w tym samym dodatku do Nr. 33 „Kraju“ zawiadamia, że w posiadany przez niego zbiorze rycin, znajduje się portret ołówkowy ks. Marka w ćwiartce z następującą notatką, na odwrotnej stronie zapisaną:

„Będąc w Guzowie pod Warszawą u byłego ministra Łubieńskiego, który osobiście i przez długi czas znał ks. Marka, znalazłem u niego oljny obraz jego, jak mówi szanowny ten starzec, nadzwyczaj podobny. Postarałem się o przerys jego, który W-mu Oleszczyńskiemu, jako hołd dla jego talentu, w ofierze przynoszę. Może tak w poezyi i powieściach naszych często malowany kapłan uznany będzie za godnego, aby rytowniczą sztuką narodową został nieśmiertelniony. Franciszek Morawski.

„Czy prośba znakomitego poety została uwzględniona, dodaje dr. Bieliński, nie wiem; w spisie rycin roboty Oleszczyńskiego nie znajduję portretu ks. Marka. Porównyując mój portret z opisem Sulimy, przekonywam się, że był kopiowanym nie z oryginału zakroczymskiego. Twarz znacznie starsza, wyraz jój ascetyczny, surowy; długie włosy na głowie i długa broda są zupełnie siwe. Twarz jest prawie wprost, ubiór karmelicki.“

Z tego, co powiada dr. Bieliński o tój kopii portretu, wypada, że był on zupełnie zgodny z portretem, jaki się znajdował w klasztorze oo. Karmelitów na Lesznie, a być nawet może, że był to jeden i ten sam obraz, który może od ministra Łubieńskiego dostał się do klasztoru na Lesznie.

W Nr. 35 „Kraju“ z d. 11 września ogłosił p. A. S. następującą odpowiedź na uwagi p. Al. Jelskiego:

„Portret ks. Marka, który się znajdował u księży Karmelitów w Warszawie, jest roboty Bacciarelli’ego. W r. 1863, znajdował się na wystawie starożytnych obrazów, a głównie portretów, w pałacu hr. Potockich i przez znawców za autentyczny uznanym został.

Portret u oo. kapucynów w Zakroczymiu jest kopią, właśnie z tego pierwszego zrobioną, tylko cokolwiek, ale bardzo mało, powiększoną. Nazwisko zapewne kopista zmylił.

Oryginał obecnie znajduje się w Krakowie; hr. Tarnowski miał go tam umieścić na zachowanie w Muzeum.

Wł. Wóycicki w swém dziele „Cmentarz Powązkowski“, tom III, w dodatku i przypisach str. III, wiele zajmujących szczegółów o ks. Marku podaje.

A. S.

Z urzędowych wykazów statystycznych zebrał tygodnik petersburski („Kraj“ w Nr. 37. 26 Września 1890 r.), następujące dane o ilości kościołów katolickich i duchowieństwa katolickiego w Rosyi wogóle, Królestwie Polskiem, krajach: południowo-i północno-zachodnim.

	Ilość kościołów.	Ilość księży.
W Rosyi wogóle	2,668	1,255
W kraju północno-zachodnim odpowiednie cyfry są następujące:		
Gubernie.	Ilość kościołów.	Ilość księży.
Wileńska	369	210
Witebska	229	90
Grodzieńska	161	93
Kowieńska	619	359
Mińska	204	37
Mohylowska	87	32
Ogółem ilość kościołów . .	1,669; ilość księży 821	
W kraju południowo-zachodnim:		
Gubernie.	Ilość kościołów.	Ilość księży.
Kijowska	201	60
Wołyńska	397	107
Podolska	184	105
Ogółem ilość kościołów . .	782; ilość księży 272	

W Królestwie Polskiem ogółem odpowiednie cyfry przedstawiają się: Ilość kościołów wynosi 2,406; ilość księży 2,306.

Katolicyzm w Anglii. W roku 1800, było w Anglii i Szkocyi wszystkiego 120,000 katolików; w r. 1840 było ich już 400,000; w r. 1880 liczba ich wzrosła do 1,620,000, a w r. 1890 do 1,700,000. Całe państwo Wielkiej Brytanii razem z koloniami liczy dziś 14 milionów katolików. Obecnie jest w Anglii 38 parów kato-

lików, 24 lordów, 55 członków izby gmin, kiedy przed stu laty katolik nie mógł zajmować żadnego stanowiska publicznego. Dziś nawet między ministrami jest jeden katolik, p. Matthews. Kościołów katolickich posiada dziś Anglia 1,563, klasztorów 369. Co do szkół, to kiedy w r. 1800 były wszystkiego 3 kollegia katolickie, dziś jest ich 31, a oprócz tego 600 szkół parafialnych, do których uczęszcza 131,000 dzieci.

Wydział Towarzystwa literackiego im. Adama Mickiewicza, we Lwowie odbył w miesiącu wrześniu posiedzenie nadzwyczajne, na którym omawiano szczegółowo treść czwartego tomu „Pamiętnika Towarzystwa im. A. Mickiewicza“, mającego się ukazać pod koniec roku bieżącego. Obecny na posiedzeniu, jako gość, profesor Uniwersytetu fryburskiego (w Szwajcaryi) dr. Józef Kallenbach, podał obecnym ciekawą wiadomość o niektórych nieogłoszonych dotychczas fragmentach pism Mickiewicza.

— Z ramienia Akademii umiejętności w Krakowie, objeżdża obecnie p. Godfryd Ossowski Podole galicyjskie i czyni poszukiwania archeologiczne w jaskiniach kopalnych i kurhanach. W Uwiśle udało mu się znaleźć w grobach płytowych piękne urny o greckich formach, siekierki krzemienne i inne przybory z czasów przedhistorycznych; wskazuje to, że w okolicach tych mieszkało plemię silniejsze i bogatsze, skoro grzebać się mogło w grobach płytowych, zostawiając w tychże umarłym różne narzędzia i urny.

W wiedeńskiej gazecie „Neue freie Presse“ ogłosił dr. Henryk Schliemann, zasłużony przez swoje wykopaliska greckie, archeolog niemiecki następującą nader ciekawą wiadomość archeologiczną:

„Przy rozkopywaniu należącego do mnie placu przy ulicy Uniwersyteckiej w Atenach odkryto 11 grobowisk, z których 10 pochodzi prawdopodobnie z IV-go wieku przed Chrystusem, jeden zaś z XI-go wieku. Sarkofag w tém ostatniem zbudowany musiał być z drzewa, ani śladu bowiem z niego nie pozostało. W grobowisku tém znaleziono dwa szkielety z dobrze zachowanemi jeszcze czaszkami wraz z kilkoma ciekawemi przedmiotami, jak: czterema w dobrym zupełnie stanie figurami kobiecemi, artystycznie wyrobionemi z gliny; dalej niewielki stołek i 12 dzbanów do oliwy z uszami i wazkami szyjami, z których cztery ozdobione figurami kobiecemi, a reszta kwiatami, pięknie odmalowanemi. W 10-iu pierwszych grobowiskach znajdowały się tablice marmurowe i z terrakoty, a w jednym tylko z jednéj sztuki marmuru wykuty sarkofag. We wszystkich spoczywały kości ludzkie, dobyto jednak tylko cztery czaszki bez uszkodzenia. Nadto leżały w grobowiskach: dwa puhary, wazon z pokrywą, na trzech nogach oparty, i 18 dzbanów do oliwy. Na jednym z tych ostatnich namalowany widnieje jeździec

na wielbłądzie. Rzadki to, po raz wtóry dopiero na zabytkach pochodzenia greckiego spotkany ornament.

W Egipcie, jak donosi „Journal des Débats“, znaleziono w tych czasach kilka zwojów papyrusów, w których profesorowie Sayce i Mabassy odkryli fragmenta zaginionej tragedyi Eurypidesa p. t. „Antiope“, oraz fragment Platońskiego „Fedona“. Odpis tego ostatniego dzieła, zdaniem wspomnianych profesorów, sięga pierwszego wieku naszej ery. Odkrycie to budzi w świecie naukowym powszechną uwagę.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Wdowiszewski: „Bibliografia zabytków Krakowa od 1800—1888“.—L. Zarewicz: „Leliwita Spicimir, praojciec Melsztyńskich i Tarnowskich“. — Listy Bukatego do Stanisława Augusta (1789—1793). — Adam Piliński i jego prace artystyczno-bibliograficzne. — K. Waliszewski „Polska i Europa w drugiej połowie XVIII-o w.“—„Pamiętniki generała Kruszewskiego“. — „Dzieje literatury powszechnej z ilustracjami“ wyd. S. Lewentala T. III-ci część I-sza (literat. włoska (E. Porębowicza), hiszpańska, portugalska i włoska XVI-o w. J. A. Świącickiego). — Flammariona „Urania“ przekł. St. Kramsztyka. — Bron. Znatowicz „Zadania i wyniki badań stereochemicznych“.—Kraszewski J. J. „Wybór pism. Nowelle, obrazki i fantazy od 1830 do 1886“.—Esteja „Kartki z życia“. — Jadwiga Wittówna „Dary śmierci“.—M. Rodziewiczówna „Nowelle“ — Luzyady Camoensa przełożył z portug. Adam M—ski. — Krzyżanowski Anatol „Dwa prądy“.

Pod tyt. „Bibliografia do zabytków Krakowa od roku 1800 — 1888“, wydał w Krakowie Architekt Wdowiszewski cenne nader dzieło, obejmujące opisy gmachów i dzieł sztuki.

— **L u d w i k Z a r e w i c z** wydał w Krakowie książkę pod tyt. „Leliwita Spicimir, kasztelan krakowski, praojciec Melsztyńskich i Tarnowskich (1312—1352), oraz monografia Melsztyna, z trzema ilustracjami, planem i tablicą genealogiczną Melsztyńskich“. Krak. 1890.

Zarząd muzeum księcia Czartoryskiego nabył rękopism **L i s t ó w B u k a t e g o**, posła polskiego na dworze londyńskim, pisanych do króla Poniatowskiego w latach 1789 do 1793. Wiadomo, że listy króla do Bukatego ogłosił Kalinka przed dwudziestu dwoma laty, w poznańskim zbiorze pamiętników z XVIII wieku (Poznań, 1868), ale odpowiedzi Bukatego do króla Kalinka nie posiadał. Skoro listy Bukatego weszły obecnie do wspomnianego muzeum, można się spodziewać, że tam długo nie będą spoczywać, ale zostaną drukiem ogłoszone, jako niezmiernie ważne i cenne źródło historyczne.

Adam Piliński et ses Travaux etc. par un Bibliophile. Paris, 1890. (Adam Piliński i jego prace artystyczno-bibliograficzne). Przed laty trzema umarł w Paryżu ziomek nasz, Adam Piliński, znakomity rysownik i bibliograf. Pozostawił on prace wielkiej wagi, znane we Francyi i wysoko cenione. Synowie zmarłego ogłosili w ozdobném wydaniu sprawozdanie z tych prac wraz z zarysem biograficznym, o którym podajemy niniejszą wiadomość bibliograficzną.

Urodzony w roku 1810, w lubelskiém, we wsi Maciejowicach, Adam Piliński wychowywał się w Puławach, pod opieką księżnej Izabelli Czartoryskiej. Okazywał od młodości szczególną zdolność do rysunków. Nie uszło to uwagi księcia Adama Czartoryskiego; pomieścił go w szkole sztuk pięknych w Warszawie r. 1822. Ztąd w kilka lat potem przeniósł się do Francyi. Pracował najprzód w Marsylii, w litograficznym zakładzie; następnie w Clermont-Ferrand otrzymał miejsce rysownika przy geometrze. W mieście tém zyskał sobie przyjaciół, pojął w małżeństwo młodą francuzkę, z którą miał przeżyć szczęśliwie lat czterdzieści. Przedstawiony księżnie Adelajdzie, siostrze Ludwika Filipa, znalazł w niej opiekę i poparcie. Księżna oceniła zdolność młodego Polaka, wyrobiła mu stałą pracę przy muzeum Wersalskiém. W kilka lat potem Piliński powrócił do Clermont, założył tam artystyczną litografią. Wynałazł wtedy sposób reprodukowania starych druków i dawnych ilustracyi, powtarzał cierpliwie próby, aż nakoniec przyszedł do wydoskonalenia metody swojej. W roku 1853 osiadł stale w Paryżu, wszedł w stosunki z bibliografami, dopełniał uszkodzone dzieła tak umiejętnie, że najbieglejsze oko znawców nie mogło rozpoznać reprodukowanych stronic w foliałach z XV i XVI wieku. Znanym sobie procederem przygotowywał do tego papier gruby, pożółkły, gdzie-niegdzie poplamiony, jaki widzimy w starych księgach. Pierwsze prace wykonał Piliński dla uczonego bibliofila Firmin Didot. Nie ograniczając się na restaurowaniu, począł wydawać fac-simila białych kruków, zachowanych po bibliotekach. W ten sposób wydał monumenta xylograficzne z XV wieku i arcydzieła sztuki drzeworytniczej. Wymienimy tu „Taniec śmierci“, „Apocalipse S-go Jana“, „Biblią ubogich“, „Ars moriendi“, a pominiemy inne prace. Dzieła te wydane tylko w stu egzemplarzach, stały się skarbem dla bibliofilów; cena każdego woluminu wynosi od 200 do 250 franków.

Niepodobna nam pobeźnie nawet dotknąć niezliczonych prac naszego paleografa-artysty, wykonanych w ciągu lat czterdziestu. Wzbogacił on publiczne biblioteki reprodukcjami odwiecznych dokumentów wielkiej doniosłości, jako to: bulle papieżkie, mapy, przywileje, ustawy konstytucyjne i t. p. Żadne wydawnictwo archeologiczne nie obyło się bez jego współudziału. Słuszną nagrodą za te prace były medale, otrzymane na wielkiej wystawie paryzkiej w r.

1878, i na dwóch wystawach w Clermont-Ferrand, oraz tytuł Członka-korespondenta akademii w témże mieście.

Jak wielkie uznanie znalazł we Francji Adam Piliński, świadczy o tém sprawozdanie Henryka Trianon, konserwatora biblioteki S-jej Genowefy. „Wszystkie, mówi on, kaleki typograficzne, uszkodzone inkonabudy, niekompletne egzemplarze pysznych wydawnictw XV i XVI wieku, niech się tylko dostaną w jego biegle i delikatne ręce, odzyskają wnet zdrowie i życie, a najwprawniejsze oko nie dostrzeże zagojonej blizny, nie odróżni kopii od oryginału. Ze strachem powierzałby można księgi panu Pilińskiemu, gdyby zacny charakter jego, doświadczony od dawna, nie otwierał przed nim szeroko drzwi wszystkich archiwów publicznych. Do najznakomitszych jego reprodukcji zaliczamy dwanaście drzeworytów Rubensa i między nimi „Herkulesa zelwem neméjskim“ i „Chrystusa na krzyżu“ z oryginału Hansa Grünna, kopią wykonaną dla Firmin Didot.“

Niemniej chlubne świadectwo oddaje artyście sprawozdawca z międzynarodowej wystawy paryzkiej 1878 roku. „Na czem polega proceder? zapytuje w końcu: i fotografia, i galwanoplastyka łączy się tu ze sztuką rytowniczą, ale w jakiej mierze? To tajemnica wynalazcy, należy ją uszanować: Zresztą co nam wchodzić w sposoby artystów, badajmy ich dzieła, przyklaskujmy im, gdy na to zasługują i poprzestańmy na tém.“

Wśród pozostałych dzieł naszego paleografa zacytujemy ośmdziesiąt, odnoszących się do bibliografii polskiej. Są to reprodukcje starych rękopisów, ozdobne tytuły, ryciny, dopełnienie uszkodzonych dzieł, broszury, portrety, rysunki i tp. Wiele ważnych prac wykonał dla Biblioteki Kurnickiej, na żądanie hr. Jana Działyńskiego. Większe nierównie usługi oddał Adam Piliński społeczeństwu naszemu publikacjami, dotyczącemi Polski niż francuzkiemu podobnemiż pracami, unikaty bowiem i białe kruki, przechowywane w francuzkich bibliotekach, wielokrotnie bywały opisywane, ogół znał je mniej więcej; u nas przeciwnie, dokumenta rozproszone po rozmaitych archiwach i księgozbiorach, mało były znane w ogólności, reprodukcya ich stała się też nadzwyczaj pożyteczną. Prace te wyliczymy poniżej.

Scisła przyjaźń łączyła Adama Pilińskiego z Antonim Oleszczyńskim. Praca na jednem polu, a co więcej wspólność uczuć i myśli, jednoczyła dwa zacie serca. W ośm lat po skonie przyjaciela, umarł Adam Piliński w roku 1887. Syn jego Stanisław wtajemniczony przez ojca w bibliograficzne prace, prowadzi je dziś dalej. Piękną ich próbę widzimy w ozdobnie wydanym zyciorysie.

Oto szereg prac, dotyczących Polski, wykonanych w ciągu lat czterdziestu przez Adama Pilińskiego.

1. Staloryty do dzieła Leonarda Chodzki, p. t. „Polska historyczna, literacka, monumentalna i malownicza“. (Paryż 1835—1841).

Dom Kopernika w Frauenburgu, gdzie umarł w roku 1543.

Obelisk monumentalny, wzniesiony koło Schwechat w bliskości Wiednia, na pamiątkę spotkania króla Jana III-go z cesarzem Leopoldem I-szym, po oswo-bodzeniu Wiednia 13 września 1683 roku.

Chorągiew Ottomańska, zdobyta przez Sobieskiego podczas odsieczy wiedeńskiej, posłana do Rzymu, złożona u stóp Papieża Inocentego XI-go, 29 września 1683 roku, później zawieszona w bazylice S go Piotra na Watykanie.

Widoki Warszawy: Kościół ewangelicki, ukończony w roku 1781; wielki teatr narodowy, ukończony w r. 1832; przedmieście Praga; kościół Bernardynów, Elekeye Królów Polskich w Woli pod Warszawą.

Widok Marienburga, zbudowanego przez Rycerzy teutońskich w r. 1288.

Widoki Balic i Bielan pod Krakowem, Ryga, Zamek w Łancucie, Ratusz w Tarnowie, Zarzecze, Wieliczka, Zamek w Lipowcu, Zamek Królewiecki, Pałac Radziwiłłów w Antoninie, w Księstwie Poznańskim, Portrety: Tadeusza Czackiego i Stefana Czarnieckiego.

2. F a c - s i m i l e, wykonane do badań profesora Aleksandra Chożki nad tekstami: cyrylskimi i głągoliczkimi SS. Cyrylla i Metodjusza. Tytuł czyli pierwsza karta ewangelii z ozdobami kaligraficznymi, rozpoczynająca manuskrypt paleosłowiański, głoskami głągolsko-illyryjskimi dziesiątego wieku. Wielki tom na pergaminie, przechowany w bibliotece bolońskiej. Ów tytuł, ozdobiony w stylu epoki dwoma kolorami; tekst, pisany czarno na dwóch kolumnach, gdzieniegdzie przeplatany pismem czerwonym. U dołu stronicy napis łaciński znać późniejszy: „Iste liber est S-te Sac-is de Kon. (Ta księga świętego rytuału, przeznaczona do koronacji Królów).

3. R y c i n y i r y s u n k i:

Mikołaj Kopernik, reprodukcya tablicy, znajdującej się na czele jego biografii przez Piotra Gassendi, a która była rytowana według najdawniejszego ze znanych portretów Kopernika, malowanego na medalionie zegara astronomicznego w Strasburgu.

„Entrata in Roma dell' Eccellentissimo Ambasciadore di Polonia l'anno MDCXXXIII⁶⁶. (Wjazd do Rzymu Jego Excelencyi Ambasadora Polskiego w roku 1633,—(był nim Jerzy Ossoliński). Według tablicy rysowanej i wrytej na miedzi przez Stefana Della-Bella, poświęcony Laurentemu Medyceuszowi. Przedmiot tak wystawiony: Na widnokregu rysuje się Rzym, po lewej ręce widzowie przyglądają się z estrady, ozdobionej herbem Medyceuszów. Przed nimi defluje konno rycerstwo polskie, za nimi ciągną muły, obładowane darami, dalej postępuje konna straż papieżka, kardynałowie na mułach; Persowie i Ormianie prowadzą dwanaście wielbłądów, niosących wspaniałe dary—trębacze zamykają pochód.

Henryk Walezyusz, król Francyi i Polski—według ryciny ówczesnej.

Złota korona, którą Bolesław Chrobry nosił pierwszy w dniu koronacyi r. 1024, według rysunku z tekstem Joachima Lelewela.

Heraldyczny wizerunek króla polskiego i księcia Mazowickiego, według dwóch rycin z XV wieku, należących do Powszechnego Herbarza, zachowanego w paryżkiej Bibliotece Arsenalu.

Królowa Jadwiga, według małej ryciny niemieckiej, ze zbiorów Aleksandra Lessera.

Widok miasta Wilna, według dawniej ryciny.

4. Reprodukcyje w fac-similach do publikacyi Jana hr. Działyńskiego.

1. Rękopisy: Sztuka i przywileje Królów Polskich i książąt Mazowieckich: manuskrypt polski in. 4. z r. 1450, złożony ze 112 stronnic. Wielkie litery kolorowe, tekst brunatny i czerwony. Wydanie w 500 egzemplarzach.

Statut Kazimierza III (Wielkiego), ogłoszony po łacinie na Sejmie wiślickim r. 1347. Manuskrypt polski in. 4 z XV wieku, złożony z sześćdziesięciu siedmiu stronnic.

Vocabula juris Megdeburgensis. Wakabularz prawny porządkiem alfabetycznym, od litery a. do v. Manuskrypt polski z 12 stronnic; z tytułem łacińskim.

Insignorum clenodiorum regis et regni Poloniae descriptio. Opis insygniów i emblematów Królów i Królestwa Polskiego. Fragment z łacińskiego herbarzu XV wieku, 16 stronnic in. 4-o.

Psalterz królowej Jadwigi. Manuskrypt polski (in. 8-o) z XIV wieku (około 1382), stronnic 640. Ozdoby i wielkie litery kolorowe; tekst w dwóch kolorach brunatnym i czerwonym. Wydany w 500 egzemplarzach. Oryginał znajduje się w bibliotece Władysława ks. Czartoryskiego.

Karta z manuskryptu łacińskiego z XIII wieku, (1245): Incipit gesta Tartarorum secundum fratrem Joannem ordinis fratrum minorum. Opis podróży przez Polskę do Tartaryi, przez Jana de Plano Carpinii, z zakonu Franciszkanów czyli braci mniejszych. (Paryż Biblioteka narodowa).

Clemens eps, servus servōr Dei dilecto filio Władisłao de Polonia monacho, monasteri Sancti Benigni de Divione, etc. (Klemens Biskup, sługa sług Bożych, do ukochanego syna, Władysława polskiego, mnicha w monasterze Ś. Benigny w Dijon). List papieża Klemensa VII datowany z Awinionu 2 lipca, czwartego roku pontyfikatu swego do Władysława Polskiego z zakonu Benedyktynów, wzywający go aby przybył niezwłocznie—w interesie własnym i w sprawie rzymskiego kościoła.

Starodawne manuskrypta polskie i fragment dokumentu na pergaminie. Jest to wypis z rozporządzeń króla Władysława Jagielly, między r. 1423 a 1433. (Biblioteka książąt Czartoryskich).

Pieśń Ave Maria na cztery głosy, Manuskrypt polski z r. 1460, bezimienny. Słowa i muzyka; charakter gotycki. Oryginał znaleziony był w klasztorze na Pomorzu przez d-ra Kętrzyńskiego.

Hymn do Ś-go Stanisława z téjże saméj epoki, takimiż pismem jak pieśń poprzednia. Oryginał jest częścią manuskryptu polskiego, w tomie in 8-o, złożonym ze stu stronnic.

De origine stemmatum. (O początku tytułów szlacheckich). Mała rozprawa Marcina Bielskiego „O herbach polskich z przydomkiem Abdank“. Manuskrypt in 8-o, z trzech stronnic.

Rysunek piórem, przedstawiający Jana Długosza z napisem łacińskim; Jan Długosz, kanonik Krakowski, arcybiskup Lwowski, urodzony w r. 1415, zmarły w r. 1480, który był nauczycielem synów Kazimierza Króla Polskiego. (Kazimierza IV Jagiellończyka).

Kroniki Bogułała trzynastcie stronnic łacińskiego manuskryptu—o kronikach polskich.

Dyplom Władysława III Warneńczyka z r. 1442, ratyfikowany w Budzie, przyznający pokrewnym sobie książętom Czartoryskim: Iwonowi, Aleksandrowi i Michałowi, pieczęć książęcą, którą odziedziczyli po naddziałach, z godłem rycerza na koniu, trzymającego w ręku miecz nagi.

Dyplom Zygmunta Augusta ratyfikujący akt poprzednika, nadany księciu Aleksandrowi Czartoryskiemu, Wojewodzie ziem Wołyńskich, na sejmie w Lublinie, pod datą 25 maja 1569 roku.

List Ferdynanda II, Cesarza Niemieckiego do Władysława IV, oznajmiający nadanie Jerzemu Ossolińskiemu tytułu księcia państwa rzymskiego. Datowany z Wiednia 2 lutego r. 1654.

Tytuł i karta z herbarza Kojałowicza (z XVII wieku). Są to, jak zapowiada łaciński tytuł, herby szlachty litewskiej, bez wymienienia rodzin, które ich używają.—Dedykacya brzmi w tych słowach: Poświęcona Aniołom Stóżom i Świętym patronom Litwy, nomenklatura rodzin i tytułów szlachty W-o księstwa litewskiego, zebrana i uporządkowana długą pracą Ojca Alberta Wijuka Kojałowicza, ze Zgromadzenia Jezusowego, Doktora tegoż zgrom. exprofesora uniwersytetu Wileńskiego, pisana w r. 1658. Oryginał tego dzieła, nigdy nie drukowany, znajduje się w Bibliotece książąt Czartoryskich w Krakowie.

Autograf Tadeusza Czackiego o Reju z Nagłowic, datowany z Warszawy 1831 roku.

List Czackiego, z roku 1806.

2. Książki reprodukowane dla Biblioteki Kurnickiej.

Apokalipsa Ś-go Jana,—przełożona na polski język i komentowana przez Mikołaja Reja z Nagłowic, reprodukcyja pierwszego wydania z drukarni Macieja Wierzbiety, roku pańskiego 1565. Dzieło gotyckim drukiem in 4-o, złożone z 472 stronnic. Na początku rycina wyobraża Mikołaja Reja w pięćdziesiątym roku, na ostatniej karcie znak drukarza: Pień drzewa, a na nim zawieszona tarcza z monogramem M. W. Według świadectw zebranych przez Jana hr. Działyńskiego, ta edycya krakowska poprzedziła wszystkie przekłady Apokalipsy, drukowane w różnych językach.

Ustawy prawa polskiego: Statuta Królów Polskich, z czasów Zygmunta Augusta, tłumaczone z łaciny na polski język. Druk gotycki in 4-o, stronnice 76, wydanie z roku 1563.

Consilium rationis bellicae. Instrukcyja co do sztuki wojennej, przez Jana Tarnowskiego, Kasztelana Krakowskiego, W. Hetmana korony Polskiej. In. 8, druk gotycki 76 stronnic. Dzieło drukowane w Tarnowie u Łazarza Andrysowicza.

3. Broszury reprodukowane dla biblioteki Kurnickiej.

Wielkie zwycięstwo przesławnego króla Polskiego (Zygmunta I-o starego), odniesienie uad Wojewodą Mołdawskim. In 8-o druk gotycki sześć stronnic. Oryginał drukowany w Paryżu, pod firmą Escu de Basle w r. 1531, znajduje się w bibliotece księcia Władysława Czartoryskiego.

Raczył Łukasza Górnickiego w Krakowie, w drukarni Łazarzowej r. 1598, małe in 4-o złożone z siedmiu stronnic, drukowane charakterem włoskim.

Rozmowy króla Salomona z filozofem Marchołem. Ośm stronnic bez tytułu, znanych jedynie z książki polskiej satyrycznej i humorystycznej. In 8-o druk gotycki z rycinami z XVI wieku.

Algorytm to jest nauka liczby po polsku etc. Dwadzieścia sześć stronnic, z dzieła naukowego o logarytmach przez Bernarda Wojewodkę. — Druk gotycki in 8-o. Książka wydana w Krakowie r. 1553, u spadkobierców Marka Szarsenberga (sic).

4. Luźne stronnice, reprodukowane dla Biblioteki Kurnickiej.

Stronnice z dzieła Baltazara Opeć p. t. Żywoć Wszchemogącego Syna Bożego Pana Jezusa Chrystusa, według Ewangelii i Ojców kościoła, drukowany w Krakowie r. 1522 a Hieronima Vietora, dedykowany królowi Zygmuntoowi I-mu. In 4-to. Druki gotycki z rycinami.

Herbarz Paprockiego. Dziesięć stronnic dopełniających egzemplarz.

Korona polska Kacpra Niesieckiego 1743; 48 stronnic IV tomu tego dzieła.

Registr albo porządek dla prędszego naleźienia królów i książąt. W Krakowie, z drukarni Garwalczyka w r. 1584;—reprodukcyja kilkunastu kart.

O klejnocie starodawnym Prus,—część herbarza Paprockiego z reprodukcją herbów.

5. Tytuły dawnych ksiąg dla Kurnickiej Biblioteki. Statuta Sejmu Warszawskiego r. p. 1537. Pismo Gotyckie.

Statuta y przywileje koronne, z łacińskiego na polskie przełożone przez Jana Herburta z Fulszynu, kasztelana Sanockiego. In 4-o 1561 roku. W pięknej ornamentacyi przedstawieni królowie Aleksander, Zygmunt 1-szy i Zygmunt August. Po przeciwniej stronie portret tego ostatniego króla.

Diadochos (o naddziadach). Tytuł morawskiego herbarza Paprockiego, drukowanego w Pradze r. 1598.

De origine et rebus gestis Polonorum Marcina Kromera. Na tytule orzeł Zygmunta Augusta—na odwrotnej stronie: Drukowano w Bazylei w r. 1555 przez Jana Oporini.

Zygmunt August, a obok króla herby rozmaitych prowincyi Polski. Tytuł Herbarza.

Nowy testament polski, święta Pana Jezusa Chrystusa Ewangelia od Ewangelistów i innych apostołów napisana r. 1577. Tytuł w dwóch kolorach, czarnym i czerwonym. Ornamentyka tworzy ramę, przedstawieni w niej patryarchowie, prorocy i ewangeliści.

Świętych słów a spraw Pańskich etc. Tytuł postylli Mikołaja Reya, drukowanej w Krakowie u Wierzbęty r. 1556. Po lewej stronie orzeł polski, otoczony herbami prowincyi.

Zwierzyniec Mikołaja Reya. Tytuły reprodukowano do dwóch edycyi tego dzieła z r. 1562 i 1574 u Wierzbęty.

Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego, Mikołaja Reya. Tytuł ozdobny według edycyi z 1560 r. u Wierzbęty.

Zwierciadło Reya. Tytuł z ornamentacją reprodukowany z wydania 1567 roku.

O ziołach y o mocy gich. Ozdobny tytuł w dwóch kolorach, gotyckim charakterem, z dzieła o rolnictwie Stefana Falimirza z 1534 roku, w Krakowie u Ugle-
ra. Dedykacja Janowi Tęczyńskiemu; po drugiej stronie herb Tęczyńskich.

Antemurale Christianitatis Polonia. Tytuł a raczej rycina alegoryczna, z legendą łacińską, z epoki oswobodzenia Wiednia, przedstawia Polskę w postaci królowej, papieża Inocentego XI i Króla Jana III Sobieskiego. Polska stoi, koronę jej podtrzymuje Chrystus, na szacie jej odmalowany orzeł; w rękę trzyma ołtarzyk z kielichem, nogę jedną wspiera na ramieniu papieża, drugą na ramieniu króla, kłęczących przed ołtarzem. Tekst odpowiedni do przedmiotu: Antemurale Christianitatis Polonia, Papae ac regis humeris nixa, cujus quodvis latus si offenderis totam Regis structuram disvolveres. Rycina ta wyjęta z dzieła: Skład abo skarbiec znakomitych sekretów ekonomii ziemiańskiej; przez Jak. Kaz. Haura, u Szedła w Krakowie 1689 fol. Ta sama rycina była już użyta w dziele Orzechowskiego Quincunx z r. 1564, z tą różnicą, że zamiast Jana III, przedstawiony był Zygmunt August, a na piersi orła, zamiast cyfry Sobieskiego, była cyfra samego monarchy, miejsce papieża Inocentego XI zajmował tam Pius IV-ty.

Herby rycerstwa polskiego etc. przez Bartosza Paprockiego w Krakowie, w drukarni Macieja Garwolczyka. Roku pań. 1584. W ramie tytułu pomieszczone herby prowincyi polskich, po stronie odwrotnej przedstawiony król Stefan Batory. Biblioteka narodowa w Paryżu posiada wolumen tego dzieła.

Biblia święta Tho jest księgi starego y nowego zakonu właśnie z Indowskiego (greckiego y Łacińskiego) nowo na polski język z pilnością i wierni (sic) wyłożone. Tytuł in folio, ozdobnie rytowany i karta z Biblii zwanej Ostroroga.

6. Ryciny i tablice rozmaite dla Biblioteki Kurnickiej.

Wielki Hetman Jan Zamoyski, według oryginału, należącego do dzieła p. t. Ambrosersammlung. Miedzioryt z XVI wieku, reprodukowany do publikacyi hr. Tytusa Działyńskiego: Collectanea vitam resque gestas Johannis Zamoyscii illustrantia. (Zbiór na cześć żywota i czynów Jana Zamoyskiego). Poznań roku 1861.

Orzeł Zygmunta, poniżej legenda:

Unguibus ac rostro pugnes, Jovis acuto

Expansis cum alis nos diadema tegat.

(Ptak Jowisza walczy dziobem i ostremi szpony:

Cieniem skrzydeł opiekuńczych strzeż naszej korony!)

Wyjątek z dzieła Przyluskiego; Leges seu statuta 1553.

Sławny Seym Lubelski zwany Seymem Unii, pod przewodnictwem Zygmunta Augusta. Reprodukcyja tablicy, należącej do dzieła Jana Herburta: Statuta i przywileje korony, Kraków 1570 r. Fac-simile znajduje się w trzeciej części dzieła: Unia Królestwa polskiego z Wielkim księstwem Litewskiego. wydania hrabi Tytusa Działyńskiego w r. 1856.

Wjazd Zygmunta Augusta do Gdańska w r. 1552. Według ryciny ówczesnej, nie należącej do żadnego dzieła.

Tablice przedstawiające drzewo genealogiczne Jagiellonów i połączonych z nimi rodów od Olgierda, księcia Litewskiego w roku 1390. Jego syn król Władysław Jagello, królowie: Władysław III Warneńczyk, Kazimierz IV-ty Jagellończyk i Aleksander. Obok tych portret Zygmunta Augusta, w dzieciennych latach i mat-

ki jego królowej Bony, z wierszami łacińskimi Gundeliusza. Reprodukcyę tą dopełnia egzemplarz dzieła Miechowity: *Chronica Polonorum*, drukowanego w Krakowie r. 1521.

Drzewo genealogiczne Tarnowskich, od Spicimira hrab. kasztelana krakowskiego, założyciela miasta Tarnowa i zamku w témże mieście około 1280 roku, aż do Kazimierza Tarnowskiego w r. 1644.

Król Stefan Batory. Według drzeworytu z szesnastego wieku. Jest to kopia z rysunku słynnego rytownika niemieckiego Jost Aman, współczesnego królowi. Poniżej tablicy nakreślone litery J. A.

Dymitr Iwanowicz Car Moskiewski. Według drzeworytu z początku XVII wieku. Kopia z obrazu malowanego przez Franciszka Śniadeckiego w Krakowie, r. 1605.

Maryna Mniszchówna Wielka księżna Moskiewska według tablicy z téjże epoki.

Anna Ludwika Karolina Kunegunda na Mycielinie Mycielska, córka Adama Mikołaja z Mycielina i Anny Niegolewskiej, według portretu, rytowanego na miedzi w osmaastym wieku. Powyżej legenda genealogiczna po łacinie i herb rodziny Mycielskich.

S. D.

— Kazimierz Waliszewski wydał w Krakowie obszerne dzieło p. t. „Polska i Europa w drugiej połowie XVIII w.“ Krak. 1890 r. 8-o str. 577. Pan K. Waliszewski zajmuje się już oddawna wszechstronnem badaniem naszych dziejów wieku XVIII. Dzieło jego „Potoccy i Czartoryscy“, poświęcone téj saméj epoce, było przedmiotem ożywionéj dyskusyi w „Kwartalniku historycznym“: najnowsza zaś praca, rozbierająca wnoszące się coraz silniejsze prądy rozwoju politycznego społeczeństw europejskich, przyczyni nie mało światła i dla poznania gruntownego naszych dziejów w chwili odradzania się narodu.

— Karolina z Kruszewskich Grabiańska wydała w Krakowie pamiętniki ojca swojego pod tyt. „Pamiętniki generała Kruszewskiego“, byłego dowódcy ułanów p., a następnie dowódcy dywizyi lekkiej kawaleryi w wojsku belgijskiem.

— Pomiedzy licznymi wydawnictwami, odznaczającemi się nie tylko pod względem typograficznym, ale literackim i naukowym, które firma nakładowa p. S. Lewentala w ostatnim czasie puściła w obieg księgarski, zasługuje przed innymi na uwagę kroniki naukowej nowy (tom III-ci) „Dziejów literatury powszechnéj z ilustracyami“ (Warsz. 1890 r. str. 564), rozpoczynający nowożytną epokę historii literatury powszechnéj. Okres pierwszy, poświęcony dziejom humanizmu i reformacyi, obejmuje w 1-szej części tomu III-go, która co tylko wydana została: „Literaturę włoską XV-go i XVI-go w.“, opracowaną przez Edw. Porębowicza (str. 1—178).—Pan Julian Adolf Święcicki opracował: 1) „Literaturę hiszpańską wieku złotego“

(str. 179 — 404). 2) „Literaturę portugalską“ (str. 405 — 447), 3) „Literaturę francuską“ (str. 448—564).—Czytelnikom „Biblioteki Warsz.“ znane są zalety dzieł p. Święckiego zarówno pod względem metody jak i pięknego, poważnego wykładu. Nie najmniejszą zasługą najnowszej pracy p. S. są liczne ustępy z dzieł opisywanych autorów w udatnym przekładzie polskim.

— Głośne dzieło *Flammarióna* Kamila p. t. „Urania“ doczekało się tłumaczenia polskiego, które oryginałowi francuzkiemu ani pod względem literackim, ani naukowym nie ustępuje; dokonał go bowiem wytrawny specjalista i pisarz p. Stanisław Kramsztyk, a wydał p. S. Lewental p. t. „Urania“ ze 100 oryginalnymi ilustracjami w tekście najznakomitszych francuzkich ilustratorów. Przełożył z francuzkiego St. Kramsztyk. Warszawa 1890 r.. Wydanie na pięknym welinowym papierze z wspaniałą kartą tytułową kosztuje tylko 2 ruble 25 kop., gdy książkę francuską sprzedają po rubli 4 kop. 80.

Od r. 1887-go staraniem Redakcyi „Wszecchświata“ a z zapomogą kasy im. Mianowskiego wychodzi w Warszawie „Biblioteka przyrodnicza Wszecchświata“, zawierająca kompendya, podręczniki i monografie ściśle naukowe, napisane oryginalnie albo też przełożone z języków obcych. Do pracy prof. E. Strasburgera („Krótki przewodnik do zajęć prakt. z botaniki mikroskop.“), H. Mohna („Zasady meteorologii“ przekł. St. Kramsztyka), prof. J. Siemiradzkiego („Podręcznik geologii według J. D. Dana w zastosowaniu do krajowych warunków geologicznych) przybył odczyt prof. Wiktora Meyera, wypowiedziany na posiedzeniu Towarzystwa chemicznego niemieckiego w Berlinie 28 Stycznia 1890, na temat „Zadania i wyniki badań stereochemicznych“ (Warsz. 1890 r. str. 58) w przekładzie polskim Bronisława Znатовicza.

— Kraszewski J. I. Wybór pism. Oddział VI. „Novelle, obrazki i fantazy“ porządkiem chronologicznym ułożone i wstępem krytycznym poprzedzone przez Piotra Chmielowskiego. Warsz. 1890.

Zebrane w tym tomie nowelle i obrazki w pokaźnej liczbie 60-iu, pochodzą od najpierwszych (1830) aż do ostatnich przedzgonnych niemal chwil (1886) wielkiego pisarza. Znaczna część tu wydrukowanych utworów wyjęta została z pism peryodycznych, dziś już zapomnianych i z handlu księgarskiego wycofanych. Słusznie Chmielowski powiada o zgromadzonych pracach w tym jednym ogromnym tomie, bo blisko 700 stronic liczącym, iż jest to Kraszewski w miniaturze.

Esteja. Kartki z życia kobiety. Powieść odznaczona zaszczytnie na konkursie „Kuryera Warszawskiego“, z 52 ilustracjami Cz.

Jankowskiego, Warsz. 1890. Pod pseudonimem „Estei“ wystąpiła prawie równocześnie z M. Rodziewiczówną autorka, zajmująca obok dotychczasowych pracowni literatury beletrystycznej stanowisko samodzielnego. Gdy bowiem El. Orzeszkowa, Marya Sadowska (Zbigniew) a w znacznej części i p. Rodziewicz, uganiając się w powieści za realizmem i pozytywizmem autorów francuzkich, starają się tendencyjnie zacięrać w swoich utworach znanie kobiecości, o tyle Esteja w każdym rysie swoich charakterów powieściowych, w każdym spostrzeżeniu czy to estetycznej czy też etycznej natury ujawnia właściwości kobiece. „Esteja nie przebiera się, jak słusznie zauważono, („Kraj“ Nr. 38 r. b.) „ani za mędrca klasycznego, ani za nowoczesnego myśliciela, nie nakłada ani togi, ani biretu, ani fraka, nie przykrawa życia do teorii naukowych... niewyzwała się wreszcie nigdy z płci swojej, przez pozowanie na istotę nijaką —ale zawsze i wszędzie ukazuje się czytelnikowi jako czuła, nerwowa, w miarę idealna i w miarę pozytywna, wielbiąca piękno plastyczne na równi z pięknem moralnym, skłonna do płochości i poświęceń... miła kobieta“.—Obrazy jej czy to swojskie czy też z świata obcego techną życiem i prawdą. — Strona wydawnicza książki jest nader piękna i ponętna, co w wydawnictwach naszych nie jest rzeczą powszednią.

Nakładem téjże samej firmy wyszła powieść p. tyt. „Dary śmierci“. Przez Jadwigę Wittównę. Powieść odznaczona na konkursie Kuryera Warszawskiego. Warsz. 1890. Utalentowana powieściopisarka jest wnuczką Józefa Korzeniowskiego.

Rodziewiczówna Marya. Nowelle: Jazon Bobrowski. Pierwsza kula. Nad program. Historia o białym wole.—Filantrop. Warsz. 1890.

Camoens Luiz, Luzyady. Epos w dziesięciu pieśniach. Z oryginału portugalskiego przełożył, objaśnieniami i życiorysem autora opatrzył Adam M-ski. Warsz. 1890.

Krzyżanowski Anatol. Dwa prądy. Powieść na tle współczesnym, zaszczytnie odznaczona na konkursie „Kuryera Warszawskiego“ Warsz. 1890. Str. 346.

N e k r o l o g i a.

Dnia 16-go września 1890 r. umarł w Warszawie Jan Kanty Gregorowicz, redaktor „Tygodnika Mód“ i „Przyjaciela dzieci“, zasłużony literat i dziennikarz, człowiek pięknych zasad obywatelskich i wielkiej prawości charakteru, którego życie upłynęło w wytrwałej pracy dla dobra społeczeństwa, którego maluczkich i wielkich różnóm ukochał sercem! Ś. p. Gr., urodzony 17 października r. 1818 w Warszawie, z rodziny kupieckiej, uczęszczał tutaj do szkół pijarskich, poczem, idąc w ślady ojca, który wówczas sklepy swe zwinął, a osiadł w nabytej wiosce Bielec (Bilcza) w Sandomierskiem, oddał się gospodarce wiejskiej. Z Bielca, po dokonaniu działów familijnych, przenosi się Gregorowicz do Zegrza nad Narwią, ale kłęski gospodarcze nie pozwoliły mu tam długo pracować. Jakoż około roku 1850 osiada stale w Warszawie z mocnym postanowieniem zapracowania sobie na potrzeby ekzystencji. „Biblioteka Warszawska“ przez wydrukowanie pierwszej jego pracy „Obrazki wiejskie“ (Rok 1850. T. III. 437), pierwsza zwróciła uwagę społeczeństwa polskiego na prace literackie Gregorowicza; a następnie rozprawka w „Rocznikach Towarzystwa Rolniczego“, zatytułowana „Uwagi nad środkami podniesienia w kraju naszym gospodarstwa krajowego“ dała go poznać sferom ziemiańskim. Powodzenie tych pierwszych prac zdecydowało o dalszych losach Gregorowicza. Objął tedy najprzód kierownictwo „Gazety Rolniczej“, wychodzącej przy „Gazecie Codzienniej“, a następnie wspólnie z Lewestamem i Praskim, oba te pisma na własność nabył. Odtąd energiczną działalność rozwija Gr. w kierunku wydawniczym, zakładając „WolneŻarty“, znane w swoim czasie pismo humorystyczne, oraz nabywając „Magazyn Mód“, zmieniony później na „Tygodnik Mód“, kierowany przezeń do ostatniej chwili.

Lud atoli, do którego miał sposobność zbliżyć się w czasach swęj gospodarki w Bielcu i Zegrzu, stanowi zawsze przedmiot szczególnęj jego troski i uwagi. Rodzą się też w owym czasie w umyśle jego te cenne bardzo na swoję dobę powiastki ludowe: „Tomek bez nogi“, „Obrazki historyczne“, „Różne różności“, „Ukryte skarby“, „Tomek Sandcmierzak“, „Zarysy wiejskie“, „Proszaki“, „Dobry ekonom“ i t. d., a imię „Janka z Bielca“, którym stale już wszystkie prace w tym kierunku podpisywał, nabiera niezwykłej w owym czasie popularno-

ści. Nie zapomina też o szerzeniu miłości do ludu i za pomocą sceny. Zachęcony powodzeniem komedyjki swój „Janek z pod Ojcowa“, graną w teatrze amatorskim, pisze jeszcze „Werbła domowego“ i „Nowomodne zaloty“, obie sztuczki na tle ludowem i ze znajomością ludu nakreślone. Nakoniec przyczynia się do założenia wybornego na swój czas pisma ludowego „Kmiotek“, którego redakcją składa później w ręce Wł. L. Anczyca, a i dzisiejsza „Zorza“ liczy go w rzędzie pierwszych swoich redaktorów.

Ta właśnie działalność—to największa zasługa Gregorowicza, to jego niezaprzeczone prawo do trwałej pamięci ogółu, zwłaszcza, że był jednym z pierwszych na tej niwie oraczów. Miłość ludu, nie tylko wiejskiego, lecz i warszawskiego, natchniona szlachetnym optymizmem, nie pozwalającym mu znieść spokojnie najmniejszego bodaj przeciw ludowi zarzutu, stanowiła też charakterystyczną cechę ś. p. Gregorowicza do ostatnich dni jego żywota. Schorowany w ostatnich czasach i oddany wyłącznie redagowaniu „Tygodnika mód“ i „Przyjaciela dzieci“, ożywiał się zawsze bardzo na każdą wzmiankę o kwestyi ludowej, śledząc pilnie wszystko, co w tym kierunku kiedyś u nas się robiło.

Po czterdziestu latach zaczęj zawsze, pracowitej i wytrwałej działalności—zasłużył na dobre wspomnienie i serdeczną łzę żalu, chociaż nie pojmował najnowszych teoryi socyologii, kolektywizmu, ewolucjonizmu i t. p.

Niech spoczywa w pokoju!